

JEFF LINDSAY



DEXTER

DEKALOG DEXTERA

 SAGA
EGMONT

Jeff Lindsay

Dekalog Dexter

Tłumaczenie Radosław Januszewski

Saga

Dekalog Dextera

Tłumaczenie Radosław Januszewski

Tytuł oryginału *Dearlly Devoted Dexter*

Język oryginału angielski

DEXTER SERIES #2: DEARLY DEVOTED DEXTER:
Copyright © 2005 by Jeff Lindsay

Copyright © 2005, 2022 Jeff Lindsay i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788728516119

1. Wydanie w formie e-booka

Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

Spis treści

Strona tytułowa
Karta redakcyjna

1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20
21
22
23
24
25
26
27

28

29

Epilog

Podziękowania

o książce Dekalog Dextera

1

To znowu ten tłusty księżyc, rzucony nisko w tropikalną noc, wykrzykuje na ciemnym niebie, szepcze do drżących uszu. I ten kochany, stary głos w ciemnościach, głos Mrocznego Pasażera, moszczącego się wygodnie na tylnym siedzeniu dodge'a K domniemanej duszy Dextera.

Ten drań księżyc, ten pyskаты, chytrze zerkający Lucyfer, który wrzeszczy w poprzek pustego nieba, w mroczne serca potworów nocy, na dole, wzywając je na wesołe place zabaw.

Woła właśnie do tego potwora, tu, za oleandrem, prądkowanym jak tygrys w świetle księżycyca przesączającym się przez liście, który pobudzony czeka na właściwą chwilę, żeby wyskoczyć z cienia. To Dexter w mroku. Nasłuchuje straszliwych podszeptów spływających bez tchu do mojej cienistej kryjówki.

Moje kochane, mroczne drugie ja namawia mnie, żebym skoczył - już - zatopił oblane światłem księżycyca kły w och jakże bezbronne mięso po tamtej stronie żywopłotu. Ale czas nie jest odpowiedni, czekam więc, patrząc ostrożnie, jak moja niczego niepodejrzewająca ofiara przepęła obok, z szeroko otwartymi oczami, bo wie, że coś ją obserwuje, ale nie wie, że tu, w żywopłocie, jestem ja, zaledwie o trzy stalowe kroki. Mógłbym wysunąć się z taką łatwością, jak ostrze noża, którym jestem, i odprawić moją cudowną magię - ale czekam, przeczuwany, chociaż niewidoczny.

Jedna długa, skradająca się chwila przechodzi na paluszkach w drugą, a ja nadal czekam na właściwy moment; skok,

wyciągnięta ręka, chłodna wesołość, kiedy widzę przerażenie rozchodzące się po twarzy mojej ofiary...

Ale nie. Coś tu nie gra.

I teraz nadchodzi kolej na Dextera, żeby poczuł mdłe ukłucia oczu na plecach, trzepot strachu, kiedy coraz bardziej się upewniam, że coś poluje na mnie. Jakiś inny nocny prześladowca czuje to ostre, wewnętrzne ślinienie, kiedy obserwuje mnie skądś, z bliska – a mnie się ta myśl nie podoba.

I jak małe uderzenie pioruna wesoła dłoń oślepiająco szybko opada na mnie znikąd, a przed moimi oczami migają lśniąco zęby dziewięcioletniego chłopca z sąsiedztwa.

– Mam cię! Raz, dwa, trzy, Dexter!

I z dziką szybkością wczesnej młodości chichocze szaleńczo i krzyczy na mnie, a ja stoję upokorzony w krzakach. Skończyło się. Sześćcioletni Cody patrzy na mnie rozczarowany, jakby Dexter Nocny Bóg zawiódł swojego arcykapłana. Astor, dziewięcioletnia siostra Cody'ego, przyłącza się do pohukiwania dzieciaków, zanim ponownie smyrgną w ciemność, do nowych, bardziej zmyślnych kryjówek, zostawiając mnie bardzo samotnego z moim wstydem.

Dexter nie kopnął puszeki. A teraz Dexter jest Tym. Znowu.

Dziwicie się, jak to możliwe, żeby nocne łowy Dextera sprowadzały się do czegoś takiego? Wcześniej zawsze były jakieś przerażające, wynaturzone drapieżniki czekające, aż zwróci na nie uwagę równie przerażający, wynaturzony Dexter – a oto jestem ja, tropiący pustą puszkę po ravioli Chef Boyardee, których winą jest mdły sos. Oto ja, trwoniący cenny czas na przegrywanie w grze, w którą nie grałem, odkąd skończyłem dziesięć lat. Nawet gorzej, jestem Tym.

– Raz. Dwa. Trzy – odliczam, zawsze porządnym i uczciwym zawodnikiem.

Jak to możliwe? Jak możliwe, że Dexter Demon, czując ciężar takiego księżycy, nie grzebie we wnętrzościach,

wyrzynając życie z kogoś, kto pilnie potrzebował klingi ostrego osądu Dextera? Jak to możliwe, żeby podczas takiej nocy Zimny Mściciel odmówił wypuszczenia Mrocznego Pasażera na przechadzkę?

- Cztery. Pięć. Sześć.

Harry, mój mądry ojczym, uczył mnie starannego równoważenia Potrzeby i Noża. Przygarnął chłopca, w którym dostrzegł niepohamowaną żądzę zabijania - nie do przeobrażenia - i ukształtował z niego człowieka, który zabija tylko zabójców; Dexter, ukrywający się za ludzką z pozoru twarzą, tropiący naprawdę ohydnych seryjnych zabójców mordujących bez zasad. Byłbym jednym z nich, gdyby nie Plan Harry'ego. „Jest mnóstwo ludzi, którzy na to zasługują, Dexterze” - powiedział mój ojczym gliniarz.

- Siedem. Osiem. Dziewięć.

Nauczył mnie, jak odnajdywać tych szczególnych towarzyszy zabaw, jak upewniać się, że zasłużyli na odwiedzinach moje i mojego Mrocznego Pasażera. Nawet więcej, nauczył mnie, tak jak tylko gliniarze potrafią, jak uniknąć za to kary. Pomógł mi zbudować wiarygodną maskę i wbił mi do głowy, że muszę do niej pasować i zawsze, nieustannie być normalny we wszystkim.

I tak nauczyłem się, jak się ładnie ubierać, uśmiechać i myć zęby. Stałem się doskonałą podróbką człowieka, mówiącą te głupie i bezsensowne rzeczy, które ludzie mówią do siebie co dnia. Nikt nie podejrzewał, co czai się za moją perfekcyjną imitacją uśmiechu. Nikt, poza moją przybraną siostrą, Deborah, oczywiście, ale ona zaakceptowała mnie prawdziwego. W końcu mogłem okazać się znacznie gorszy. Mogłem być złym, wściekłym potworem, który zabija i zabija, i zostawia za sobą góry gnijącego mięsa. Tymczasem stanąłem po stronie prawdy, sprawiedliwości i amerykańskiego stylu życia. Nadal jako potwór, oczywiście. Jednak ładnie po sobie sprzątałem i byłem

naszym potworem, ubranym w czerwono-biało-niebieską stu procentową syntetyczną cnotę. A w te noce, kiedy księżyc jest najgłośniejszy, znajduję takich, którzy żerują na niewinnych i nie grają zgodnie z regułami, i sprawiam, żeby odeszli w małych, starannie zapakowanych kawałkach.

Ta elegancka formuła dobrze działała przez lata szczęśliwej nieludzkości. Między tymi randkami utrzymywałem doskonale przeciętny styl życia w uporczywie zwyczajnym mieszkaniu. Nigdy nie spóźniałem się do pracy, żartowałem jak należy z kolegami, we wszystkich sprawach byłem użyteczny i nie narzucałem się, tak jak mnie nauczył Harry. Moje życie androida było uporządkowane, zrównoważone i miało prawdziwie pozytywną wartość społeczną.

Aż do teraz. Jakoś tak, w tę w sam raz odpowiednią noc znalazłem się tutaj, bawiąc się kopaniem puszki ze zgrają dzieciaków, zamiast bawić się w Rozpruj Rozpruwacza ze starannie dobranym przyjacielem. A za chwileczkę, kiedy zabawa się skończy, zaprowadzę Cody'ego i Astor do domu ich matki, Rity, a ona przyniesie mi puszkę piwa, położy dzieciaki do łóżka i usiądzie obok mnie na kanapie.

Jak to możliwe? Czy Mroczny Pasażer przechodził na wcześniejszą emeryturę? Czy Dexter złagodniał? Czy jakoś skreśliłem za róg długiego, ciemnego korytarza i wyszedłem po niewłaściwej stronie jako Dexter Udomowiony? Czy jeszcze kiedykolwiek umieszczę kroplę krwi na czystej szklanej płycie tak, jak zawsze robiłem – moje trofeum myśliwskie?

- Dziesięć! Kto się nie chowa, ten kryje, szukam!

Tak, doprawdy, szukam.

Ale czego?

Zaczął się, oczywiście, od sierżanta Doakesa. Każdy superbohater ma swojego wroga numer jeden. On był moim

wrogiem. Nie zrobiłem mu absolutnie nic, a jednak postanowił mnie ścigać, nękać mnie za moją dobrą robotę. Mnie i mój cień. A jaka w tym ironia: ja, ciężko pracujący analityk próbek krwi, i on, zatrudniony w tej samej jednostce policji, graliśmy w tej samej drużynie. Czy to było w porządku z jego strony, żeby tak mnie prześladować tylko dlatego, że od czasu do czasu pozwalałem sobie na małą chałturę?

Znałem sierżanta Doakesa znacznie lepiej, niżbym tego chciał, nie tylko z naszych stosunków służbowych. Natrudziłem się, żeby dowiedzieć się o nim wszystkiego z jednej, prostej przyczyny: nigdy mnie nie lubił, mimo że dbałem o to, by być uroczy i radosny na światowym poziomie. Ale niemal czuło się, że Doakes widział w tym fałsz; wszystkie moje misterne serdeczności odbijały się od niego jak chrabąszcze majowe od przedniej szyby.

Jasne, że mnie to zaciekało, i to naprawdę. Jakiego pokroju ludzie mogliby mnie nie lubić? Przyjrzałem mu się więc troszeczkę i zrozumiałem. Człowiekiem, który nie lubił Debonaira Dextera, okazał się czterdziestoosmioletni Afroamerykanin, zdobywca rekordu wydziału w wyciskaniu, leżąc. Według plotki, którą zasłyszałem przypadkiem, był weteranem wojskowym, a odkąd zatrudniono go w policji, postrzelił kilka osób ze skutkiem śmiertelnym, co Wydział Spraw Wewnętrznych uznał za usprawiedliwione.

Ale ważniejsze jest to, co sam odkryłem, że gdzieś, pod głębokim gniewem, który zawsze płonął w jego oczach, czaiło się echo chichotu mojego Mrocznego Pasażera. To było tylko leciutkie brzęczenie dzwoneczka, ale ja wiedziałem. Doakes dzielił się przestrzenią z czymś, tak jak ja. Nie z tym samym, ale z czymś bardzo podobnym, panterą wobec mojego tygrysa. Doakes był gliną, ale też był zimnym zabójcą. Nie zdobyłem na to materialnego dowodu, ale miałem co do tego całkowitą pewność, chociaż nawet nie widziałem,

żeby miażdżył tchawicę pieszego nieostrożnie przechodzącego przez jezdnię.

Istota rozumna pomyślałaby zapewne, że on i ja moglibyśmy znaleźć jakiś wspólny mianownik; napić się kawy i porównać naszych Pasażerów, wymienić fachowe uwagi i pogawędzić o technikach ćwiartowania. Ale nie: Doakes pragnął mojej śmierci. Trudno mi było więc podzielać jego pogląd.

Doakes pracował z detektyw LaGuertą. Kiedy zginęła w podejrzanym okolicznościach, od tego czasu jego uczucia wobec mnie zaczęły wyrażać coś więcej niż tylko odrazę. To było totalnie sztuczne i całkowicie nie w porządku. Ja tylko patrzyłem - co w tym złego? Oczywiście, pomogłem prawdziwemu zabójcy w ucieczce, ale czego oczekujecie? Jakim trzeba by okazać się człowiekiem, żeby wydać własnego brata? Szczególnie gdy odwali kawał dobrej roboty.

Cóż, żyj i daj żyć innym. Przynajmniej w większości przypadków. Sierżant Doakes mógł myśleć, co chciał, a mnie to nie przeszkadzało. Nadal niewiele jest praw zabraniających myślenia, chociaż jestem pewien, że ciężko pracują nad tym w Waszyngtonie. Nasz dobry sierżant miał prawo mnie podejrzewać, o co chciał. Ale teraz, kiedy pod wpływem swoich nieczystych myśli postanowił działać, moje życie legło w gruzach. Dexter Wykolejeniec szybko stawał się Dexterem Obląkańcem.

A dlaczego? Jak zaczął się cały ten paskudny rozgardiasz? Przecież ja tylko chciałem być sobą.

2

Od czasu do czasu zdarzają się noce, kiedy Mroczny Pasażer naprawdę musi wyjść, żeby się zabawić. To jest jak wyprowadzanie psa na spacer. Można ignorować szczekanie i drapanie w drzwi tylko przez jakiś czas, a potem i tak trzeba wyprowadzić bydlę na dwór.

Niedługo po pogrzebie detektyw LaGuerty nadszedł czas, kiedy rozsądek podpowiadał, żebym wysłuchał podszeptów z tylnego siedzenia i zaplanował małą przygodę.

Zlokalizowałem doskonałego towarzysza zabaw, bardzo przekonującego sprzedawcę nieruchomości, o nazwisku MacGregor. Był szczęśliwym, radosnym człowiekiem, który uwielbiał sprzedawać domy rodzinom z dziećmi. Szczególnie rodzicom małych chłopców – MacGregor niezwykle lubił chłopców między piątym a siódmym rokiem życia. Śmiertelnie polubił pięciu, co do których miałem pewność, i całkiem prawdopodobne, że jeszcze kilku. Był mądry i ostrożny i gdyby nie wizyta Mrocznego Skauta Dextera żyłby zapewne szczęśliwie jeszcze wiele lat. Trudno winić policję, przynajmniej tym razem. W końcu kiedy zaginie małe dziecko, niewielu ludzi powie:

- Aha! A kto sprzedawał tej rodzinie dom?

Ale też niewielu ludzi jest Dexterem. Generalnie dobrze się składa, ale w tym przypadku akurat dobrze jest być mną. Cztery miesiące po przeczytaniu w gazecie artykułu o zaginięciu chłopca natknąłem się znowu na podobną historię. Chłopcy byli w tym samym wieku; takie szczegóły zawsze

uruchamiają alarm i wysyłają mi do mózgu szept pana Rogersa: „Witaj, sąsiedzie”.

Wyrzebałem więc pierwszy artykuł i porównałem. Zauważyłem, że w obu przypadkach gazeta pasożytowała na żałobie rodzin, wspominając, że niedawno przeprowadziły się do nowych domów; usłyszałem śmieшек dochodzący z cienia i przyjrzałem się sprawom nieco dokładniej.

To naprawdę było subtelne. Detektyw Dexter musiał trochę pogrzebać, bo z początku, na pozór, nie istniały żadne powiązania. Rodziny, o które chodziło, mieszkaly w innych okolicach, co wykluczało wiele możliwości. Uczęszczaly do różnych kościołów, różnych szkół i korzystały z usług różnych firm od przeprowadzek. Ale kiedy Mroczny Pasażer się śmieje, ktoś zazwyczaj robi coś śmiesznego. I w końcu znalazłem powiązanie; oba domy znajdowały się w rejestrze tej samej agencji obrotu nieruchomościami, małej firmy w południowym Miami, z jednym tylko agentem, radosnym, przyjacielskim mężczyzną Randym MacGregorem.

Pogrzebałem jeszcze trochę. MacGregor był rozwiedziony i mieszkał sam w małym, betonowym domu niedaleko Old Cutler Road w południowym Miami. Trzymał sześciometrową łódź motorową z kabiną na przystani Matheson Hammock, względnie blisko swojego domu. Łódź mogła być także bardzo wygodnym kojcem dla dziecka. Mac-Gregor pewnie wywoził nią swoich małych na otwarte morze, gdzie go nikt nie widział ani nie słyszał, kiedy dokonywał odkryć, prawdziwy Kolumb bólu. A skoro o tym mowa, jest to wspaniały sposób na pozbycie się brudnych szczątków; zaledwie kilka mil morskich od brzegu Miami, Golsztrom to niemal bezdenne śmietnisko. Nic dziwnego, że nigdy nie odnaleziono ciał chłopców.

Jego technika miała sens. Dziwiłem się, dlaczego nie pomyślałem o takim recyklingu szczątków, które sam

zostawiam. Głupek ze mnie; korzystałem z mojej łódeczki tylko do wędkowania i pływania po zatoce. A ten MacGregor wymyślił zupełnie nowy sposób, żeby uprzyjemnić sobie wieczór na wodzie. To był bardzo inteligentny pomysł i natychmiast przesunął MacGregora na początek mojej listy. Możecie powiedzieć, że jestem nierozsądny, nawet, że nie myślę logicznie, bo zazwyczaj niewiele obchodzą mnie ludzie, ale z jakichś powodów troszczę się o dzieci. I kiedy znajduję kogoś, kto na nie poluje, to jest tak, jakby one wcisnęły Mrocznemu Maître d' Hôtel dwadzieścia dolarów, żeby przesunął tego kogoś na początek listy. Z radością odpiąłem welwetowy sznur i natychmiast wprowadził MacGregora - zakładając, że robił to, co mi się wydawało, że robi. Oczywiście, musiałem być całkowicie pewien. Zawsze starałem się uniknąć pocięcia niewłaściwej osoby i szkoda byłoby zaczynać robić to teraz, nawet jeśli chodzi o pośrednika w obrocie nieruchomości. Wydało mi się, że najlepszym sposobem, żeby się upewnić, będzie odwiedzić łódź, o której wspominałem wcześniej.

Szczęśliwie dla mnie, następnego dnia padało tak, jak to zazwyczaj codziennie pada w lipcu. Ale tym razem zanosilo się na całodzienną burzę, jakby na zamówienie Dextera. Z pracy, z laboratorium kryminalistycznego policji w Miami-Dade, wyszedłem wcześniej i Old Cutler Road udałem się do LeJeune. Skręciłem w lewo do Matheson Hammock; przystań wydawała się opustoszała, tak jak miałem nadzieję. Ale wiedziałem, że jakieś dziewięćdziesiąt metrów dalej jest budka strażnika, gdzie ktoś gorliwie czeka, żeby wziąć ode mnie cztery dolary za wielki przywilej wejścia do parku. Pomyślałem, że lepiej nie pokazywać się przy budce strażnika. Oczywiście, zaoszczędzenie czterech dolarów było bardzo ważne, ale jeszcze ważniejsze było to, że w deszczowy dzień, w środku tygodnia mógłbym wydać się w tej sytuacji trochę

podejrzany, a tego chciałem uniknąć, szczególnie gdy oddawałem się swojemu hobby.

Po lewej stronie drogi znajdował się mały parking obsługujący tereny piknikowe. Po prawej, obok jeziora stała stara wiata piknikowa z bloków koralowca. Zaparkowałem samochód i włożyłem jaskrawożółty sztormiak. Poczułem się jak żeglarz. Właściwa rzecz, żeby włamać się do łodzi pedofila-zabójcy. Czyniło mnie to też bardzo widocznym, ale niezbyt się tym przejmowałem. Miałem zamiar pójść ścieżką rowerową biegnącą równoległe do drogi. Osłaniały ją namorzyny, a w mało prawdopodobnym przypadku, gdyby strażnik wystawił głowę z budki prosto na deszcz, zobaczyłby tylko jaskrawożółtą truchtającą plamę. Ot, zażarty zwolennik joggingu, co to biega popołudniami bez względu na pogodę.

I potruchałem sobie ścieżką, jakieś czterysta metrów. Tak jak się spodziewałem, z budki strażnika nie dochodziły znaki życia, więc podbiegłem do wielkiej przystani. Przy ostatnim pomoście stała gromadka łodzi nieco mniejszych od wielkich sportowych zabawek, które rybacy i milionerzy przycumowali bliżej drogi. Skromny, sześciometrowy „Osprey” MacGregora stał przy samym końcu.

Przystań była pusta, wszedłem beztrudno przez furtkę w płocie z łańcuchów, obok tabliczki głoszącej, że: Wstęp na pomosty tylko dla właścicieli łodzi. Próbowałem poczuć się winny, że gwałcę tak istotny przepis, ale było to uczucie dla mnie niedostępne. Niższa część tabliczki głosiła: Zakaz łowienia ryb z pomostów i w obrębie przystani, toteż obiecałem sobie, że za wszelką cenę będę unikał łowienia ryb, co sprawiło, że poczułem się lepiej, mimo że złamałem pierwszą zasadę.

„Osprey” miał pięć, może sześć lat i nosił na sobie tylko niewielkie ślady zniszczenia od florydzkiej pogody. Pokład i relingi były wyglansowane do czysta, wchodząc więc na łódź,

uważałem, żeby nie zostawić zadrapań. Z jakichś powodów zamki na łódkach nie są zbyt skomplikowane. Może żeglarze są bardziej uczciwi niż szczury lądowe. Otwarcie zamka i wślizgnięcie się do środka zajęło mi zatem tylko kilka sekund. W kabinie nie było tego stęchłego zapachu spieczonej pleśni, którego w promieniach subtropikalnego słońca nabiera wiele łodzi, kiedy są zamknięte nawet przez kilka godzin. W powietrzu unosił się natomiast lekki, cierpki zapaszek Pine-Sol¹, jakby ktoś wyskrobał tu wszystko tak dokładnie, że żadne zarazki ani wonie nie miały szans na przetrwanie.

Były tam stolik, kuchnia, a na półce z balustradką jeden z tych odbiorników telewizyjno-radiowych ze stosem filmów obok: Spiderman, Mój brat niedźwiedź i Gdzie jest Nemo. Zastanawiałem się, ilu chłopców MacGregor wysłał za burtę, żeby poszukali Nemo. Miałem ogromną nadzieję, że wkrótce Nemo znajdzie jego. Wszedłem do kuchni i zacząłem otwierać szuflady. W jednej znalazłem pełno słodyczy, w następnej stos plastikowych żołnierzyków. Trzecią wypełniały po brzegi rolki taśmy izolacyjnej.

Taśma izolacyjna to wspaniała rzecz, wiem doskonale, że może być wykorzystana na wiele niezwykłych i pożytecznych sposobów. Pomyślałem jednak, że dziesięć rolek wepchniętych do szuflady na łodzi to trochę za dużo. Chyba że, oczywiście, używa się jej do jakichś szczególnych celów, które wymagają zastosowania jej w dużych ilościach. Może projekt naukowy wymagający sporej liczby małych chłopców? To, rzecz jasna, tylko przeczucie wynikające z doświadczenia, w jaki sposób ja ją wykorzystywałem - nie do krępowania chłopców, oczywiście, ale prawych obywateli, takich jak na przykład... MacGregor. Jego вина zaczynała być bardzo prawdopodobna, a Mroczny Pasażer mlaskał suchym, jaszczurczym językiem z niecierpliwości.

Zszedłem po stopniach do małego, wysuniętego pomieszczenia, które sprzedawca prawdopodobnie nazywał prywatną kabiną. Łóżko nie było zbyt eleganckie, zaledwie cienka podkładka z gumowej pianki na podwyższonej półce. Dotknąłem materaca, zatrzeszczał pod materiałem; gumowa obudowa. Odwinąłem materac na bok. Do półki były przyśrubowane cztery kółka, po jednym w każdym rogu. Podniosłem klapę pod materacem.

Można się spodziewać, że na łodzi znajdzie się sporo łańcuchów. Ale towarzyszące im kajdanki nie kojarzyły mi się za bardzo z żeglarstwem. Oczywiście, dałoby się to łatwo wyjaśnić. Możliwe, że MacGregor zakładał je kłótliwym rybom.

Pod łańcuchem i kajdankami leżało pięć kotwic. To doskonały pomysł, jeśli jacht miałby opłynąć świat, ale trochę ich było za dużo jak na weekendową łódkę. Do czego, u licha, mogły służyć? Gdybym ja miał wypływać łodzią na głębokie wody, z małymi ciałkami, których chciałbym się pozbyć bez pozostawiania śladów, co zrobiłbym z tyloma kotwicami? Jeśli ujmie się cały problem w ten sposób, to wyda się oczywiste, że następnym razem, kiedy MacGregor wypłynie w rejs z małym przyjacielem, wróci jedynie z czterema kotwicami pod koją.

Zebrałem wystarczająco wiele szczegółów, żeby złożyć je w interesujący obraz. Martwa natura bez dzieci. Ale nie znalazłem dotąd niczego, co nie mogłoby zostać wytłumaczone jako gigantyczny zbieg okoliczności, a musiałem mieć całkowitą pewność. Musiałem znaleźć całkowicie przekonujący dowód, coś tak jednoznacznego, że usatysfakcjonowałyby Harry'ego Przepisowego.

Znalazłem to w szufladzie po prawej stronie koi.

W gródź łodzi były wbudowane trzy szufladki. Wnętrze tej od spodu wydawało się trochę krótsze niż dwóch pozostałych. Możliwe że tak miało być, że skrócenie wynikało z zagięcia

kadłuba. Ale obserwowałem ludzi już od wielu lat i to wzbudziło moją podejrzliwość. Wyciągnąłem szufladę całkowicie na zewnątrz i oczywiście za jej tylną ścianką był tajny schowek. A w tajnym schowku...

Ponieważ właściwie nie jestem prawdziwą istotą ludzką, moje reakcje emocjonalne są ograniczone do tego, co nauczyłem się udawać. Nie odczułem więc wstrząsu, oburzenia, gniewu ani nawet gorzkiej determinacji. Te uczucia trudno jest grać przekonująco, a nie było publiczności, po co się więc trudzić? Poczułem jednak jak powolny, chłodny wiatr z Mrocznego Wozu wieje mi wzdłuż kręgosłupa i rozdmuchuje suche liście na podłodze mojego jaszczurczego mózgu.

W schowku znalazłem stos fotografii, na których byłem w stanie zidentyfikować pięciu nagich chłopców ułożonych w rozmaitych pozach, jakby MacGregor nadal szukał właściwego stylu. Doprawdy, okazał się rozrzutnikiem, jeśli chodzi o taśmę izolacyjną. Na jednym ze zdjęć chłopiec wyglądał, jakby otaczał go srebrnoszary kokon, tylko niektóre części ciała zostały wyeksponowane. To, co MacGregor zostawił na wierzchu, wiele mi o nim powiedziało. Jak podejrzewałem, większość rodziców nie zaakceptowałyby go w roli harcmistrza.

Zdjęcia były dobrej jakości, robione pod różnymi kątami. Wyróżniała się szczególnie jedna seria. Błady, kluchowaty mężczyzna w czarnym kapturze stał obok mocno obwiązanego taśmą chłopca, prawie jakby pozował z trofeum myśliwskim. Z kształtu i koloru ciała domyślałem się z prawie całkowitą pewnością, że to MacGregor, mimo że kaptur zasłaniał mu twarz. A kiedy przeglądałem zdjęcia, przyszły mi do głowy bardzo interesujące myśli. Najpierw pomyślałem: Aha! Co, oczywiście, znaczyło, że nie ma najmniejszych wątpliwości, co robił MacGregor, i że został teraz szczęśliwym zwycięzcą

nagrody głównej w Zakładach Pieniężnych Izby Rozrachunkowej Mrocznego Pasażera.

Kolejna myśl była nieco bardziej kłopotliwa: kto robił zdjęcia?

Fotografie wykonano pod zbyt wieloma kątami, żeby dało się je pstryknąć automatycznie. A kiedy przejrzałem je po raz drugi, zauważyłem, w dwóch zdjęciach, robionych z góry, ostry nosek czegoś, co wyglądało jak czerwony kowbojski but.

MacGregor miał współnika. To brzmiało jak określenie z kanału telewizji sądowej, ale tak było w istocie i nie znalazłem lepszych słów, żeby to określić. Nie zrobił tego sam. Ktoś z nim był i przynajmniej robił zdjęcia, jeśli nie coś jeszcze.

Z rumieńcem wstydu przyznaję, że dysponuję pewną skromną dozą wiedzy i talentu w dziedzinie rozmyślnych okaleczeń, ale nigdy wcześniej z czymś takim się nie spotkałem. Zdjęcia pamiątkowe, tak - w końcu mam pudełeczko szkiełek z kropelką krwi na każdym, żeby móc wspominać swoje przygody. To całkowicie normalne zachować sobie coś na pamiątkę.

Ale druga osoba, która przy tym jest, patrzy i robi zdjęcia, zmienia bardzo intymny akt w rodzaj przedstawienia. To jest totalnie nieprzyzwoite - ten człowiek był zboczeńcem. Gdybym tylko mógł się zdobyć na moralne oburzenie, to jestem pewien, że kipiałbym nim. Ale w moim przypadku naszła mnie tylko mocniejsza chęć do trzewnego zaznajomienia się z MacGregorem.

Na łodzi panowało gęste gorąco i moja cudownie szykowna kurtka od złej pogody zaczęła mi przeszkadzać. Czułem się jak jaskrawożółta torebka z herbatą. Wybrałem kilka najlepszych zdjęć i włożyłem je do kieszeni, a resztę schowałem z powrotem w skrytce. Uporządkowałem koję i poszedłem na górę, do głównej kabiny. Zerkając przez okno - a może

powiniennem nazywać je bulajem? – zorientowałem się na tyle, na ile mogłem, że nikt nie czaił się, obserwując mnie ukradkiem. Wyśliznąłem się za drzwi. Upewniłem się, czy są dobrze zamknięte, i poszedłem przez deszcz.

Z wielu filmów, które oglądałem przez te wszystkie lata, wiedziałem doskonale, że przechadzka w deszczu to doskonała oprawa dla rozmyślań nad ludzką przewrotnością, i to właśnie czyniłem. Och, ten podły MacGregor i jego przyjaciel, entuzjasta amatorskiej fotografii. Jak mogli być takimi paskudnymi nędznikami? Nieźle to zabrzmiało i nic więcej nie potrafiłem wymyślić. Miałem nadzieję, że to wystarczy, żeby zasadam stało się zadość. Bo znacznie przyjemniej było myśleć o mojej przewrotności i o tym, jak mógłbym ją nasycić, aranżując randkę z MacGregorem. Czułem narastający przyływ mrocznej rozkoszy, jak wydobywa się z najgłębszych lochów Zamku Dextera i przelewa się przeze mnie. Wkrótce zaleje ona MacGregora.

Oczywiście, nie było już miejsca na wątpliwości. Sam Harry uznałby, że fotografie są wystarczającym dowodem, a ochoczy chichot Mrocznego Pasażera uświęcił projekt. MacGregor i ja będziemy się wzajemnie odkrywać. A potem specjalna premia: odszukanie jego przyjaciela w kowbojskich butach – oczywiście, pójdzie w ślady Mac-Gregora i to najszybciej jak to możliwe. Taka już nasza ludzka dola. Było to jak wyprzedaż, dwie rzeczy w cenie jednej, propozycja absolutnie nie do odrzucenia.

1 Najbardziej znana w Stanach Zjednoczonych marka produktów czystościowych (licząca sobie 75 lat) zawierających olejek sosnowy (przyp. red.).

3

Rutyna to zawsze zły pomysł, szczególnie jeśli jest się pedofilem-zabójcą, który znalazł się w polu zainteresowania Dextera Mściciela. Szczęśliwie się dla mnie złożyło, że nikt nigdy nie przekazał MacGregorowi tej istotnej informacji, znalazłem go zatem bez trudu, kiedy jak co dzień, o szóstej trzydzieści po południu, wychodził z biura. Skorzystał z tylnych drzwi, zamknął je i wsiadł do wielkiego forda SUV; pojazdu doskonale nadającego się do podwożenia ludzi, żeby pokazać im dom, albo do transportowania związanych chłopców na pomost. Włączył się do ruchu, a ja śledziłem go aż do jego skromnego mieszkania w domu z betonowej płyty na Osiemdziesiątej SW.

Pod domem ruch był niezły. Skręciłem w małą, boczną uliczkę, pół przecznicy dalej i zaparkowałem, nie rzucając się w oczy, tak żeby mieć dobry widok. Był tam wysoki, gęsty żywopłot, ciągnący się wzdłuż przeciwległej strony parkingu MacGregora. Dzięki temu sąsiedzi nie widzieli, co dzieje się na jego podwórku. Siedziałem w samochodzie i przez dziesięć minut udawałem, że oglądam mapę. Tyle wystarczyło, żeby ułożyć plan i upewnić się, że nigdzie się nie wybiera. Kiedy wyszedł z domu i zaczął się krzątać na podwórku, bez koszuli, w znoszonych spodenkach z madrasu, już wiedziałem, jak to zrobić. Pojechałem do domu, żeby się przygotować.

Mimo że zazwyczaj mam zdrowy i potężny apetyt, przed tymi małymi przygodami zawsze trudno mi cokolwiek zjeść. Mój wewnętrzny współnik drży z niecierpliwości, księżyc coraz

głośniej bełkocze mi w żyłach, gdy noc zapada nad miastem, a myśl o jedzeniu staje się taka pospolita.

Zamiast więc radować się do woli wysokoproteinową kolacją, krążyłem po mieszkaniu, miałem ochotę już zaczynać, ale byłem jeszcze na tyle opanowany, żeby poczekać, pozwolić Codziennemu Dexterowi wtopić się spokojnie w tło i poczuć oszałamiający przypływ siły, kiedy Mroczny Pasażer powoli przejmuję kierownicę i zaczyna sprawdzać pokręta. Kiedy pozwalałam się zaciągnąć na tylne siedzenie i zaczyna prowadzić Pasażer, zawsze odczuwam radosne podniecenie. Cienie nabierają wtedy jakby ostrzejszych konturów, a ciemność przechodzi w ożywioną szarość, sprawiając, że wszystko widzi się ostrzej. Słabe dźwięki stają się głośne i wyraźne, na skórze czuję mrowienie, wdech i wydech są jak ryk i nawet powietrze ożywa zapachami, których zupełnie nie rejestruję w ciągu nudnego i normalnego dnia. Tylko wtedy, gdy kieruje Mroczny Pasażer, odczuwam pełnię życia.

Zmusiłem się, żeby usiąść w głębokim fotelu, i napiąłem się, a Potrzeba przetaczała się nade mną, pozostawiając po sobie wysoką falę gotowości. Każdy oddech był jak uderzenie zimnego powietrza, wpadającego we mnie, pompującego mnie, a ja stawałem się coraz większy i lżejszy, aż w końcu zamieniłem się w potwornie długi, niewidzialny, stalowy promień światła gotowy przetrząsnąć się przez ciemne już miasto. I wtedy fotel okazał się małym, głupim sprzętem, kryjówką dla myszy i tylko noc była dla mnie wystarczająco wielka.

Nadszedł czas.

Wyszliśmy w jasną noc, światło księżyca waliło we mnie, a zapach martwych róż w oddechu Miami owiewał mi skórę i prawie natychmiast tam się znalazłem, w cieniu rzuconym przez żywopłot MacGregora, patrząc, czekając i nasłuchując Ostrożności, która owinęła się wokół mojego nadgarstka i szeptała: cierpliwości. To było idiotyczne, że nie potrafił

dostrzec czegoś jarzącego się tak jasno jak ja i ta myśl stawała się kolejnym zastrzykiem mocy. Naciągnąłem białą, jedwabną maskę i byłem gotów do działania.

Powoli, niedostrzegalnie ruszyłem z ciemności żywopłotu i postawiłem pod jego oknem dziecięcy plastikowy keyboard, wsuwając go pod krzew gladiolusów, żeby od razu nie mógł go zobaczyć. Był jaskrawy, czerwono-niebieski, długi na pół metra i miał tylko osiem klawiszy, ale miał funkcję powtarzania bez końca tych samych czterech melodii aż do wyczerpania baterii. Włączyłem go i wycofałem się na swoje miejsce w żywopłocie.

Odegrał Jingle bells, potem Old MacDonald. Z jakiegoś powodu w każdej piosence brakowało kluczowej frazy, ale zabaweczka popiskiwała dalej, przechodząc do London Bridge na tej samej radośnie wariackiej nucie.

To wystarczyło, żeby doprowadzić człowieka do furii, ale na kimś takim jak MacGregor, który żył dla dzieci, mogło to wywrzeć dodatkowy efekt. W każdym razie, na to liczyłem. Z rozmysłem wybrałem tę klawiaturkę, żeby go zwabić, i żywiłem szczerą nadzieję, że pomyśli, iż go znaleziono, a zabawka przybyła z piekła, żeby go pokarać. W końcu dlaczego nie mam czerpać radości z tego, co robię?

Chyba zadziało. Byliśmy dopiero przy trzeciej powtórcie London Bridge, kiedy wylażł niezdarnie z domu, z paniką w szeroko otwartych oczach. Zatrzymał się na chwilę, rozejrzał wokół, jego przerzedzone, rudawe włosy wyglądały, jakby przetoczyła się przez nie burza, a błądy brzuch zwisał lekko nad paskiem wyświechtanych spodni od piżamy. Nie wyglądał mi na szaleńczo groźnego, ale też nie byłem pięcioletnim chłopcem.

Kiedy tak stał z otwartymi ustami, drapiąc się, wyglądał, jakby pozował rzeźbiarzowi, który lepił greckiego boga głupoty. MacGregor zlokalizował w końcu źródło dźwięku – tym razem

znów Jingle bells. Podszedł i lekko się nachylił, żeby dotknąć plastikowego keyboardu, i nie starczyło mu nawet czasu na zdziwienie, kiedy zacisnąłem mocno na jego szyi pętlę z linki wędkarskiej o udźwigu dwudziestu pięciu kilogramów. Wyprostował się z myślą, żeby trochę powalczyć. Zacisnąłem mocniej i zmienił zdanie.

- Przestań się opierać - powiedzieliśmy naszym chłodnym, władczym głosem Pasażera. - Pożyjesz dłużej. - A on usłyszał swoją przyszłość w tych słowach i pomyślał, że może ją zmienić, pociągnąłem więc mocno za smycz i przytrzymałem, aż twarz mu pociemniała i opadł na kolana.

Zanim zdążył zemdlec na całego, zwolniłem zacisk.

- Teraz rób to, co ci się powie - rzekliśmy. Nic nie odpowiedział, tylko nabrał kilka wielkich, bolesnych haustów powietrza, nieco mu więc popuściłem linki. - Zrozumiano? - zapytaliśmy, a on pokiwał głową, pozwoliłem mu zatem oddychać.

Już nie próbował walczyć, kiedy zaciągnąłem go do domu po kluczyki do samochodu, a potem znowu, do tego jego wielkiego forda. Wsiadłem za nim, trzymając pętlę mocno zaciśniętą. Pozwalałem mu oddychać tylko tyle, żeby na razie żył.

- Włącz silnik - nakazaliśmy mu, a on znieruchomiał.

- Czego chcesz? - zapytał głosem szorstkim jak świeży żwir.

- Wszystkiego - odparliśmy. - Włącz silnik.

- Mam pieniądze - zaproponował.

Pociągnąłem mocno za sznur.

- Kup mi chłopczyka - powiedzieliśmy. Trzymałem mocno przez kilka sekund, za mocno, żeby mógł oddychać, i w sam raz długo, żeby wiedział, że my tu rządzymy, my wiemy, co zrobić, i my teraz pozwolimy mu oddychać tylko według własnego

uznania i kiedy połuźniliśmy pętlę, nie miał nam nic do powiedzenia.

Poprowadził tak, jak mu kazaliśmy, z powrotem Osiemdziesiątą SW do Old Cutler Road, a potem na południe. Tak daleko prawie nie ma ruchu, nie o tej porze nocy. Potem skręciliśmy do nowo budowanego osiedla po drugiej stronie strumyka Snapper Creek. Inwestycja została wstrzymana w związku ze skazaniem właściciela za pranie pieniędzy, nikt nie powinien więc nam przeszkadzać. Poprowadziliśmy MacGregora przez rozebraną do połowy budkę strażnika, wokół małego ronda, na wschód, w stronę wody i zatrzymaliśmy się przed małą przyczepą mieszkalną, tymczasowym biurem budowy, teraz we władaniu nieletnich poszukiwaczy przygód i innych, takich jak ja, którzy pragnęli tylko odrobiny prywatności.

Posiedzieliśmy sobie chwileczkę, rozkoszując się bardzo pięknym widokiem – księżyc nad wodą z pedofilem w pętli na pierwszym planie.

Wstałem i pociągnąłem MacGregora za sobą tak mocno, że upadł na kolana i zaczął szarpać za linkę zaciskającą się na szyi. Przez chwilę patrzyłem, jak się dławi i ślini na ziemi, twarz znów mu ciemnieje, a oczy zachodzą czerwienią. Potem pociągnąłem go, żeby wstał, i wepchnąłem po trzech drewnianych stopniach do przyczepy. Zanim zdołał dojść do siebie na tyle, żeby zrozumieć, co się dzieje, przywiązałem go do blatu biurka, ręce i stopy krępując taśmą izolacyjną.

MacGregor próbował coś powiedzieć, ale tylko zakaszłał. Czekałem; czasu było mnóstwo.

- Proszę - wychrypiął w końcu głosem jak piasek na szkle. - Dam ci, co zechcesz.

- Tak, dasz - rzekliśmy i zobaczyliśmy, jak ten dźwięk wbija się w niego i chociaż nie mógł tego widzieć przez moją białą,

jedwabną maskę, uśmiechnęliśmy się. Wyjąłem zdjęcia, które zabrałem z jego łodzi, i pokazałem mu.

Zupełnie przestał się ruszać i rozdziawił usta.

- Skąd je masz? - zapytał tonem zanadto rozdrażnionym jak na kogoś, kto za chwilę zostanie pocięty na kawałeczki.

- Powiedz, kto robił te zdjęcia?

- A dlaczego miałbym powiedzieć? - zapytał.

Za pomocą przecinaka do blachy odciąłem mu dwa pierwsze palce lewej ręki. Rzucił się, wrzasnął, trysnęła krew, co zawsze mnie gniewa, włożyłem mu więc w usta piłkę tenisową i obciąłem dwa pierwsze palce prawej ręki.

- Bez powodu - odparłem i poczekałem, żeby troszeczkę zwolnił.

Kiedy wreszcie się uspokoił, skierował na mnie wzrok, a na twarzy odmalowało się to zrozumienie, które pojawia się, kiedy przebija się za ból i zyskuje świadomość, że tak już będzie zawsze. Wyjąłem mu piłkę z ust.

- Kto robił zdjęcia?

Uśmiechnął się.

- Mam nadzieję, że jeden z nich był twój - powiedział, co sprawiło, że następnych dziewięćdziesiąt minut było znacznie bardziej satysfakcjonujące.

4

Zazwyczaj czuję się przyjemnie odprężony przez kilka dni po każdej z moich Wyjściowych Nocy, ale tym razem, następnego ranka po pospiesznym zejściu MacGregora nadal byłem rozdygotany z emocji. Bardzo chciałem znaleźć fotografa w czerwonych kowbojskich butach i załatwić sprawę do końca. Jestem schludnym potworem i lubię kończyć to, co zacząłem, a świadomość, że ktoś buja na wolności i czai się w krzakach, w tych śmiesznych butach, nosząc ze sobą kamerę, która widziała zbyt wiele, sprawiała, że pragnąłem pójść za tropem i zakończyć mój dwuczęściowy projekt.

Może za bardzo się pospieszyłem z MacGregorem; gdybym mu dał trochę więcej czasu i zachęty, to powiedziałby mi wszystko. Ale to wyglądało na sprawę, którą sam z łatwością rozwiążę – kiedy Mroczny Pasażer siedzi za kierownicą, jestem pewien, że uda mi się wszystko. Jak do tej pory nie myliłem się, ale tym razem znalazłem się w troszkę dziwacznej sytuacji i musiałem na własną rękę szukać Pana Buta.

Wiedziałem z wcześniejszych badań, że MacGregor nie prowadził życia towarzyskiego, poza rzadkimi wieczornymi wyprawami. Należał do paru organizacji przedsiębiorców, czego można się było spodziewać po pośredniku handlu nieruchomościami, ale nie odkryłem nikogo szczególnego, z kim byłby w kumpelskich stosunkach. Wiedziałem też, że nie był notowany jako kryminalista, nie było więc teczki, którą można by wyciągnąć i poszukać ujawnionych współników. W aktach sądowych dotyczących jego rozwodu było po prostu

zapisane: niezgodność charakterów, a resztę pozostawiono mojej wyobraźni.

Na tym utknąłem. MacGregor był klasycznym samotnikiem, a moje staranne studia nad nim nie dawały wskazówek, żeby miał jakichkolwiek przyjaciół, kochanków, kumpli albo partnerów. Żadnych pokerowych wieczorków z chłopakami – w ogóle żadnych chłopaków, poza tymi małymi. Ani kółka kościelnego, ani Stowarzyszenia Łosi, ani baru w sąsiedztwie, ani cotygodniowych potańcówek – co mogłoby stanowić wyjaśnienie dla butów – niczego, poza fotografiami z tymi głupimi, szpiczastymi, wystającymi czerwonymi noskami.

Kim więc był Kowboj Bob i jak go znalazłem?

Istniało tylko jedno miejsce, do którego mogłem się udać po odpowiedź, i musiałem to zrobić niezwłocznie, zanim ktokolwiek zorientowałby się, że MacGregor zaginął. W oddali usłyszałem odgłos grzmotu i zaskoczony spojrzałem na zegar. Jasne, kwadrans po drugiej, czas na codzienną, popołudniową burzę. Rozczulałem się nad sobą w biały dzień, a to zupełnie do mnie niepodobne.

Ale jednak dzięki burzy jeszcze raz będę mógł się ukryć, a potem zatrzymam się w drodze powrotnej, żeby coś zjeść. Mając więc elegancko zaplanowaną najbliższą przyszłość, poszedłem na parking, wsiałem do samochodu i pojechałem na południe.

Deszcz zaczął się, kiedy dotarłem do Matheson Hammock, włożyłem więc znowu sportowe, żółte odzienie na złą pogodę i potruchtałem ścieżką do łodzi MacGregora.

Jak poprzednio, bez trudu otworzyłem zamek i wśliznąłem się do kabiny. Podczas pierwszej wizyty na łodzi szukałem dowodów, że MacGregor jest pedofilem. Teraz próbowałem znaleźć coś trochę bardziej ulotnego, jakąś wskazówkę co do tożsamości jego przyjaciela fotografa.

Ponieważ musiałem od czegoś zacząć, wróciłem do pomieszczenia sypialnego. Otworzyłem szufladę z fałszywym dnem i znów przejrzałem fotografie. Tym razem przyglądałem się zarówno wierzchniej, jak i spodniej ich stronie. Fotografia cyfrowa uczyniła los detektywa znacznie trudniejszym, a na zdjęciach nie było żadnych znaków, brakowało też pustych puszek po filmach z dającymi się namierzyć numerami seryjnymi. Każdy ciołek na kuli ziemskiej mógł załadować obrazki na swój twardy dysk i drukować je do woli, nawet ktoś z tak fatalnym gustem, jeśli chodzi o dobór obuwia. To nie było w porządku. Czyż komputery nie miały ułatwiać nam życia?

Zamknąłem szufladę i przeszukałem resztę pomieszczenia, ale nie znalazłem tam nic, czego nie widziałbym wcześniej. Trochę zniechęcony wróciłem na górę do kabiny głównej. Tam też przeszukałem kilka szuflad. Taśmy wideo, figurki bohaterów akcji, taśma izolacyjna – już to widziałem i żadna z tych rzeczy nic mi nie mówiła. Wyciągnąłem stosik rolek taśmy izolacyjnej z myślą, że szkoda ją marnować. Bezmyślnie odwróciłem tę na spodzie.

To było to.

Naprawdę lepiej być szczęściarzem niż dobroczyńcą. Przez milion lat mógłbym tylko o tym marzyć. Na spodniej części rolki taśmy izolacyjnej zauważyłem przyklejony mały kawałek papieru, a na nim ktoś zapisał: Reiker i numer telefonu.

Oczywiście, nie miałem gwarancji, że Reiker to Czerwony Rangers czy nawet istota ludzka. Z równym powodzeniem mogła to być nazwa przedsiębiorstwa hydrauliki żeglarskiej. Ale w każdym razie zdobyłem jakiś punkt zaczepienia, którego wcześniej szukałem, a musiałem wynieść się z łodzi, zanim ucichnie burza. Włożyłem papierek do kieszeni, zapiąłem kurtkę przeciwdeszczową i wymknąłem się z łodzi na ścieżkę.

Może to dlatego, że byłem szczęśliwie zrelaksowany w wyniku wieczornej wycieczki z MacGregorem, bo kiedy jechałem do domu, przyłapałem się na tym, że mruczę chwytliwą pioseneczkę Philipa Glassa z 1000 Airplanes on the Roof. Kluczem do szczęścia są osiągnięcia, z powodu których można czuć dumę i cel, do którego się dąży, a w tamtej chwili miałem obie te rzeczy naraz. Jak cudownie jest być mną.

Dobry nastrój przetrwał tylko do ronda, gdzie Old Cutler łączy się z LeJeune. Wtedy rutynowe spojrzenie w lusterko wsteczne sprawiło, że odechciało mi się śpiewać.

Za mną, praktycznie zderzak w zderzak jechał rdzawoczerwony ford taurus. Bardzo przypominał wozy, które wydział policji Miami Dade nabył w dużej liczbie dla personelu w cywilu.

Nie spodobało mi się to. Wóz patrolowy mógł za mną jechać bez rzeczywistego powodu, ale ktoś w wozie z policyjnego garażu mógł mieć w tym jakiś cel, jakby chciał, żebym wiedział, że mnie śledzi. Jeśli tak, to udało mu się doskonale. Przez blask na szybie przedniej nie widziałem, kto siedział za kierownicą tamtego samochodu, ale nagle bardzo ważna stała się informacja, od jak dawna ten samochód jechał za mną, kto prowadził i co kierowca widział.

Skręciłem w małą przecznicę, podjechałem do krawężnika i zaparkowałem, a taurus zatrzymał się tuż za mną. Przez chwilę nic się nie działo, obaj siedzieliśmy w swoich samochodach i czekaliśmy. Czy miałem zostać aresztowany? Jeśli ktoś śledził mnie od przystani, mogło się to bardzo źle skończyć dla Dziarskiego Dextera. Wcześniej czy później nieobecność MacGregora zostanie zauważona i nawet najbardziej rutynowe dochodzenie ujawni, że miał łódź. Ktoś pójdzie, żeby sprawdzić, czy stoi na swoim miejscu, i wtedy fakt, że w środku dnia kręcił się tam Dexter, może stać się czymś bardzo znaczącym.

Właśnie takie drobne sprawy przyczyniają się do sukcesów w pracy policyjnej. Gliny szukają tych śmiesznych zbiegów okoliczności, a kiedy je znajdują, robią się bardzo poważni wobec osoby, która była w zbyt wielu interesujących miejscach zaledwie przez przypadek. Nawet jeśli taka osoba ma policyjny dowód tożsamości i zadziwiająco czarujący, sztuczny uśmiech.

Nie pozostało mi nic innego, jak wywinąć się sztuką: sprawdzić, kto mnie śledził i dlaczego, a potem przekonać ich, że to głupi sposób na marnowanie czasu. Przybrałem moją najlepszą Oficjalnie Powitalną minę, wysiadłem z samochodu i rześko podszedłem do forda. Szyba zjechała w dół i spojrzała na mnie wiecznie zagniewana twarz sierżanta Doakesa, jak maska jakiegoś okrutnego bożka wyrzeźbiona z kawałka ciemnego drewna.

- Dlaczego ostatnio tak często wychodzi pan z pracy w środku dnia? - zapytał bez złości, ale i tak dawał do zrozumienia, że cokolwiek bym powiedział, będzie to kłamstwo, a on mnie za to skrzywdzi.

- Ależ sierżancie! - powiedziałem radośnie. - Cóż za zdumiewający zbieg okoliczności. Co pan tu robi?

- Uważa pan, że jest coś ważniejszego niż praca? - rzekł. Jego chyba naprawdę nie interesował dialog, wzruszyłem więc ramionami. Kiedy mam do czynienia z ludźmi o ograniczonych umiejętnościach konwersacyjnych i bez widocznych chęci ich rozwijania, zawsze łatwiej się do nich upodobnić.

- Ja, hm... Musiałem załatwić pewne sprawy osobiste - wyjaśniłem. Zgadza się, słaba wymówka, ale Doakes przejawiał denerwującą skłonność do zadawania najbardziej dziwaczkich pytań z tak subtelną zjadliwością, że prawie się jękałem, nie mówiąc już o tym, że nie wychodziła mi żadna mądra odpowiedź.

Patrzył na mnie przez kilka niekończących się sekund w sposób, w jaki wygłodniały pitbull patrzy na surowe mięso.

- Sprawy osobiste - wyjaśnił bez zmruczenia oka. Moje słowa wydawały się jeszcze głębsze, kiedy je powtórzył.

- Zgadza się - potaknąłem.

- Pański dentysta jest w Gables - rzekł.

- No...

- Pański lekarz też, w Alamedzie. Nie ma pan prawnika, siostra nadal jest w pracy - mówił. - Jakie to sprawy osobiste pominąłem?

- Właściwie, hm, ja, ja... - powtarzałem i ze zdumieniem stwierdziłem, że się zacynam, i nadal nic mi nie przychodzi do głowy, a Doakes tylko na mnie patrzył, jakby mnie błagał, żebym zaczął się tłumaczyć, to obejdzie mnie z flanki.

- Śmieszne - podsumował w końcu. - Ja też mam tutaj do załatwienia sprawy osobiste.

- Naprawdę? - zapytałem, z ulgą uzmysławiając sobie, że moje usta znów są zdolne do formułowania myśli. - A cóż to takiego, panie sierżancie?

Po raz pierwszy w życiu widziałem, że się uśmiechnął, i muszę powiedzieć, że naprawdę wolałbym, żeby wyskoczył z samochodu i pogryzł mnie.

- Obserwuję pana - rzekł. Pozwolił mi przez chwilę podziwiać połysk swoich zębów, a potem okno podjechało do góry, a on zniknął za przyciemnionym szkłem jak kot z Cheshire.

5

Jeśli miałbym trochę czasu, z pewnością mógłbym wymienić całą listę rzeczy bardziej nieprzyjemnych niż sierżant Doakes snujący się za mną jak cień. Ale kiedy stałem w modnym stroju na złą pogodę i myślałem o Reikerze i jego czerwonych wysokich butach oddalających się ode mnie, wydało się to dostatecznie złe, a nie miałem natchnienia, żeby pomyśleć o czymś gorszym. Po prostu wsiałem do samochodu, włączyłem silnik i pojechałem przez deszcz do swojego mieszkania. Zwykle zabójcze wygłupy innych kierowców podobały mi się, sprawiały, że czułem się jak wśród swoich, ale z jakichś powodów rdzawoczerwony taurus jadący tak blisko za mną zniszczył cały urok.

Na tyle dobrze znałem sierżanta Doakesa, by wiedzieć, że nie był to z jego strony kaprys w deszczowy dzień. Jeśli mnie obserwuje, będzie to robił, dopóki mnie nie przyłapie na robieniu czegoś frywolnego. Albo dopóki okaże się, że nie jest już w stanie mnie obserwować. To jasne, że mogłem pomyśleć sobie o kilku intrygujących sposobach na to, żeby stracił zainteresowanie. Ale wszystkie były nieodwracalne, a mimo że właściwie nie miałem sumienia, to dysponowałem bardzo jasnym zbiorem zasad, który funkcjonował prawie tak samo jak sumienie.

Wiedziałem, że wcześniej czy później sierżant Doakes zrobi to czy owo, żeby odwieść mnie od mojego hobby, myślałem więc długo i pracowicie, co zrobić, kiedy to uczyni. Najlepsze, co wpadło mi do głowy, niestety, to było czekać i patrzeć.

Niby jak? – moglibyście powiedzieć i mielibyście całkowitą rację. Czy naprawdę możemy ignorować oczywistą odpowiedź? W końcu Doakes może okazać się silny i śmiertelnie groźny, ale Mroczny Pasażer był jeszcze silniejszy i groźniejszy i nikt nie potrafił mu się przeciwstawić, kiedy przejmował kierownicę. Może ten jeden raz...

„Nie”, powiedział mi do ucha łagodny głosik.

Cześć, Harry. Dlaczego nie? Kiedy pytałem, wróciłem myślą do czasów, gdy mi to mówił.

„Są zasady, Dexterze”, mówił Harry.

Zasady, tato?

To były moje szesnaste urodziny. Niewiele miałem przy tym zabawy, bo jeszcze nie nauczyłem się, jak grać osobę szalenie czarującą i towarzyską, i jeśli nie ja unikałem moich obślinionych rówieśników, to z zasady oni unikali mnie. Przeżyłem okres dojrzewania jak owczarek biegający w stadzie brudnych, bardzo głupich owiec. Od tego czasu nauczyłem się wiele. Na przykład w wieku szesnastu lat byłem bliski stwierdzenia, że ludzie są naprawdę beznadziejni! Ale nie wydałem się z tym.

Moje szesnaste urodziny były zatem raczej powściągliwą imprezą. Doris, moja przybrana mama, niedawno zmarła na raka. Ale moja przybrana siostra, Deborah, zrobiła mi ciasto, a Harry dał mi nową wędkę. Zdmuchnąłem świece, zjedliśmy ciasto, a potem Harry zabrał mnie na podwórko za naszym skromnym domkiem przy Coconut Grove. Usiadł przy stole piknikowym z sekwojowego drewna, który zmajstrował i postawił obok ceglanego rusztu, i pokazał, żebym też usiadł.

– Cóż, Dex – powiedział. – Szesnastka. Jesteś już prawie mężczyzną.

Nie byłem pewien, co to miało znaczyć. Ja? Mężczyzną? Jak u ludzi? I nie wiedziałem, jakiej reakcji z mojej strony się spodziewał. Ale w ogóle, to wiedziałem, że przy Harrym lepiej się nie wymądrzać, kiwnąłem więc tylko głową. A Harry zrobił mi rentgena swoimi niebieskimi oczami.

- Czy w ogóle interesują cię dziewczyny? - zapytał.

- Hm... Niby w jaki sposób?

- Całowanie. Obsciskiwanie. Wiesz. Seks.

Głowa mi zaczęła wirować na samą myśl o tym, jakby zimna, ciemna stopa kopała mnie w czoło od środka.

- Nie, hm, nie. Ja, hm - odparłem elokwentnie. - Nie w ten sposób.

Harry pokiwał głową, jakby to miało sens.

- Ale chyba nie chłopcy - upewnił się, a ja tylko pokręciłem głową. Harry popatrzył na stół, potem znów na dom. - Kiedy ukończyłem szesnaście lat, ojciec zabrał mnie do dziwki. - Pokiwał głową i po twarzy przemknął mu uśmiezek. - Uporanie się z tym zajęło mi dziesięć lat. - Nie byłem w stanie niczego wymyślić, żeby się do tego odnieść. Idea seksu była mi zupełnie obca, a myśl o płaceniu za to, szczególnie za własne dziecko i kiedy tym dzieckiem był Harry - to już doprawdy! Tego było za wiele. Popatrzyłem na Harry'ego bliski paniki, a on się uśmiechnął.

- Nie - powiedział. - Nie miałem zamiaru ci tego proponować. Oczekuję, że zrobisz dobry użytek z tej wędki. - Powoli pokręcił głową i odwrócił wzrok, patrzył w dal, nad stołem piknikowym, nad podwórkiem, wzdłuż ulicy. - Albo z noża do filetowania.

- Tak - odparłem, starając się nie używać zbyt obojętnego tonu.

- Nie - powtórzył. - Obaj wiemy, czego chcesz. Ale nie jesteś gotów.

Od tego pierwszego razu, kiedy Harry powiedział mi, kim jestem, przed laty, na pamiętnym kempingu, zaczęliśmy przygotowania. Mówiąc słowami Harry'ego, „robiliśmy ze mnie ludzi”. Jako młoda barania głowa, sztuczna ludzka istota, chciałem jak najszybciej zacząć moją szczęśliwą karierę, ale Harry powstrzymał mnie, bo Harry zawsze wiedział lepiej.

- Będę ostrożny - obiecałem.

- Ale nie doskonały - odparł. - Są zasady, Dexterze. Muszą być. To odróżnia cię od innych takich.

- Zharmonizować się - rzekłem. - Posprzątać, nie ryzykować, hm...

Harry pokręcił głową.

- Coś ważniejszego. Zanim zaczniesz, musisz być pewien, że ta osoba naprawdę na to zasługuje. Mógłbym ci wyliczyć wiele przypadków, kiedy wiedziałem, że człowiek jest winny, ale musiałem go puścić. Widzieć, jak drań patrzy na ciebie i drwiąco się uśmiecha, i obaj wiecie, że jest winien, ale musisz przytrzymać mu drzwi i wypuścić go... - Zaciśnął szczęki i uderzył pięścią w stół piknikowy. Nie spodoba ci się to. Ale... musisz być pewien. Stuprocentowo pewien. A nawet kiedy jesteś absolutnie przekonany... - Uniósł dłoń w górę, wnętrzem w moją stronę. - Znajdź jakieś dowody. Nie muszą być przedstawiane w sądzie, dzięki Bogu. - Roześmiał się ironicznie.

- Nigdzie z nimi nie pójdziesz. Ale potrzebny ci jest dowód, Dexterze. To rzecz najważniejsza. - Postukał kostkami w stół. - Musisz mieć dowód. A nawet wtedy...

Przerwał, a nie była to przerwa charakterystyczna dla Harry'ego, a ja czekałem, wiedząc, że zbliża się coś trudnego.

- Czasem nawet wtedy musisz ich puścić. Bez względu na to, jak bardzo na to zasłużyli. Jeśli zbytnio... rzucają się w oczy,

na przykład. Jeśli to przyciągnęłoby zbyt wiele zainteresowania, niech sobie idą wolno.

Hm, to było to. Jak zwykle, Harry miał dla mnie odpowiedź. Za każdym razem, kiedy brakowało mi pewności, słyszałem Harry'ego szepczącego mi do ucha. Byłem pewien, ale nie miałem dowodów, że Doakes jest kimś więcej niż tylko bardzo złym i podejrzliwym gliniarzem, a poszatkowanie gliniarza byłoby z pewnością jedną z tych rzeczy, które oburzają miasto. Po niedawnym, przedwczesnym zgonie detektyw LaGuerty władze policyjne byłyby prawie na pewno nieco rozdrażnione, gdyby drugi gliniarz zszedł w ten sam sposób.

Bez względu na potrzebę Doakes był poza moim zasięgiem. Mogłem patrzeć przez okno na rdzawoczerwonego taurusa zaparkowanego pod drzewem, ale nie mogłem nic z tym zrobić, najwyżej czekać, aż niespodziewanie pojawi się jakieś inne rozwiązanie - na przykład fortepian spadnie mu na głowę. Trochę to przykre, ale pozostało mi zdać się na łut szczęścia.

Ale tego wieczoru szczęście nie uśmiechnęło się do biednego Rozczarowanego Dextera, a później, w okolicach Miami, dał się odczuć tragiczny brak spadających fortepianów. I oto krążyłem sfrustrowany po mojej norce, a za każdym razem, kiedy przypadkowo zerknąłem za okno, stał tam ten taurus, zaparkowany po drugiej stronie ulicy. Świadomość tego, kim jestem, dająca mi tyle radości jeszcze godzinę temu, teraz ciążyła ołowiem. Czy Dexter może wyjść i się zabawić? Niestety, nie, kochany Mroczny Pasażerze. Dexter zrobił sobie przerwę.

Była jednak pewna konstruktywna rzecz, którą mogłem zrobić, nawet uwięziony we własnym mieszkaniu. Wyjąłem z kieszeni zmięty kawałek papieru znaleziony na łodzi MacGregora i wygładziłem go. Palce zrobiły mi się lepkie

od resztek mazi z taśmy izolacyjnej, do której przyklejony był papier. Reiker i numer telefonu. Więcej niż trzeba, żeby wprowadzić do jednej z książek telefonicznych, do których miałem dostęp przez komputer. W ciągu kilku minut zrobiłem, co trzeba.

Był to numer telefonu komórkowego zarejestrowanego na pana Steve'a Reikera z Tigertail Avenue w Coconut Grove. Krótka weryfikacja ujawniła, że pan Reiker był zawodowym fotografem. Oczywiście, to mógł być zbieg okoliczności. Jestem pewien, że na świecie jest wielu ludzi o nazwisku Reiker, którzy są fotografami. Zajrzałem do Żółtych Stron i stwierdziłem, że ten konkretny Reiker miał specjalizację. Ogłaszał się na ćwiartce strony: Zapamiętaj je takimi, jakimi są teraz.

Reiker specjalizował się w zdjęciach dzieci.

Teorię zbiegu okoliczności można było odrzucić.

Mroczny Pasażer zaczął się wiercić i chichotać z niecierpliwości, a ja przyłapałem się na tym, że planuję wyprawę do Tigertail, żeby szybko rozejrzeć się po okolicy. Nie było to zbyt daleko. Mógłbym pojechać tam nawet teraz i...

I pozwolić sierżantowi Doakesowi, żeby pojechał za mną i zagrał w Przyszpil Dextera. Doskonały pomysł, stary. Gdyby Reiker któregoś dnia wreszcie zniknął, zaoszczędziłoby to Doakesowi mnóstwo zmuśnej pracy śledczej. Mógłby skrócić całą tę nużącą rutynę i po prostu przyjść po mnie.

W takim razie, kiedy Reiker zniknie? Było to strasznie frustrujące; miałem godny wysiłku cel w zasięgu wzroku, ale trzymano mnie w szachu. Po kilku godzinach Doakes nadal parkował po drugiej stronie ulicy, a ja wciąż siedziałem tutaj. Co robić? Na plus mogłem liczyć to, że Doakes nie widział wystarczająco wiele, żeby podjąć jakiegokolwiek działania poza śledzeniem mnie. Ale na samym początku wielkiej kolumny minusów znajdowało się to, że jeśli nie zaprzestanie mnie

obserwować, będę zmuszony trzymać się pozorów łagodnego w obejściu szczura z laboratorium kryminalistycznego i starannie unikać czegokolwiek bardziej śmiertelności niż godziny szczytu na Palmetto Expressway. To nie dla mnie. Odczuwałem nacisk nie tyle ze strony Pasażera, ile ze strony zegara. Nie mogłem za długo czekać ze znalezieniem jakichś dowodów, że to Reiker był fotografem, który robił zdjęcia dla MacGregora, a jeśli tak, to odbędziemy z nim ostrą i uszczypliwą pogawędkę. Jeśli zda sobie sprawę, że MacGregor poszedł wspólną drogą wszystkich ciał, najprawdopodobniej weźmie nogi za pas. A jeśli z kolei moi koledzy w komendzie policji zdadzą sobie z tego sprawę, dla Dziarskiego Dextera sprawy mogą się bardzo skomplikować.

Ale Doakes był najwyraźniej nastawiony na długie czekanie i na razie nic nie mogłem na to poradzić. Strasznie frustrowała mnie myśl, że Reiker chodzi sobie swobodnie po świecie, zamiast rzucać się w więzach z taśmy izolacyjnej. Homicidus interruptus². Łagodny jęk i zgrzytanie konceptualnych zębów dochodziło od Mrocznego Pasażera, a ja wiedziałem, co on czuł, ale niewiele więcej mogłem zrobić, jak tylko chodzić tam i z powrotem. I nawet to niewiele pomagało: jeśli nie przestanę, wytrę dziurę w dywanie, a wtedy nie zwrócą mi depozytu, który wpłaciłem za mieszkanie w charakterze zabezpieczenia przed szkodami.

Instynktownie czułem, że muszę zrobić coś, co zbiłoby Doakesa z pantafelku - ale on nie był zwyczajnym tropowcem. Potrafiłem wymyślić tylko jedną rzecz, dzięki której jego drżący, gorliwy nos straciłby trop. Istniało jakieś prawdopodobieństwo, że dam radę go zmęczyć, wyczekując, zachowując się normalnie tak długo, aż w końcu się podda i wróci do swojej prawdziwej roboty, do łapania tych wszystkich naprawdę okropnych mieszkańców ciemnej strony naszego pięknego miasta. Przecież nawet teraz byli w swoim żywiole, parkując

w niedozwolonych miejscach, śmiejąc i grożąc, że w najbliższych wyborach zagłosują na Demokratów. Jak może marnować czas na małego, kochanego Dextera i jego nieszkodliwe hobby?

Zatem dobrze: stanę się bezgranicznie zwyczajny, aż rozboleą go zęby. Zajmie to raczej tygodnie niż dni, ale podołam temu. Będę wiódł całkowicie syntetyczne życie, które stworzyłem, żeby wydawać się istotą ludzką. A skoro ludźmi kieruje przeważnie seks, zacznę odwiedzać dziewczynę, moją przyjaciółkę, Ritę.

To dziwne terminy: „dziewczyna”, „przyjaciółka”, szczególnie gdy chodzi o osoby dorosłe. W praktyce ten pomysł jest jeszcze bardziej dziwny. Uogólniając, dla dorosłych termin opisuje kobietę, a nie dziewczynę, chętną do uprawiania seksu, a nie do przyjaźni. Z moich obserwacji wynika, iż całkiem prawdopodobne jest, że ktoś obdarzy swoją przyjaciółkę raczej czynną nienawiścią niż przyjaźnią, chociaż oczywiście, prawdziwa nienawiść zarezerwowana jest dla związków małżeńskich. Jak do tej pory nie udało mi się określić, czego kobieta oczekuje w zamian od chłopaka, ale najwyraźniej dysponowałem tym czymś, jeśli chodzi o Ritę. Z pewnością nie był to seks, który jest dla mnie równie interesujący jak szacowanie deficytu w handlu zagranicznym.

Na szczęście, Rita także nie była zanadto zainteresowana seksem. Stanowiła produkt katastrofalnie wczesnego małżeństwa z mężczyzną, którego pomysł na dobre spędzanie czasu polegał, jak się okazało, na paleniu cracku i biciu żony. Potem rozszerzył działalność na zarażanie jej kilkoma intrygującymi chorobami. Ale kiedy pewnego wieczoru poturbował dzieci, jej baśniowa lojalność, rodem z westernowej ballady, nie wytrzymała. Rita wyrzuciła tę świnię ze swojego życia, szczęśliwie prosto do więzienia.

W rezultacie tego zamieszania zaczęła się rozglądać za dżentelmenem, który mógłby zainteresować się jej towarzystwem i prowadzeniem konwersacji, za kimś, kto nie musi dogadzać prymitywnym, zwierzęcym popędem niskich namiętności. Za człowiekiem, innymi słowy, który doceniłby ją za bardziej wyrafinowane zalety niż skłonność do uczestnictwa w nagiej akrobatyce. Ecce³ Dexter. Prawie przez dwa lata była dla mnie maską doskonałą, najważniejszym składnikiem Dextera, którego znał zewnętrzny świat. W zamian za to nie biłem jej, nie zaspokajałem swoich zwierzęcych żądz, używając do tego jej ciała, a Ricie właściwie odpowiadało moje towarzystwo.

W charakterze premii polubiłem nawet jej dzieci, Astor i Cody'ego. Może to dziwne, ale zapewniam was, że jednak prawdziwe. Gdyby wszyscy ludzie na świecie mieli zniknąć w tajemniczych okolicznościach, zirytowałyby mnie to tylko dlatego, że nie miałyby kto robić mi pączków. Ale dzieci mnie interesują i naprawdę lubię je. Dwoje dzieciaków Rity przeszło traumatyczne wczesne dzieciństwo i może dlatego, że ja doświadczyłem tego samego, byłem do nich szczególnie przywiązany, co wychodziło poza ramy maskowania, do którego służyła mi Rita.

Nie licząc premii w postaci jej dzieci, sama Rita nieźle się prezentowała. Miała krótkie i ładne blond włosy, wyćwiczone, atletyczne ciało i rzadko mówiła oczywiste głupstwa. Mogłem pokazywać się z nią publicznie i wiedziałem, że wyglądaliśmy jak dobrana ludzka para, a o to właśnie chodziło. Ludzie mówili nawet, że jesteśmy atrakcyjną parą, chociaż nie wiedziałem, o co im chodziło. Przypuszczam, że dla Rity byłem w jakiś sposób pociągający, chociaż konto jej osiągnięć z mężczyznami nie sprawiało, żeby mi to szczególnie pochlebiało. Ale i tak miło było mieć obok siebie kogoś, kto myśli, że jestem cudowny. To potwierdza moje niskie mniemanie o ludziach.

Popatrzyłem na zegar na biurku. Piąta trzydzieści dwie: w ciągu następnego kwadransa Rita wróci do domu z pracy w Fairchild Title Agency, gdzie zajmowała się czymś bardzo skomplikowanym, co wymagało ułamek punktów procentowych. Zanim dotrę do jej domu, powinna już tam być.

Z radosnym, syntetycznym uśmiechem wyszedłem za drzwi, pomachałem Doakesowi i pojechałem do skromnego domku Rity w południowym Miami. Ruch uliczny nie był najgorszy, to znaczy, że nie zdarzyły się śmiertelne wypadki ani strzelaniny i w niecałe dwadzieścia minut zaparkowałem samochód przed bungalowem Rity.

Sierżant Doakes minął mnie i pojechał do końca uliczki, a kiedy pukalem do drzwi, stanął po drugiej stronie jezdni.

Drzwi otworzyły się na oścież i pojawiła się w nich Rita.

- Och! - rzekła. - Dexter.

- We własnej osobie - powiedziałem. - Byłem w okolicy i zastanawiałem się, czy zdążyłaś już wrócić do domu.

- Hm, ja... właśnie weszłam w drzwi. Muszę strasznie wyglądać... Hm, wejdź. Chcesz piwa?

Piwo, co za myśl. Nigdy nie tknąłem tego świństwa, a jednak było tak szalenie normalne. Tak perfekcyjnie w stylu „odwiedziny u dziewczyny po pracy”, że nawet na Doakesie powinno zrobić wrażenie. To był właściwy ruch.

- Z przyjemnością - powiedziałem i poszedłem za nią do względnie chłodnego salonu.

- Usiądź, proszę - powiedziała. - Mam zamiar trochę się odświeżyć. - Uśmiechnęła się do mnie. - Dzieci są na podwórku za domem, ale myślę, że zaraz tu wpadną, kiedy tylko odkryją, że przyjechałeś - dodała i poszła w głąb korytarza, a po chwili wróciła z puszką piwa. - Zaraz wracam - rzekła, a potem przeszła do sypialni na tyłach domu.

Siedziałem na kanapie i patrzyłem na piwo, które trzymałem w ręku. Nie piję alkoholu – naprawdę, alkohol nie jest zalecany drapieźnikom. Osłabia refleks, mąci zmysły i przeciera na łokciach kaftanik ostrożności, co zawsze wydawało mi się bardzo złą rzeczą. Ale oto ja, demon na wakacjach, składałem ofiarę ostateczną ze swoich mocy, stając się człowiekiem – a piwo było tym, czego potrzebował Dexter Abstynent.

Pociągnąłem łyk. Smak był gorzki i mdły. Też stałbym się taki, gdybym musiał za długo trzymać Mrocznego Pasażera przypiętego na tylnym siedzeniu pasem bezpieczeństwa. Myślę jednak, że smak piwa trzeba polubić. Znów upiłem łyk, czułem, jak bulgocze w drodze na dół i rozlewa się po żołądku. I wtedy przyszło mi do głowy, że z powodu wszystkich tych emocji i frustracji dnia nie zjadłem lunchu. Ale co, u diabła, to tylko piwko; albo jak dumnie głosił napis na puszcze: Piwo jasne.

Wziąłem większy łyk. Nie było takie złe, jak się do niego przyzwyczaiło. Do licha, naprawdę relaksowało. Przynajmniej ja czułem się coraz bardziej rozluźniony z każdym kolejnym łykiem. Jeszcze jedno odświeżające pociągnięcie – nie pamiętam, żeby tak dobrze smakowało w college’u, kiedy go próbowałem. Oczywiście, wtedy byłem tylko chłopcem, a nie mężczyzną dojrzałym, ciężko pracującym, uczciwym obywatelem, którym stałem się potem. Przechyliłem puszkę, ale już nic z niej nie wyciekło.

Cóż – jakoś udało mi się ją opróżnić. A mimo to nadal byłem spragniony. Czy ta nieprzyjemna sytuacja naprawdę może być tolerowana? Pomyślałem, że nie. Rzecz absolutnie nie do zniesienia. Nie miałem zamiaru jej tolerować. Wstałem i poszedłem do kuchni mocnym i zdecydowanym krokiem. W lodówce było jeszcze kilka puszek jasnego piwa, wziąłem więc jedną i wróciłem na kanapę.

Usiadłem. Otworzyłem piwo. Pociągnąłem łyk. Znacznie lepiej. A przy okazji, cholera z tym Doakesem. Może powinienem zanieść mu jedno piwo. Mogłoby to go odprężyć, złagodniałby wtedy i odwołał całą imprezę. W końcu, byliśmy po tej samej stronie, prawda?

Łyknąłem. Wróciła Rita w dżinsowych szortach i białej bluzce z maleńką satynową muszką pod szyją. Musiałem przyznać, że wyglądała bardzo ładnie. Niezłe maskowanie wybrałem.

- Cóż. - Usiadła na kanapie obok mnie. - Miło cię widzieć, tak ni z tego, ni z owego.

- Ano, tak się złożyło - powiedziałem.

Przechyliła głowę na bok i popatrzyła na mnie śmiesznie.

- Miałaś ciężki dzień w pracy?

- Koszmarny - odparłem i pociągnąłem łyk. - Musiałem wypuścić złego typu. Bardzo złego.

- Och - zachmurzyła się. - Dlaczego... chciałam powiedzieć, czy nie mogłeś...

- Chciałem móc - rzekłem. - Ale nie mogłem. - Uniosłem puszkę z piwem ku niej. - Polityka. - Znów pociągnąłem łyk.

Rita pokręciła głową.

- Nadal nie mogę się przyzwyczaić do myśli, że, że... chodzi mi o to, że z zewnątrz to wygląda tak rutynowo. Znajdujesz złego typu, usuwasz go. Ale polityka? To znaczy... co on zrobił?

- Pomógł zabić kilkoro dzieci - powiedziałem.

- Och. - Była wstrząśnięta. - Mój Boże, musisz coś z tym zrobić.

Uśmiechnąłem się do niej. Widziała to we właściwym świetle. Co za dziewczyna. Czy nie mówiłem, że niezłe ją wybrałem?

- Pokazałaś to jak palcem - stwierdziłem i wziąłem ją za rękę, żeby popatrzeć na ten palec. - Jest coś, co mogę

zrobić. I to bardzo dobrze. Potrzebny jest tylko sposób. - Poklepałem ją po ręku, rozlewając tylko trochę piwa. - Wiedziałem, że zrozumiesz.

Wyglądała na speszoną.

- Och - westchnęła znowu. - Jaki sposób... to znaczy... co masz zamiar zrobić?

Pociągnąłem łyk. Dlaczego jej nie powiedzieć? Wiedziałem, że już się połapała. Czemu nie? Otworzyłem usta, ale zanim zdołałem wyszeptać choćby jedną sylabę o Mrocznym Pasażerze i moim niewinnym hobby, do pokoju wpadli Cody i Astor, zatrzymali się nagle na mój widok i stali, zerkając na matkę.

- Cześć, Dexter. - Astor szturchnęła brata.

- Cześć - zawtórował jej cichutko. Nie był gadułą. Nigdy wiele nie mówił. Biedny dzieciak. Cała ta sprawa z ojcem naprawdę namieszała mu w głowie. - Jesteś pijany? - zapytał mnie.

- Cody! - powiedziała Rita. Dzielnie machnąłem na nią ręką i zwróciłem się do niego bezpośrednio.

- Pijany? - zapytałem. - Ja?

Pokiwał głową.

- Tak.

- Z całą pewnością nie - zaprzeczyłem stanowczo, patrząc na niego groźnie i dostojnie. - Możliwe, że troszeczkę podchmielony, ale to zupełnie co innego.

- Och - zdziwił się, a siostrzyczka wtrąciła się do rozmowy:

- Zostajesz na obiad?

- Hm, myślę, że powinienem już iść - powiedziałem, ale Rita z zadziwiającą stanowczością położyła mi dłoń na ramieniu.

- W takim stanie nie będziesz prowadził - oświadczyła.

- W jakim stanie?

- Podchmielony - odparł Cody.

- Nie jestem podchmielony.

- Powiedziałaś, że jesteś - przypomniał Cody. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz słyszałem, jak wypowiedział trzy słowa od razu i byłem z niego bardzo dumny.

- Powiedziałaś - dodała Astor. - Powiedziałaś, że nie jesteś pijany, tylko troszeczkę podchmielony.

- Tak mówiłem? - Oboje pokiwali głowami. - Och. Cóż, zatem...

- Zatem - wtrąciła Rita - proponuję, żebyś został na obiad.

No cóż. Chyba powinienem tak zrobić. W każdym razie miałem pewność, że tak zrobię. Wiem, że w pewnym momencie, kiedy poszedłem do lodówki po jasne piwo, odkryłem, że wszystkie zniknęły. A trochę później znów siedziałem na kanapie. Telewizor był włączony, a ja próbowałem domyślić się, co mówią aktorzy i dlaczego niewidzialna widownia myślała, że to najweselsze dialogi na świecie.

Rita usiadła na kanapie obok mnie.

- Dzieci są w łóżku. Jak się czujesz?

- Czuję się cudownie - rzekłem. - Gdybym tylko był w stanie domyślić się, co tam jest takiego śmiesznego.

Rita położyła mi dłoń na ramieniu.

- To naprawdę cię gryzie, prawda, że musiałeś puścić złego typa? Dzieci... - Przynęła się bliżej i objęła mnie, kładąc głowę na moim ramieniu. - Ty jesteś takim fajnym facetem, Dexter.

- Nie, nie jestem - odparłem, zastanawiając się, dlaczego powiedziała coś tak dziwnego.

Rita wyprostowała się, spojrzała najpierw w moje lewe, a potem w prawe oko i znowu w lewe.

- Właśnie, że jesteś, i wiesz o tym. - Uśmiechnęła się i znów położyła głowę na moim ramieniu. - To... miło,

że tu przyszedłeś, żeby się ze mną zobaczyć, kiedy się źle poczułeś.

Już zaczynałem jej mówić, że nie do końca ma rację, ale nagle przyszło mi coś do głowy: rzeczywiście przyszedłem tutaj, kiedy poczułem się źle. Prawda, chodziło tylko o to, żeby Doakes znudził się i odjechał po tym strasznym rozczarowaniu, kiedy przeszła mi koło nosa randka z Reikerem. Ale okazało się, że to, w końcu, świetny pomysł, prawda? Kochana Rita. Była bardzo ciepła i ładnie pachniała.

- Kochana Rita - powiedziałem. Przyciągnąłem ją do siebie tak mocno, jak tylko mogłem i przyłożyłem policzek do czubka jej głowy.

Siedzieliśmy tak przez parę minut, a potem Rita wywinęła się z moich objęć, stanęła i pociągnęła mnie za rękę.

- Chodź - zaproponowała. - Połóżmy cię do łóżka.

Co też uczyniliśmy i kiedy zapadłem się pod kołdrę, a ona wczłogała się i położyła obok mnie, to była taka ładna i taka ciepła, i miękka, że...

Hm. Piwo to naprawdę zdumiewający napój, prawda?

2 łac. morderstwo przerywane (przyp. red.).

3 łac. oto (przyp. red.).

6

Obudziłem się z bólem głowy, koszmarną odrazą do siebie i poczuciem dezorientacji. Na policzku miałem różową kołderkę. Moja kołdra – kołdra, pod którą budzę się co rano w moim łóżeczku – nie jest koloru różowego i pachnie inaczej. Materac był za obszerny jak na moje wysuwane łóżko i doprawdy miałem pewność, że i ból głowy nie jest mój.

- Dzień dobry, przystojniaku – usłyszałem głos, dobiegający skądś, od moich stóp. Odwróciłem głowę i zobaczyłem Ritę stojącą u stóp łóżka, przyglądała mi się ze szczęśliwym uśmiechem.

- Ung – powiedziałem głosem, który zabrzmiał jak skrzeczenie ropuchy i sprawił, że głowa jeszcze bardziej mnie rozboleła. Ale widocznie był to ból rozrywkowy, bo Rita uśmiechnęła się szerzej.

- Tak właśnie myślałam – stwierdziła. – Przyniosę ci aspirynę. – Pochyliła się i potarła mi nogę. – Hm – mruknęła, a potem odwróciła się i poszła do łazienki.

Usiadłem. Możliwe, że popełniłem strategiczny błąd, bo pulsowanie w głowie bardzo się nasiliło. Zamknąłem oczy, odetchnąłem głęboko i czekałem na aspirynę.

Do tego normalnego życia trzeba będzie się trochę przyzwyczajać.

Dziwne, ale to nie było wcale konieczne. Odkryłem, że jeśli się ograniczę do jednego, dwóch piw, będę wystarczająco odprężony, żeby wtopić się w pokrowiec kanapy. I tak, kilka dni w tygodniu, z niezmiennie wiernym sierżantem Doakesem

w moim lusterku wstecznym, zatrzymywałem się po pracy w domu Rity, bawiłem się z Codym i Astor i siadywałem z Ritą, kiedy dzieciaki były w łóżku. Około dziesiątej zmierzałem ku drzwiom. Rita chyba oczekiwała, że pocałuję ją na do widzenia, zazwyczaj aranżowałem więc to tak, żeby całować ją przy otwartych drzwiach wejściowych, gdzie Doakes mógł mnie widzieć. Wykorzystywałem wszystkie techniki, które widziałem na wielu filmach, a Rita radośnie na to reagowała.

Lubię rutynę, a tę nową doprowadziłem do punktu, w którym sam prawie zacząłem w nią wierzyć. Była tak nużąca, że ułożyłem moje prawdziwe ja do snu. Z oddali, z tylnego siedzenia, z najodleglejszego, ciemnego zakątka Dexterlandii słyszałem nawet, jak Mroczny Pasażer zaczął cichutko pochrapywać, co wydawało mi się trochę straszne i sprawiło, że po raz pierwszy poczułem się trochę samotny. Ale trzymałem kurs i zabawiałem się wizytami u Rity, żeby dowiedzieć się, jak długo mogę to ciągnąć, będąc świadom, że Doakes patrzy i - miejmy nadzieję - zaczyna się trochę dziwić. Przynosiłem kwiaty, słodczyce i pizzę. Całowałem Ritę coraz cudaczniej w sprawie otwartych drzwi, żeby Doakes miał możliwie najlepszy widok. Wiem, że to widowisko mogło wydawać się śmieszne, ale było jedyną bronią, jaką dysponowałem.

Doakes całymi dniami przebywał ze mną. Pojawiał się w nieprzewidywalnych momentach, co sprawiało, że wydawał się jeszcze groźniejszy. Nigdy nie wiedziałem, kiedy ani gdzie się ukáže, toteż miałem wrażenie, jakby ciągle był obecny. Kiedy szedłem do spożywczego, Doakes czekał przy brokułach. Kiedy jechałem na rowerze przy Old Cutler Road, gdzieś po drodze widywałem rdzawoczerwonego taurusa zaparkowanego pod figowcem. Mógł minąć dzień, kiedy nie widziałem Doakesa, ale wyczuwałem, że gdzieś tam jest, krąży w powietrzu i czeka, a ja nie śmiałem marzyć,

że zrezygnował; skoro go nie spotkałem, to albo się dobrze schował, albo czekał, żeby po raz kolejny znienacka pojawić się przede mną.

Musiałem zostać Dexterem Dziennym na pełny etat, jak aktor uwięziony w filmie, który wie, że obok istnieje prawdziwy świat, tuż za ekranem, ale dla niego jest nieosiągalny jak księżyc. I jak księżyc pociągała mnie myśl o Reikerze. Myśl o nim, człapiącym przez spokojne życie w tych absurdalnych, czerwonych butach, była niemal nie do wytrzymania.

Wiedziałem, oczywiście, że nawet Doakes nie może bez końca za mną chodzić. W końcu dostawał od ludu Miami przyzwoitą pensję za swoje zajęcia i od czasu do czasu musiał je wykonywać. Ale Doakes rozumiał tę wznoszącą się wewnętrzną falę, która waliła we mnie, i wiedział, że jeśli przez dłuższy czas nie popuści, maska ze mnie opadnie, musi opaść, kiedy chłodne szept z tylnego siedzenia staną się coraz bardziej natarczywe.

I tak oto balansowaliśmy na ostrzu noża, niestety tylko metaforycznego. Wcześniej czy później będę musiał stać się mną. Ale aż dotąd nie przestanę spotykać się często z Ritą. Nie dorastała do pięt mojemu staremu ogniewi, Mrocznemu Pasażerowi, ale ja potrzebowałem tajnej tożsamości. Do czasu więc, kiedy umknę Doakesowi, Rita stanie się moją peleryną, czerwonymi rajtuzami i pasem z gadżetami - prawie całym przebraniem.

Doskonale: będę siadywał na kanapie z puszką piwa w rękę, oglądał Walkę o przetrwanie i myślał o interesujących wariantach gry, które nigdy nie wejdą na antenę. Wystarczy po prostu dodać Dextera do rozbitków i zinterpretować tytuł troszkę bardziej dosłownie...

Nie wszystko było ponure, bezbarwne i żałosne. Kilka razy w tygodniu grałem w kopanie puszek z Codym i Astor,

i mieszaniną stworzeń z sąsiedztwa, co prowadzi nas do punktu, w którym wszystko rozpoczęliśmy: do Dextera bez Masztu, niezdolnego do żeglugi po wodach jego normalnego życia, zakotwiczonego w stadzie dzieciaków i puszce po ravioli. A wieczorami, kiedy padało, zostawaliśmy w środku, przy stole, a Rita krzątała się, piorąc, zmywając i na inne sposoby doskonaląc domowe szczęście.

Niewiele jest gier pokojowych, w które można grać z małymi dziećmi o tak zniszczonej psychice jak Cody i Astor; większość gier planszowych nie interesowała ich albo ich nie rozumiały, a zbyt wiele gier karcianych wymagało niefrasobliwej prostoduszności, której nawet ja nie potrafiłbym przekonująco udawać. Ale w końcu wybraliśmy szubieniczkę. Była edukacyjna, twórcza i trochę zabójcza, co wszystkich uczyniło szczęśliwymi, nawet Ritę.

Jeśli zapytalibyście mnie w okresie predoakesowym, czy życie z szubieniczką i piwem, jasnym millerem, to mój kawałek chleba, musiałbym wyznać, że Dexter Razowy jest cokolwiek ciemniejszy. Ale z upływem dni coraz głębiej wchodziłem w rzeczywistość mojego przebrania. Musiałem zapytać sam siebie: czy życie pana Podmiejskiego Domownika nie podoba mi się aby zanadto?

Niemniej miło było patrzeć, jak Cody i Astor rzucali się z drapieżnym zapalem na coś tak niewinnego jak szubieniczka. Ich entuzjazm do wieszania figurynek z kresek sprawiał, że czułem się nieco lepiej, jakbyśmy należeli do tego samego gatunku. Kiedy radośnie mordowali anonimowych wisielców, czułem z nimi pewne pokrewieństwo.

Astor szybko nauczyła się rysować szubienicę i linijki na litery. Miała duże zdolności werbalne.

- Siedem liter - mówiła, potem przygryzała górną wargę i dodawała: - Czekaj. Sześć. - Kiedy Cody i ja myliliśmy się, podskakiwała i krzyczała: - Ramię! Ha!

Cody patrzył bez wyrazu na nią, potem na gryzmołowatą figurkę zwisającą ze stryczka. Kiedy przychodziła jego kolej i myliliśmy się, mówił cichutko: Noga - i patrzył na nas z taką miną, która mogłaby oznaczać triumf u kogoś, kto okazywał emocje. A kiedy linia kresek pod szubienicą wreszcie wypełniała się przeliterowanym słowem, oboje z satysfakcją patrzyli na dyndającego człowieczka, a raz czy dwa Cody powiedział nawet: Nie żyje - zanim Astor podskoczyła i powiedziała: Jeszcze raz, Dexter. Moja kolej!

Idylla. Nasza doskonała rodzinka z Ritą, dziećmi i Potworem liczyła czworo członków. Ale bez względu na to, ile figurek z kresek straciliśmy, nie zrobiłem nic, żeby zabić niepokój, że czas gwałtownie upływa i wkrótce będę siwowłosym starcem, za słabym, żeby unieść nóż do krojenia mięsa, tuptającym chwiejnie przez przerażająco zwyczajne dni, prześladowanym przez postarzałego sierżanta Doakesa i poczucie straconej szansy.

Póki nie byłem w stanie wymyślić drogi wyjścia z tej sytuacji, sam dyndałem w pętli, jak patyczkowate figurki Cody'ego i Astor. Bardzo przygnębiające, a ja ze wstydem muszę wyznać, że prawie straciłem nadzieję, co nigdy by mi się nie zdarzyło, gdybym pamiętał o pewnej ważnej rzeczy.

To było Miami.

7

Oczywiście, to nie mogło trwać wiecznie. Powinienem wiedzieć, że taki nienaturalny stan rzeczy musi ustąpić, przegrać z naturalnym porządkiem spraw. W końcu mieszkałem w mieście, w którym chaos był jak światło słoneczne, zawsze tuż za kolejną chmurą. Trzy tygodnie po pierwszym, denerwującym spotkaniu z sierżantem Doakesem chmury wreszcie ustąpiły.

To był łut szczęścia, naprawdę - niezupełnie jak spadający fortepian, na który miałem nadzieję, ale i tak okazał się to szczęśliwy zbieg okoliczności. Jadłem lunch ze swoją siostrą, Deborah. Przepraszam, powinienem powiedzieć, z sierżant Deborah. Podobnie jak jej ojciec, Harry, Debs była gliną. W związku ze szczęśliwym zakończeniem niedawnych wydarzeń została awansowana, wyciągnięta z przebrania prostytutki, które musiała nosić w obyczajówce, opuściła róg ulicy i włożyła własne, sierżanckie naszywki.

Powinna być z tego powodu bardzo szczęśliwa. W końcu, myślała, że to jest to, czego pragnie, koniec harówki dziwki na niby. Każda młoda i atrakcyjna funkcjonariuszka, pracująca w obyczajówce, wcześniej czy później zostanie przydzielona do działań operacyjnych jako prostytutka, a Deborah była bardzo atrakcyjna. Ale jej ponętna figura i ładna twarz stały się przyczyną wielu problemów. Nie znośiła wkładać na siebie niczego, co w najmniejszym choćby stopniu podkreślałoby jej fizyczny wdzięk, a stanie na ulicy w obcisłych spodenkach i koszulce było dla niej torturą. Groziło jej, że zostanie jej na stałe ta niezadowolona mina.

Ponieważ jestem nieludzkim potworem, mam skłonność do logicznego myślenia i sądziłem, że nowy przydział zakończy jej męczeństwo jako Naszej Pani od Wiecznego Zrządzenia. Niestety, nawet przeniesienie do wydziału zabójstw nie spowodowało uśmiechu na jej twarzy. Gdzieś po drodze doszła do wniosku, że poważni funkcjonariusze organów ścigania muszą przekształcać twarze tak długo, aż zaczną wyglądać jak wielkie, bezduszne ryby, i pracowała bardzo ciężko, żeby to osiągnąć.

Na lunch pojechaliśmy razem, jej nowym samochodem z parkingu policyjnego. Była to kolejna dodatkowa korzyść związana z awansem, która powinna wprowadzić trochę słońca w jej życie. Nie wyglądało na to. Zastanawiałem się, czy powinienem się o nią martwić. Patrzyłem na nią, kiedy siadałem przy stole w café Relampago, naszej ulubionej kubańskiej restauracji. Przywołała swój status i pozycję, a potem usiadła naprzeciwko mnie z pochmurną miną.

- Cóż, sierżancie Grouper - powiedziałem, kiedy wzięliśmy karty dań.

- To takie śmieszne, Dexter?

- Tak. Bardzo śmieszne. I trochę smutne też. Jak samo życie. Szczególnie twoje życie, Deborah.

- Pieprz się, Charlie - rzekła. - Moje życie jest wspaniałe. - I żeby tego dowieść, zamówiła kanapkę medianoche, najlepszą w Miami i batido de mamey, koktajl mleczny robiony z rzadkich owoców tropikalnych, który smakuje jak połączenie brzoskwini z arbuzem.

Moje życie było równie wspaniałe jak jej, zamówiłem więc to samo. Ponieważ byliśmy tutaj stałymi klientami i przychodziliśmy tu przez całe życie, podstarzały, nieogolony kelner wyrwał nam karty dań z grymasem, który mógłby stanowić model dla miny Deborah, i poszedł w stronę kuchni, głośno tupiąc, jak Godzilla w drodze do Tokio.

- Wszyscy są tacy radośni i szczęśliwi - powiedziałem.

- To nie jest opera mydlana, to Miami, Dex. Tylko źli faceci są szczęśliwi. - Obrzuciła mnie perfekcyjnym gliniarskim spojrzeniem. - Jak to jest, że nie śmiejesz się i nie śpiewasz?

- Niedobra Deb. Bardzo niedobra. Od miesiący jestem grzeczny.

Napiła się wody.

- Hm, hm. I dlatego wariujesz.

- Jest znacznie gorzej - stwierdziłem. Przeszedł mnie dreszcz. - Jestem zmuszany do normalności.

- Gadasz - odparła.

- Smutne, ale prawdziwe. Stałem się kartoflem kanapowym.

- Zawahałem się, potem wyrzuciłem to z siebie. W końcu, jeśli chłopak nie potrafi podzielić się swoimi problemami z rodziną, komu innemu będzie mógł się zwierzyć? - To sierżant Doakes - powiedziałem.

Pokiwała głową.

- On naprawdę wziął się na ciebie - powiedziała. - Lepiej trzymaj się od niego z daleka.

- Chętnie - rzekłem. - Ale to on nie chce się trzymać z daleka ode mnie.

Jej gliniarskie spojrzenie stwardniało.

- Co masz zamiar z tym zrobić?

Otworzyłem usta, żeby zaprzeczyć wszystkiemu, o czym myślałem, ale na szczęście dla mojej nieśmiertelnej duszy, zanim zdążyłem skłamać, przerwała nam radiostacja Deb. Przechyliła głowę na bok, podniosła odbiornik i powiedziała, że jest w drodze.

- Idziemy - rzuciła do mnie, ruszając do drzwi. Poszedłem potulnie za nią, zatrzymując się tylko na chwilę, żeby rzucić na stół pieniądze.

Zanim wyszedłem z Relampago, Deborah już cofała wóz. Pospiesznie podszedłem do drzwi. Pojechała przed siebie, do wyjazdu z parkingu, zanim zdążyłem wciągnąć obie nogi do środka.

- Daj spokój, Deb - poprosiłem. - Mało brakowało, a zgubiłbym but. To coś ważnego?

Deborah zmarszczyła brwi, przyspieszyła i wjechała w niewielką lukę między jadącymi samochodami, na co ośmielić się może tylko kierowca z Miami.

- Nie wiem - powiedziała i włączyła syrenę.

Zamrugalem i podniosłem głos, żeby przekrzyczeć hałas.

- Dyżurny ci nie powiedział?

- Dexter, czy słyszałeś kiedyś, żeby dyżurny się jękał?

- Nie, Deb, nie słyszałem. A ten się jękał?

Deb wyprzedziła szkolny autobus i wjechała w drogę numer 836.

- Tak - powiedziała. Ostro skręciła, żeby uniknąć zderzenia z bmw, którym jechało kilku młodych mężczyzn i machało do niej rękami. - Myślę, że to zabójstwo.

- Tak myślisz - rzekłem.

- Aha - odparła, skupiła się na prowadzeniu, a ja jej już nie przeszkadzałem. Duża szybkość zawsze przypomina mi o mojej śmiertelności, szczególnie na jezdniach Miami. A co do przypadku jękającego się dyżurnego - cóż, sierżant Nancy Drew i ja już niebawem dowiemy się, o co chodzi, szczególnie jeśli zachowamy tę szybkość, a trochę napięcia zawsze jest mile widziane.

W kilka minut Deborah dowiozła nas w pobliże Orange Bowl, nie powodując wielkich strat w ludziach. Zjechaliśmy z wiaduktu, wzięliśmy szybko kilka zakrętów i zatrzymaliśmy się przed domkiem przy ulicy 4 NW.

Stały wzdłuż niej siostrzane domostwa, małe, zbudowane blisko siebie, otoczone murkami i siatką. Wiele pomalowanych było na jasne kolory i miało brukowane podwórka.

Przed domem stały już dwa radiowozy z włączonymi kogutami. Dwóch umundurowanych gliniarzy rozwijało wokół miejsca zdarzenia żółtą taśmę policyjną, a kiedy wysiedliśmy, zobaczyłem trzeciego gliniarza siedzącego w jednym z wozów z twarzą ukrytą w dłoniach. Na werandzie stał czwarty gliniarz w towarzystwie starszej pani. Do werandy prowadziły dwa schodki. Kobieta siedziała na wyższym stopniu. Na przemian łkała i wymiotowała. Gdzieś w pobliżu pies wył długo, z przerwami, na tę samą nutę.

Deborah podeszła do najbliższego mundurowego. Był to krępy facet w średnim wieku. Wyraz twarzy gliniarza mówił, że też chciałby siedzieć w wozie i trzymać się rękami za głowę.

- Co tu mamy? - zapytała Deborah, podnosząc odznakę.

Mężczyzna pokręcił głową, nie patrząc na nas, i wyrzucił z siebie:

- Nie wejdę tam więcej, nawet gdyby miało mnie to kosztować emeryturę. - Następnie odwrócił się, omal nie wpadł na burtę radiowożu. Rozciągał żółtą taśmę, jakby miała go chronić przed tym, co było w domku.

Deborah popatrzyła w ślad za nim, potem spojrzała na mnie. Szczerze mówiąc, nie byłem w stanie wymyślić niczego pożytecznego czy mądrego i przez chwilę staliśmy po prostu, spoglądając na siebie. Wiatr zatrzepotał żółtą taśmą, kundel wył bez przerwy, jakby jodłował, co wcale nie wzbudzało we mnie większej miłości do psiego rodzaju. Deborah pokręciła głową.

- Ktoś powinien uciszyć tego pieprzonego psa - powiedziała, schyliła się, żeby przejść pod żółtą taśmą, i ruszyła w stronę domu. Po kilku krokach zrozumiałem, że odgłos wyjącego psa przybliżył się; dochodził z domu. Prawdopodobnie było

to domowe zwierzę ofiary. Bardzo często zwierzęta źle reagują na śmierć swoich właścicieli.

Zatrzymaliśmy się przy schodkach i Deborah popatrzyła na gliniarza, odczytując nazwisko z plakietki na jego piersi.

- Coronel, czy ta pani jest świadkiem?

Policjant nie spojrzał na nas.

- Tak - odparł. - Pani Medina. To ona zadzwoniła - dodał, a stara kobieta nachyliła się i rzygnęła.

Deborah się nachmurzyła.

- Co z tym psem? - zapytała policjanta.

Coronel wydał rodzaj warknięcia, coś między śmiechem a czkawką, ale nie odpowiedział i nie spojrzał na nas.

Deborah miała chyba tego dość i trudno jej się dziwić.

- Co się tutaj, do cholery, dzieje? - zapytała stanowczo.

Coronel odwrócił głowę, żeby na nas spojrzeć. Miał twarz bez wyrazu.

- Niech pani sama zobaczy - odparł i znów się odwrócił. Deborah już miała coś powiedzieć, ale zmieniła zdanie. Popatrzyła na mnie i wzruszyła ramionami.

- Możemy przecież rzucić okiem - zasugerowałem z nadzieją, że nie zabrmi to zbyt gorliwie. Prawdę mówiąc, bardzo chciałem zobaczyć to, co wywołało taką reakcję w gliniarzach z Miami. Sierżant Doakes mógł powstrzymać mnie od robienia różnych rzeczy na własną rękę, ale nie był w stanie zakazać mi podziwiania kreatywności innych. W końcu to moja profesja, a czyż nie powinniśmy czerpać radości z pracy?

Z drugiej strony, Deborah wykazała się niechęcią. Odwróciła się i spojrzała na radiowóz, w którym nieruchomo siedział gliniarz, zakrywając twarz dłońmi. Potem spojrzała znowu na Coronela i starszą panią, potem na drzwi do domku. Wzięła głęboki oddech, zrobiła mocny wydech i powiedziała:

- W porządku. Obejrzymy to.

Ale nadal się nie ruszała, precisnąłem się więc obok niej i otworzyłem drzwi.

Pokój był ciemny, zasłony zaciągnięte, okiennice zamknięte. Stał tam głęboki fotel, który wyglądał, jakby przywieziono go ze sklepu z używanymi artykułami. Został obleczony w tak brudny pokrowiec, że nie sposób było odgadnąć, jaki miał pierwotnie kolor. Naprzeciwko fotela, na składanym stoliku do kart, ustawiono mały telewizor. Poza tym pokój był pusty. Zza drzwi naprzeciwko wejścia widać było małą plamkę światła. Właśnie stamtąd dobiegało wycie psa, poszedłem więc tam, na tyły domku.

Zwierzęta mnie nie lubią, co dowodzi, że są mądrzejsze, niż sądzimy. Zdają się wyczuwać, kim jestem, i nie podoba im się to, a swoje zdanie wyrażają w bardzo zdecydowany sposób. Niezbyt chętnie zatem zbliżałem się do psa, który już teraz był tak bardzo zdenerwowany. Ruszyłem w tamtą stronę, mówiąc z nadzieją w głosie:

- Dobry piesek!

Wydawało mi się, że to jednak nie jest dobry piesek, a raczej chory na wściekliznę pitbull z uszkodzonym mózgiem. Ale naprawdę starałem się patrzeć na wszystko optymistycznie, nawet jeśli chodziło o naszych czworonożnych przyjaciół. Z miną przyjaciela zwierząt wszedłem w drzwi prowadzące do pomieszczenia, które najwyraźniej służyło za kuchnię.

Usłyszałem cichy i zaniepokojony szmer dobiegający od Mrocznego Pasażera, zatrzymałem się więc. Co? - zapytałem, ale nie było odpowiedzi. Na sekundę zamknąłem oczy, ale karta była pusta, żadne tajne przesłanie nie rozbłysło po wewnętrznej stronie moich powiek. Wzruszyłem ramionami, otworzyłem pchnięciem drzwi i wszedłem do kuchni.

Górna połowa pomieszczenia pomalowana była żółtą słowiałą już i łuszczącą się farbą, a dolna pokryta starymi,

popękanymi białymi kafelkami. W rogu stała mała lodówka, a na blacie Kuchenka elektryczna. Po blacie przebiegł karaluch i zanurkował za lodówkę. Jedyne okno zabite było sklejką, a z sufitu zwisała słaba żarówka.

Pod żarówką znajdował się wielki, ciężki stół, z kwadratowymi nogami i blatem wykładanym porcelanowymi płytkami. Ze ściany zwisało duże lustro pod takim kątem, żeby odbijało się w nim to, co leżało na stole. A w odbiciu widać było, leżące pośrodku stołu... hm...

Cóż. Zakładam, że to coś rozpoczęło życie jako istota ludzka, bardzo prawdopodobnie mężczyzna o latynoskim rodowodzie. Trudno to było stwierdzić w obecnym stanie tego, co przyznaję, trochę mnie zaskoczyło. Niemniej, mimo zdziwienia, nie mogłem nie podziwiać staranności rękodziela, jego elegancji. Każdy chirurg pozazdrościłby pewności ręki, chociaż pewnie tylko nieliczni byliby skłonni polecić ten sposób systemowi opieki zdrowotnej.

Nigdy, na przykład, nie przyszłoby mi do głowy, żeby odciąć tak precyzyjnie wargi i powieki i chociaż szczytę się swoją schludną robotą, nie potrafiłbym tego dokonać, nie uszkadzając oczu, które w tym wypadku dziko wybałuszone patrzyły w koło bez możliwości zamknięcia i ciągle powracały do tego lustra. To tylko przypuszczenie, ale pomyślałem, że powieki zostały zrobione na końcu, długo po tym, jak nos i uszy zostały, och jakże elegancko, usunięte. Nie wiedziałem jednak, czy zrobiłbym to przed, czy po ramionach, nogach, genitaliach itd. Trudna seria wyborów, ale widać było, że wszystko zrobiono właściwie, nawet po mistrzowsku i że dokonał tego ktoś dysponujący ogromną praktyką. Często mówimy o ładnej robocie wykonanej na czyimś ciele, że jest „chirurgiczna”. Ale to była prawdziwa chirurgia. W ogóle nie wystąpiło krwawienie, nawet z ust, z których usunięto wargi i język. A także zęby. Godna podziwu wydała mi się tak zadziwiająca

staranność. Każde nacięcie zostało profesjonalnie zamknięte, kikuty, z których kiedyś zwisały ramiona, owinięto pieczęlowicie białym bandażem, a reszta cięć już się zagoiła, jak w najlepszym szpitalu.

Z ciała odcięte zostało wszystko, absolutnie wszystko. Nie zostało nic poza gołą i pozbawioną rysów głową przytwierdzoną do nieobciążonego członkami korpusu. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak można było tego dokonać, nie zabijając obiektu, a zupełnie już nie pojmowałem, dlaczego komuś mogło na tym zależeć. Było w tym okrucieństwo, które kazało mi się poważnie zastanowić, czy wszechświat to naprawdę taki dobry pomysł. Wybaczcie, jeśli zabrzmiało to odrobinę jak hipokryzja w ustach Dextera Trupiej Głównki, ale wiem przecież doskonale, kim jestem, i nie o to mi chodzi. Robię to, co Mroczny Pasażer uznaje za konieczne, i tylko tym, którzy na to naprawdę zasługują, i zawsze kończy się to śmiercią - jestem pewien, że to coś na stole nie uznałoby śmierci za taką złą rzecz.

Ale żeby działać z taką cierpliwością, taką starannością i zostawić to przed lustrem żywe... poczułem jakiś czarny zachwyty narastający we mnie od środka, jakby po raz pierwszy mój Mroczny Pasażer troszkę mniej dla mnie znaczył.

Ta rzecz na stole chyba nie zarejestrowała mojej obecności. Tylko dalej wydawała z siebie te obłądne psie dźwięki, bez ustanku, na tę samą wznoszącą się i opadającą nutę.

Usłyszałem, jak Deb zaszurała nogami, stając za mną.

- O Jezusie - jęknęła. - O, Boże... Co to jest?

- Nie wiem - odparłem. - Ale przynajmniej to nie jest pies.

8

Powietrze lekko się poruszyło, spojrzałem nad ramieniem Deborah – to przybył sierżant Doakes. Rozejrzał się po kuchni, a potem utkwiał wzrok w stole. Przyznaję, że byłem ciekaw, jak zareaguje na coś tak skrajnego. Warto było zaczekać. Kiedy Doakes zobaczył centralny eksponat kuchni, utkwiał w nim wzrok i zamarł do tego stopnia, że mógłby uchodzić za posąg. Po dłuższej chwili zbliżył się do ciała, szurając powoli nogami, jakby ciągnięto go na sznurku. Przeszedł obok nas, nie zauważając, że tam stoimy, i zatrzymał się przy stole.

Przez kilka sekund przypatrywał się temu czemuś na blacie. Następnie, nadal nie mrugając, sięgnął pod kurtkę i wyciągnął pistolet. Powoli, bez żadnego grymasu wycelował między oczy bez powiek wyjącego stwora. Odbezpieczył.

- Doakes - Deborah odezwała się ochryłym szeptem, odchrząknęła i spróbowała jeszcze raz. - Doakes!

Doakes nie odpowiedział ani nie spojrzał na nią, ale nie pociągnął za spust, a szkoda. Bo, w końcu, co mieliśmy z tym czymś zrobić? Przecież nam nie powie, kto to zrobił. A ja coś czułem, że jego dni jako pożytecznego członka społeczeństwa dobiegły końca. Dlaczego nie mieliśmy pozwolić Doakesowi zakończyć cierpień tego czegoś? A wtedy Deb i ja musielibyśmy niechętnie złożyć raport o tym, co Doakes zrobił, wyrzucono by go z pracy, a może nawet wsadzono do więzienia i moje problemy by się skończyły. Wydawało się to sprytnym rozwiązaniem, ale oczywiście Deborah nigdy by się na coś takiego nie zgodziła. Czasem robiła się taka pedantyczna i oficjalna.

- Odłóż broń, Doakes - rozkazała. I chociaż reszta ciała sierżanta pozostała w całkowitym bezruchu, odwrócił głowę, żeby na nią spojrzeć.

- To jedyna rzecz, którą można zrobić - powiedział. - Wierz mi.

Deborah pokręciła głową.

- Wiesz, że ci nie wolno - tłumaczyła. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, potem spojrzął na mnie. Było mi bardzo trudno wytrzymać jego spojrzenie i nie wyrzucić z siebie czegoś w rodzaju: „No, co do cholery - bierz się do roboty!” Ale udało mi się jakoś i Doakes skierował lufę pistoletu do góry. Znow spojrzął na to coś, pokręcił głową i odłożył broń.

- Cholera - rzekł. - Szkoda, że mi nie pozwoliłaś.

Odwrócił się i szybko wyszedł z kuchni.

Kilka minut później zaroilo się tam od ludzi, którzy próbowali za wszelką cenę nie patrzeć na to, czym się zajmują. Camilla Fig, przysadzista, krótkowłosa technik kryminalistyki, której odruchy zdawały się ograniczone do umiejętności czerwienienia się i wytrzeszczania oczu, płakała po cichu, zbierając odciski palców. Angel Batista, albo Angel niespokrewniony, jak go nazywaliśmy, bo tak zawsze się przedstawiał, poblądł i zacisnął zęby, ale został w pokoju. Vince Masuoka, kolega, który zazwyczaj zachowywał się tak, jakby tylko udawał, że jest istotą ludzką, trząsł się tak bardzo, że musiał wyjść i usiąść na ganku.

Zaczynałem zastanawiać się, czy też powinienem udawać przerażenie, żeby za bardzo nie rzucać się w oczy. Może powinienem wyjść i usiąść obok Vince'a. O czym się mówi w takich wypadkach? O baseballu? O pogodzie? Na pewno nie mówi się o tym, od czego się uciekło - a jednak, ku swemu zdziwieniu stwierdziłem, że nie miałbym nic przeciwko temu. Prawdę mówiąc, ta rzecz zaczęła wzbudzać lekkie zainteresowanie ze strony Pewnego Wewnętrznego Towarzysza.

Zawsze tak bardzo się starałem, żeby uniknąć zwracania na siebie uwagi, a oto znalazł się ktoś, kto czynił wręcz przeciwnie. Najwyraźniej ten potwór chwalił się w jakimś celu. Mógł to być całkiem zrozumiały, naturalny duch współzawodnictwa, ale trochę mnie to irytowało, mimo że jednocześnie chciałem się dowiedzieć czegoś więcej. Ktokolwiek to zrobił, był inny niż ludzie, których spotkałem do tej pory. Czy powinienem wpisać tego anonimowego drapieźnika na swoją listę? Czy może powinienem udawać, że omdleam z przerażenia, wyjść i przysiąść na ganku?

Kiedy zastanawiałem się nad tym trudnym wyborem, sierżant Doakes ponownie przepchnął się obok mnie, ledwie na mnie spojrział, a ja przypomniałem sobie, że ze względu na niego na razie nie mogę popracować nad swoją listą. Trochę mnie to rozdrażniło, ale ułatwiło mi podjęcie decyzji. Zacząłem przybierać odpowiednio nerwowy wyraz twarzy, ale nie posunąłem się dalej niż uniesienie brwi. Wpadło dwoje sanitariuszy zaaferowanych swoją ważną misją. Zamarli na widok ofiary. Jedno z nich natychmiast wybiegło z kuchni. Drugie, młoda, czarna kobieta zwróciła się do mnie i powiedziała:

- Co mamy z tym, do cholery, zrobić? - Potem też zaczęła płakać.

Musicie się zgodzić, że miała rację. Rozwiązanie proponowane przez sierżanta Doakesa zaczynało wyglądać znacznie praktyczniej, nawet elegancko. Przekładanie tego na wózek z noszami i przepychanie się przez korki Miami, żeby dostarczyć do szpitala, wydawało się mało sensowne. Jak to subtelnie ujęła młoda dama, co, do cholery, mieli z tym zrobić? Ale najwyraźniej, ktoś musiał coś zrobić. Gdybyśmy tak to zostawili i tylko stali dookoła, w końcu ktoś zgłosiłby skargę na wszystkich tych gliniarzy wymiotujących

na podwórku, co byłoby bardzo niedobre dla wizerunku komendy.

Sprawą zajęła się wreszcie Deborah. Nakłoniła sanitariuszy, żeby dali ofierze środki uśmierzające i zabrali ją, co pozwoliło zadziwiająco wrażliwym technikom kryminalistyki wrócić do środka i wziąć się do roboty. Cisza w domku, gdy środki zaczęły działać, graniczyła z ekstazą. Sanitariusze okryli to coś, przełożyli na nosze, nie zrzucając na ziemię, i odwieźli w stronę zachodu słońca.

W samą porę; kiedy karetka odjechała od krawężnika, zaczęły przybywać furgonetki z kamerami. Trochę szkoda, bardzo chciałbym zobaczyć reakcję jednego, dwóch reporterów. Szczególnie Ricka Sangre'a. Był w okolicy najbardziej oddanym fanem hasła: „krew na pierwszą stronę”, a ja nigdy nie widziałem, żeby objawiał jakiegokolwiek uczucia bólu albo przerażenia, chyba że przed kamerą, albo kiedy zwichrzyły mu się włosy. Ale nic z tego. Zanim kamerzysta Ricka przygotował się do kręcenia, zastał tylko domek otoczony żółtą taśmą i garstkę glin z zaciśniętymi szczękami, którzy i w sprzyjających okolicznościach niewielką mieli ochotę na rozmowę z Sangre'em, a dzisiaj nie powiedzieliby mu nawet, jak się nazywają.

Nie miałem tu naprawdę wiele do roboty. Przyjechałem samochodem Deborah, nie przywozłem więc ze sobą walizki z odczynnikami, a poza tym nie widziałem tu plam krwi. Ponieważ był to mój obszar działań, uznałem, że powinienem coś znaleźć i okazać się użyteczny, ale nasz przyjaciel chirurg zachowywał się zbyt ostrożnie.

Dla pewności przeszukałem resztę domku, co nie zajęło mi wiele czasu. Znajdowały się tam mała sypialnia i jeszcze mniejsza łazienka oraz szafa wnękowa.

Wszystko puste, nie licząc gołego, podniszczonego materaca na podłodze sypialni. Wyglądał tak, jakby pochodził z tego

samego sklepu z artykułami używanymi, co fotel z saloniku, a zbity był na płasko jak kubański stek. Nie znalazłem innych mebli ani sprzętów, nawet plastikowej łyżki.

Jedyną rzeczą, która miała jakikolwiek związek z czyjąś osobą, było coś, co Angel niespokrewniony znalazł pod stołem, kiedy kończyłem szybką przechadzkę po domku.

- Hejże - powiedział i szczypczykami podniósł z podłogi kawałek kartki z notatnika. Podeszedłem, żeby zobaczyć, co to takiego. Niewarte to było wysiłku; tylko mały kawałek białego papieru nadszarpnięty z jednego końca, gdzie ktoś oddarł mały kwadracik. Spojrzałem nad głową Angela i zobaczyłem, że na stole, z boku leży brakujący kwadracik przyklejony do blatu kawałkiem taśmy klejącej.

- Mira - powiedziałem, Angel tylko spojrzał.

- Aha - odparł.

Przyjrzał się dokładnie taśmie klejącej - doskonale zachowują się na niej odciski palców - położył papierek na podłodze, a ja przykucnąłem, żeby się przyjrzeć karteczce. Widniało na niej kilka liter napisanych pająkowatym charakterem pisma. Nachyliłem się jeszcze bardziej, żeby je przeczytać: lojalność.

- Lojalność? - spytałem.

- Jasne. Czy to nie jest ważna cnota?

- Zapytajmy go - zaproponowałem, Angel zaś tak mocno zadygotał, że o mały włos nie wypuścił szczypczyków.

- Me cago en diez z tym cholerstwem - powiedział i sięgnął po plastikową torebkę, żeby włożyć do niej papierek. Nie wyglądał na coś wartego zainteresowania, a poza tym naprawdę nie było tu nic istotnego, poszedłem więc do drzwi.

Z pewnością nie jestem psychologiem sądowym, ale w związku z moim mrocznym hobby często miewam wgląd w przestępstwa, które zdają się pochodzić z mojego sąsiedztwa.

To jednak wykraczało poza granice wszystkiego, co widziałem albo sobie wyobrażałem. Żadna wskazówka nie prowadziła do typu osobowości albo motywacji, byłem więc prawie w równym stopniu zaintrygowany i zirytowany. Jaki rodzaj drapieżnika zostawiłby jeszcze żywe, wijące się mięso?

Wyszedłem i stanąłem na ganku. Doakes wsparł się na kapitanie Matthewsie i mówił mu coś, co sprawiało, że kapitan miał zmartwioną minę. Deborah ukucnęła obok starszej pani i po cichu z nią rozmawiała. Czułem, jak wzmaga się wiatr, ten sztormowy wiatr, który przychodzi tuż przed popołudniową burzą z piorunami, a kiedy spojrzałem w niebo, pierwsze mocne krople deszczu rozbiły się o chodnik. Sangre, który stał obok żółtej taśmy i machał mikrofonem, próbując przyciągnąć uwagę kapitana Matthews, też popatrzył na chmury, a kiedy rozległo się dudnienie grzmotu, rzucił mikrofon producentowi i wpadł do furgonetki telewizyjnej.

W żołądku też poczułem dudnienie i przypomniałem sobie, że w całym tym zamieszaniu ominął mnie lunch. Na to nie wolno pozwalać; muszę podtrzymywać siły. Mój naturalny wysoki metabolizm potrzebował nieustannej uwagi: żadnej diety dla Dextera. Ale byłem uzależniony od Deborah, która przywiozła mnie tu swoim samochodem, i miałem wrażenie, raczej przeczucie, że w tej chwili nie spodobałoby się jej, gdybym wspomniał o jedzeniu. Znów na nią spojrzałem. Trzymała w objęciach staruszkę, panią Medinę, która najwyraźniej zrezygnowała już z rzygania i skoncentrowała się na pochlipywaniu.

Westchnąłem i poszedłem w deszczu do samochodu. Nie przeszkadzało mi, że zmoknę. Wyglądało na to, że będę miał dużo czasu, żeby wyschnąć.

Rzeczywiście, czasu miałem dużo, dobrze ponad dwie godziny. Siedziałem w samochodzie, słuchałem radia i próbowałem

uzmysłować sobie, kęs po kęsie, jak to jest, kiedy je się kanapkę medianoche: trzaskanie skórki chleba, tak kruchej i spieczonej, że drapie wnętrze ust, kiedy się ją przeżuwa. Potem pierwsza nuta musztardy, a za nią kojący smak sera i słoność mięsa. Następny kęs - kawałek marynaty. Przeżuć to wszystko; niech smaki się mieszają. Przełknąć. Wziąć duży łyk iron beer.

Westchnienie. Czysta rozkosz. Wolałbym jeść niż robić cokolwiek innego, nie licząc zabaw z moim Pasażerem. To prawdziwy cud genetyki, że nie jestem gruby.

Byłem przy trzeciej wyimaginowanej kanapce, kiedy Deborah wróciła wreszcie do wozu. Wsunęła się za kierownicę, zamknęła drzwi i tylko siedziała, patrząc przed siebie przez spryskaną deszczem przednią szybę. A ja wiedziałem, że nie powinienem tego mówić, ale nie wytrzymałem.

- Wyglądasz na wykończoną, Deb. Co myślisz o lunchu?

Pokręciła głową, ale nic nie powiedziała.

- Może jakaś smaczna kanapka. Albo sałatka owocowa, żeby podnieść poziom cukru we krwi? Poczujesz się lepiej.

Teraz spojrzała na mnie, ale to spojrzenie nie obiecywało lunchu w najbliższej przyszłości.

- To dlatego chciałam zostać gliną.

- Dla sałatki owocowej?

- Ta rzecz, tam... - powiedziała, a potem odwróciła się i znów wpatrzyła się w przednią szybę. - Chcę go dostać... czymkolwiek jest to, co potrafiło zrobić coś podobnego ludzkiej istocie. Pragnę tego całą sobą.

- Czy to smakuje jak kanapka, Deborah? Bo...

Trzasnęła mocno nadgarstkami o kierownicę. A potem drugi raz.

- Do cholery - zaklęła. - Kurwa mać!

Westchnąłem. Najwyraźniej, cierpiącemu Dexterowi odmawiano kruszyny chleba. A wszystko dlatego że Deborah

doznała objawienia, kiedy zobaczyła kawałek wijącego się mięska. Oczywiście, było to straszne, a świat stałby się znacznie lepszy bez kogoś, kto potrafi czegoś takiego dokonać, ale czy to znaczy, że mamy zrezygnować z lunchu? Czyż nie powinniśmy wszyscy pokrzepić się, żeby złapać tego faceta? Chyba jednak nie była to najlepsza pora, żeby mówić o tym Deborah, dlatego tylko siedziałem obok niej, patrzyłem, jak deszcz bije o szyby, i jadłem wyimaginowaną kanapkę numer 4.

Następnego ranka, ledwie zasiadłem do pracy w moim maleńkim pokoju, kiedy zadzwonił telefon.

- Kapitan Matthews chce się widzieć ze wszystkimi, którzy byli tam wczoraj - powiedziała Deborah.

- Dzień dobry, siostrzyczko. Świetnie, dzięki, a co z tobą?

- Natychmiast - odparła i wyłączyła się szybko.

Świat policyjny, zarówno oficjalny, jak i nieoficjalny, działa rutynowo. To jedna z przyczyn, dla których lubię swoją pracę. Zawsze wiem, co się zdarzy, wystarczy więc, że zapamiętam tylko kilka ludzkich odruchów, a potem udaję je we właściwych momentach, co zmniejsza szanse, że zostanę przyłapany na chwili zapomnienia i zareaguję w sposób, który pada w wątpliwość moją przynależność do rasy ludzkiej.

Kapitan Matthews nigdy jeszcze nie wzywał „wszystkich, którzy tam byli”. Nawet jeśli sprawa robiła mnóstwo szumu medialnego, to prasę obsługiwali on i ci, którzy w strukturze dowodzenia znajdowali się nad nim, a śledczy zajmowali się spokojnie swoją robotą. Kompletnie nie rozumiałem, dlaczego pogwałcił ten protokół, nawet gdy szło o tak niezwykle przypadek. A szczególnie, że zrobił to tak szybko - ledwie starczyło mu czasu na wydanie oświadczenia dla prasy.

Ale „natychmiast” znaczy natychmiast, jeśli się orientuję, poszedłem więc do gabinetu kapitana. Jego sekretarka, Gwen, jedna z najbardziej pracowitych kobiet, jakie żyły na ziemi,

siedziała na swoim miejscu za biurkiem. Była też jedną z kobiet najzwyczajniejszych i najbardziej na serio, a nie potrafiłem oprzeć się pokusie, żeby jej nie wsadzać szpil.

- Gwendolyn! Wizjo promiennej rozkoszy! Odleć ze mną do laboratorium badania krwi! - zwróciłem się do niej, wchodząc do gabinetu.

Skinęła mi głowę ze swojego miejsca przy drzwiach po przeciwnej stronie.

- Są w salce konferencyjnej - powiedziała z kamienną twarzą.

- Czy to oznacza nie?

Pochyliła głowę o parę centymetrów w prawo.

- Tamte drzwi - dodała. - Czekają.

Istotnie, czekali. U końca stołu konferencyjnego siedział zasępiiony kapitan Matthews z kubkiem kawy w dłoni. Wokół zebrani byli Deborah i Doakes, Vince Masuoka, Camilla Figg i czterech gliniarzy w mundurach, którzy pilnowali domku potworności, kiedy przybyliśmy. Matthews skinął mi głową i zapytał:

- Czy to już wszyscy?

Doakes przestał się wpatrywać gniewnie we mnie i rzucił:

- Sanitariusze.

Matthews pokręcił głową.

- Nie nasza sprawa. Ktoś porozmawia z nimi później. - Odchrząknął i spojrzał w dół, jakby czytał jakąś niewidzialną notatkę.

- W porządku - powiedział i znów odchrząknął. - To, hm, wczorajsze wydarzenie, które, hm, miało miejsce przy ulicy 4 NW zostało objęte tajemnicą na bardzo wysokim szczeblu. - Podniósł wzrok i przez chwilę miałem wrażenie, że jest zachwycony. - Na bardzo wysokim - dodał. - W związku z tym, nakazuję wszystkim, żeby zatrzymali dla siebie to, co mogli

zobaczyć, usłyszeć albo domyślić się w związku z tym wydarzeniem i miejscem. – Popatrzył na Doakesa, który kiwnął głową, a potem obrzucił wzrokiem wszystkich zgromadzonych wokół stołu. – Dlatego, hm...

Kapitan Matthews przerwał, zmarszczył brwi, bo zdał sobie sprawę, że nie znajduje dla nas żadnego „dlatego”. Na szczęście dla jego reputacji jako złotoustego mówcy, otworzyły się drzwi. Wszyscy odwróciliśmy głowy w tamtym kierunku.

W drzwiach stał bardzo wysoki mężczyzna w bardzo ładnym garniturze. Nie nosił krawata, a trzy górne guziki koszuli miał rozpięte. Na małym palcu lewej ręki połyskiwał pierścień z różowym diamentem. Mężczyzna miał mocno pofalowane i artystycznie zmierzwione włosy. Wyglądał na czterdziestkę, ale czas nie był łaskawy dla jego nosa. Jego prawą brew przecinała szrama, a druga biegła wzdłuż podbródka. Blizny te nie wyglądały jednak jak zniekształcenia, lecz jak ozdoba. Facet popatrzył na nas z radosnym uśmiechem, jasnymi, pustymi błękitnymi oczami, nie ruszając się z drzwi, co dodało chwili dramatyzmu. Potem spojrzał na koniec stołu i powiedział:

– Kapitan Matthews?

Kapitan był mężczyzną dobrze zbudowanym i przystojnym, w dobrym stylu, ale w porównaniu z człowiekiem w drzwiach wyglądał na zniewieściałego nedorostka i sędzę, że tak się poczuł. Niemniej zacisnął swoją męską szczękę i powiedział:

– Zgadza się.

Ten wielki z drzwi podszedł do Matthews'a i wyciągnął rękę.

– Miło mi pana poznać, panie kapitanie. Jestem Kyle Chutsky. Rozmawialiśmy przez telefon. – Podali sobie ręce, a nowo przybyły rozejrzał się wokół stołu, zatrzymując wzrok na Deborah, zanim znów spojrzał na kapitana. Ale po półsekundzie odwrócił nagle głowę i przez chwilę

patrzył Doakesowi w oczy. Żaden z nich się nie odezwał, nie ruszył się, nie drgnął ani nie wyciągnął wizytówki, ale byłem całkowicie pewien, że się znali. Nie pokazując tego po sobie, Doakes popatrzył na stół, a Chutsky znów zwrócił się do kapitana:

- Ma pan tu wspaniały wydział, panie kapitanie. Słyszałem o was same dobre rzeczy, chłopaki.

- Dziękuję... panie Chutsky - odparł sztywno Matthews. - Zechce pan spocząć?

Chutsky obdarzył go szerokim, uroczym uśmiechem.

- Dziękuję, chętnie - powiedział i opadł na puste krzesło obok Deborah. Nie spojrzała na niego, ale z mojego miejsca, po drugiej stronie stołu widziałem, jak rumieniec powoli podchodzi jej od szyi aż do ściągniętych brwi.

W tym momencie usłyszałem, jak głosik z tyłu mózgu Dextera odchrząknął i powiedział:

- Przepraszam, chwileczkę, ale co, do diabła, tu się dzieje? Może ktoś dosypał mi do kawy LSD, bo tego dnia zaczynałem się czuć jak Dexter w Krainie Czarów. Po co się tu zebraliśmy? Kto to jest ten bliznowaty, wielki facet, który sprawił, że kapitan zaczął się denerwować? Skąd znał Doakesa? I dlaczego, na miłość do wszystkiego co lśniące i ostre, dlaczego twarz Deborah przybrała taki nieładny odcień czerwieni?

Często zdarzają się sytuacje, kiedy wydaje mi się, że wszyscy przeczytali podręcznik z instrukcją, a biedny Dexter jest ciemny jak tabaka w rogu i nawet nie potrafi dopasować klocka A do otworka B. Zazwyczaj ma to związek z niektórymi uczuciami ludzkimi, z czymś, co jest powszechnie zrozumiałe. Niestety, Dexter pochodzi z innego wszechświata i nie czuje ani nie rozumie takich rzeczy. Mogę wtedy najwyżej poszukać szybko paru wskazówek, które pozwolą mi podjąć decyzję, jaką

minę mam zrobić, kiedy czekam, aż sprawy ułożą się w zrozumiałym porządku.

Popatrzyłem na Vince'a Masuokę. Z nim, spośród innych techników, byłem chyba w najbliższych stosunkach i to nie tylko dlatego, że na zmianę przynosiliśmy pączki. On też w życiu zawsze udawał, jakby obejrzał serię filmów wideo, żeby nauczyć się, jak się uśmiechać, rozmawiając z ludźmi. Nie umiał tak doskonale udawać jak ja i osiągał znacznie gorsze rezultaty, ale czułem z nim swego rodzaju pokrewieństwo.

Teraz wyglądał na podenerwowanego i spłoszonego i zdaje się próbował udawać, że z trudem przetyka ślinę, ale mu to nie wychodziło. Tu nie znalazłem wskazówek.

Camilla Figg siedziała w postawie na baczność zagapiona w punkt na ścianie przed nią. Twarz miała bladą, ale na obu policzkach wystąpiły jej małe, bardzo okrągłe czerwone plamki.

Deborah, jak już wspomniałem, garbiła się i chyba była bardzo zajęta czerwienieniem się na szkarłatno.

Chutsky plasnął dłonią o stół, rozejrzał się z szerokim, szczęśliwym uśmiechem i powiedział:

- Chcę wam podziękować za współpracę. To bardzo ważne, żeby zachować wszystko w tajemnicy, dopóki moi ludzie nie dobiorą się do sedna sprawy.

Kapitan Matthews odchrząknął.

- Hm. Ja, hm, zakładam, że będzie pan chciał, żebyśmy kontynuowali rutynowe dochodzenie, przesłuchiwanie świadków i tak dalej.

Chutsky powoli pokręcił głową.

- Absolutnie nie. Pańscy ludzie muszą natychmiast zniknąć z planu. Cała sprawa ma dla pańskiego wydziału zostać zawieszona, ma przestać istnieć, rozplynać się. Panie kapitanie, to się nigdy nie zdarzyło.

- Czy to pan przejmuje dochodzenie? - zapytała Deborah.

Chutsky popatrzył na nią i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Zgadza się - odrzekł. - I pewnie uśmiechałyby się do niej bez końca, gdyby nie funkcjonariusz Coronel, glina, który siedział na ganku ze szlochającą i wymiotującą starszą panią. Odchrząknął i zapytał:

- Czy próbuje pan zabronić nam wykonywania naszego zawodu?

- Wy macie chronić i służyć - odparł Chutsky. - W tym przypadku znaczy to chronić informację i służyć mnie.

- Gówno prawda - powiedział Coronel.

- Gówno czy nie gówno - zwrócił się do niego Chutsky. - Macie to zrobić.

Kapitan Matthews zastukał w blat palcami.

- Wystarczy, Coronel. Pan Chutsky jest z Waszyngtonu, a mnie polecono, abym udzielił mu wszelkiej pomocy.

Coronel kręcił głową.

- On nie jest z cholernego FBI - zauważył.

Chutsky tylko się uśmiechnął. Kapitan Matthews wziął głęboki oddech, żeby coś powiedzieć - ale Doakes ledwie dostrzegalnie odwrócił głowę w stronę Coronela i warknął:

- Zamknij się.

Coronel popatrzył na niego i trochę mu rura zmiękła.

- Nie mieszajmy się do tego gówna - kontynuował Doakes. - Niech zajmą się tym jego ludzie.

- To nie w porządku - rzekł Coronel.

- Zostaw to - poradził Doakes.

Coronel otworzył usta. Doakes uniósł brwi. Coronel, patrząc na twarz pod tymi brwiami, po namyśle postanowił to zostawić.

Kapitan Matthews odchrząknął, próbując znów przejąć prowadzenie.

- Jeszcze jakieś pytania? No, to w porządku panie Chutsky. Jeśli możemy panu jeszcze jakoś pomóc...

- Praktycznie rzecz biorąc, panie kapitanie, doceniłbym, gdybym mógł wypożyczyć jednego z pańskich detektywów do kontaktów. Kogoś, kto mógłby mi pomóc zorientować się w terenie.

Wszystkie głowy zwróciły się w doskonałym unisono w stronę Doakesa.

Tylko Chutsky nie poszedł za tym ruchem. Odwrócił się w bok, do Deborah i powiedział.

- Co pani detektyw o tym sądzi?

9

Muszę przyznać, że niespodzianka na zakończenie spotkania u kapitana Matthews'a zaskoczyła mnie, ale przynajmniej wiedziałem teraz, dlaczego wszyscy zachowywali się jak szczury laboratoryjne wrzucone do klatki lwa. Nikt nie lubi, kiedy federalni włączają się do sprawy; jedyna radość polega wtedy na utrudnianiu im działania, jak się tylko da. Ale Chutsky był najwyraźniej zawodnikiem tak ciężkiej wagi, że nawet ta mała przyjemność została nam odebrana.

Znaczenie jaskrawoczerwonej barwy skóry Deborah stanowiło głębszą tajemnicę, ale to nie był mój problem. A mój problem nagle nieco się rozjaśnił. Możecie sądzić, że Dexter to głupi chłopak, bo wcześniej nie dodał dwóch do dwóch, ale kiedy wreszcie przejrzałem na oczy, miałem ochotę walnąć się w głowę. Być może całe to piwo, jakie wypijałem w domu Rity, ograniczyło moje siły umysłowe.

Ale najwyraźniej przyczyną tej wizytacji z Waszyngtonu, która zwała się na nas, była osobista Nemezis Dextera, sierżant Doakes. Słyszało się jakieś niejasne pogłoski, że jego służba w wojsku przebiegała w nieregularny sposób, a ja już zaczynałem w nie wierzyć. Jego reakcją na widok tamtej rzeczy na stole nie był wstrząs, oburzenie, niesmak albo gniew, ale coś znacznie bardziej interesującego: rozpoznanie. Jeszcze na miejscu zbrodni powiedział kapitanowi Matthewsowi, co to było i z kim o tym pogadać. Z tą konkretną osobą, która przysłała Chutsky'ego. I dlatego, kiedy pomyślałem, że Chutsky i Doakes rozpoznali się podczas spotkania, miałem rację – ponieważ cokolwiek by Doakes wiedział o sprawie, Chutsky też

wiedział, może nawet więcej, i przybył, żeby wszystko uciszyć. A skoro Doakes wiedział o czymś takim, może znaleźć się sposób, żeby wykorzystać przeciwko niemu jego przeszłość i dzięki temu zrzucić łańcuchy z biednego Dextera Aresztanta.

Był to błyskotliwy ciąg czystej logiki; spodobał mi się powrót do wielkiej inteligencji i w myślach poklepałem się po głowie. Dobry chłopiec, Dexter. Hau, hau.

Zawsze miło poczuć, jak synapsy pstrykają w sposób, który pozwala czasem pomyśleć, że ma się właściwą samoocenę. Ale w tym szczególnym przypadku stawką było zdaje się coś więcej niż dobre samopoczucie Dextera. Jeśli Doakes miał coś do ukrycia, zbliżało mnie to o krok do powrotu do moich zajęć.

Istnieje kilka rzeczy, w których Dziarski Dexter jest dobry, a niektóre z nich właściwie może wykonywać publicznie. Jedna z nich to korzystanie z komputera do zbierania informacji. Tę zdolność rozwinąłem, żeby mieć absolutną pewność co do nowych przyjaciół, jak MacGregor i Reiker. Pomijając nieprzyjemności płynące z pocięcia niewłaściwej osoby, lubię konfrontować moich kolegów-hobbystów z dowodami popełnionych przez nich w przeszłości niedyskrecji, zanim wysłę ich do krainy snów. Komputery oraz Internet były fantastycznymi narzędziami do znajdowania tego materiału.

Pomyślałem zatem, że jeśli Doakes miał coś do ukrycia, to mógłbym to odkryć, a przynajmniej znaleźć jakąś cienką nić, za którą szarpałbym, aż odsłoniłaby się cała jego ciemna przeszłość. Znałem go na tyle dobrze, by wiedzieć, że będzie to coś ponurego i w stylu Dextera. A kiedy znajdę to coś... Może wykazałem się naiwnością, sądząc, że mógłbym wykorzystać tę hipotetyczną informację, żeby pozbyć się go, ale pomyślałem, że są duże szanse. Nie chciałem bezpośredniej konfrontacji, nie zamierzałem też wysuwać żądań, żeby dał sobie spokój albo rozplątał się czy co tam jeszcze, co mogło się okazać niezbyt mądre wobec kogoś takiego jak Doakes.

Ponadto byłby to szantaż, o którym mi powiedziano, że jest bardzo zły. Ale informacja to władza i na pewno znalazłbym jakiś sposobik, żeby wykorzystać to, co znajdę, aby dać Doakesowi do myślenia i żeby nie śledził Dextera i nie ograniczał jego krucjaty w imię przyzwoitości. A człowiek, który stwierdzi, że palą mu się portki, raczej nie ma wiele czasu, by martwić się o zapalki, które ktoś inny trzyma w ręku.

Wracałem szczęśliwy z gabinetu kapitana do swojego pokoiku w laboratorium kryminalistycznym, żeby natychmiast zabrać się do pracy.

Kilka godzin później miałem prawie wszystko, co dało się znaleźć. W teczce sierżanta Doakesa było zaskakująco mało szczegółów. Ale tych kilka, które znalazłem, wystarczyło, żebym dostał zadyszki: Doakes miał imię! Albert - czy ktoś nazywał go tak kiedykolwiek? Nie do pomyślenia. Sądziłem, że na imię ma sierżant. I jeszcze to, że się urodził w Waycross, w Georgii. Czy te zdziwienia będą miały koniec? Ciąg dalszy okazał się jeszcze lepszy; sierżant Doakes, zanim nastał w wydziale, był... sierżantem Doakesem! W wojsku i do tego w siłach specjalnych! Wyobrażenie sobie Doakesa w zawiadującym zielonym berecie, maszerującego obok Johna Wayne'a niemal przerastało moje możliwości, chyba żebym zaczął śpiewać jakąś wojskową piosenkę.

Zapisano kilka pochwał i medali, ale nie znalazłem wzmianki o bohaterskich akcjach, za które je dostał. Ale i tak poczułem się lepszym patriotą, skoro znałem takiego człowieka. W dalszej części akt prawie nie znalazłem szczegółów. Jedynym, co się wyróżniało, był półtoraroczny okres czegoś, co nazwano „służbą w odkomenderowaniu”. Doakes odsłużył ten czas jako doradca wojskowy w Salwadorze, wrócił do domu i pół roku przepracował w Pentagonie, a potem przeszedł na wojskową emeryturę i trafił do naszego szczęśliwego miasta.

Departament policji Miami z radością zgarnął udekorowanego weterana i zaoferował mu zyskowne zatrudnienie.

Ale ten Salwador - nie byłem maniakiem historii, ale coś sobie przypominałem, że to było jak horror show. W owym czasie odbywały się marsze protestacyjne na Bricknell Avenue. Nie pamiętałem, z jakiego powodu, ale wiedziałem, jak to odszukać. Znów odpaliłem komputer i wszedłem do sieci i, ojej - znalazłem i to jeszcze jak. Salwador, w czasie, kiedy przebywał tam Doakes, był prawdziwym cyrkiem tortur, gwałtów, morderstw i obrzucania się wyzwickami. I nikt nie pomyślał nawet, żeby mnie tam zaprosić.

Znalazłem mnóstwo materiału wprowadzonego przez rozmaite organizacje obrońców praw człowieka. Byli bardzo poważni, ostrzy i nieprzyjemni, kiedy wyrażali się na temat tego, co tam wyprawiano. Niemniej, jak się domyślałem, z ich protestów nic nie wynikło. W końcu chodziło tylko o prawa człowieka. To musiało być szalenie frustrujące; towarzystwo opieki nad zwierzętami ma chyba lepsze wyniki. Tamte biedaczyny dokonały badań, opublikowały ich rezultaty, szczegółowo opisując gwałty, elektrody i ościenie do poganiania bydła, wraz ze zdjęciami, wykresami i nazwiskami ohydnych ludzkich potworów, które lubowały się w zadawaniu cierpień masom. A wzmiankowane ohydne ludzkie potwory udały się na zasłużony wypoczynek do południowej Francji, podczas gdy reszta świata bojkotowała restauracje za dręczenie kurczaków.

To napełniło mnie nadzieją. Gdyby kiedykolwiek mnie złapano, to może wystarczy, że oprotestuję nabiał i produkty mleczne, żeby mnie puszczono.

Nazwiska i szczegóły historyczne z Salwadoru niewiele dla mnie znaczyły. Podobnie jak wspomniane organizacje. Najwyraźniej rozwinęła się tam wspaniała wolnoamerykanka, gdzie wszystkie chwytły są dozwolone i nie ma białych charakterów, a tylko kilka drużyn czarnych charakterów

i wieśniacy przyłapani w samym centrum walki. Stany Zjednoczone potajemnie wsparły jedną ze stron, mimo że miała ona, podobnie jak pozostałe, skłonność do bicia podejrzanych nieszczęśników na miazgę. I to właśnie przyciągnęło moją uwagę. Coś sprawiło, że los się do nich uśmiechnął, jakieś straszliwe zagrożenie, którego nie opisano, coś, co najwyraźniej było tak potworne, że ludzie zaczęli tęsknić za ościeniami do bydła wkładanymi w odbytnicę.

Cokolwiek to było, zaistniało w czasie, kiedy sierżant Doakes odbywał tam służbę w odkomenderowaniu.

Rozsiadłem się na swoim chybotliwym obrotowym krzeselku. Proszę, proszę, pomyślałem. Cóż za interesujący zbieg okoliczności. Mniej więcej w tym samym czasie mamy Doakesa, ohydne, nieopisane tortury i potajemne zaangażowanie się Stanów Zjednoczonych, a wszystko aż gra i buczy. Oczywiście, że nie było dowodów, iż te trzy rzeczy miały z sobą jakikolwiek związek, ani racjonalnego powodu, by podejrzewać jakąkolwiek więź. W równie oczywisty sposób byłem całkowicie pewien, że mamy tu trzy pieczenie na jednym ogniu. Bo dwadzieścia kilka lat później wszyscy zebrali się na zlocie rodzinnym w Miami: Doakes, Chutsky i ten, który zostawił tamtą rzecz na stole. W końcu klocek A dał się dopasować do otworka B.

Znalazłem tę cienką nić. Gdybym tylko zdołał wymyślić, jak za nią pociągnąć...

A kuku, Albercie!

Oczywiście, dysponować użyteczną informacją to jedno. Rozumieć jej znaczenie i wiedzieć, jak ją wykorzystać, to zupełnie inna bajka. W istocie wiedziałem tylko tyle, że sierżant Doakes był tam, kiedy działy się złe rzeczy. Prawdopodobnie nie robił ich sam, a w każdym razie zostały usankcjonowane przez rząd. Potajemnie, rzecz jasna -

co sprawiło mnie w zdumienie, bo skąd wszyscy się o nich dowiedzieli?

Z drugiej strony, gdzieś tam, wysoko, zasiadał ktoś, kto do tej pory chciał, żeby było o tym cicho. Obecnie tego kogoś reprezentował Chutsky, któremu za przyzwoitkę służyła moja droga siostra, Deborah. Gdybym uzyskał jej pomoc, może udałoby mi się wycisnąć parę szczegółów od Chutsky'ego. Co dałoby się potem zrobić, to dopiero by się zobaczyło, ale przynajmniej mógłbym zacząć.

Brzmiało to nazbyt prosto, i rzeczywiście tak było. Z miejsca zadzwoniłem do Deborah i połączyłem się z jej automatyczną sekretarką. Spróbowałem dzwonić na komórkę z tym samym rezultatem. Przez resztę dnia Debs pozostawała poza biurem – proszę zostawić wiadomość. Kiedy próbowałem złapać ją wieczorem, w domu, było to samo. A kiedy odłożyłem słuchawkę i wyjrzałem przez okno mojego mieszkania, sierżant Doakes parkował na swoim ulubionym miejscu, po drugiej stronie ulicy.

Półksiężyc wyszedł spoza postrzępionej chmury i zamruczał do mnie, ale marnował tylko oddech. Choćbym nie wiem jak chciał wymknąć się i przeżyć przygodę, której imię Reiker, nie mogłem tego zrobić przez tego przekłętego rdzawoczerwonego forda taurusa zaparkowanego jak wyrzut sumienia. Odwróciłem się i rozejrzałem, co by tu kopnąć. Oto w piątkowy wieczór nie pozwalano mi wyjść na przechadzkę z Mrocznym Pasażerem, a teraz nie mogłem nawet zatelefonować do siostry. Jakim koszmarem może być życie.

Przemierzałem mieszkanie przez jakiś czas, ale niczego nie osiągnąłem poza tym, że uderzyłem się w palec od nogi. Zadzwoniłem do Deborah jeszcze dwa razy i dwa razy nie zastałem jej w domu. Znów wyjrzałem przez okno. Księżyc z lekka się przesunął, Doakes nie.

No to w porządku. Wracamy do planu B.

Pół godziny później siedziałem na kanapie Rity z puszką piwa w rękę. Doakes pojechał za mną i domyślałem się, że czeka w samochodzie po drugiej stronie ulicy. Miałem nadzieję, że podobało mu się to tak samo jak mnie, to znaczy, że w ogóle mu się nie podobało. Czy tak zawsze się dzieje, kiedy jest się istotą ludzką? Czy ludzie naprawdę to żałosne bezmózgi, które czekają tylko, żeby spędzić piątkowy wieczór, cenny czas wyzwolenia z niewolniczej harówki, przed telewizorem z puszką piwa w rękę? To było nudne, aż mózg stawał, a ku memu przerażeniu stwierdzałem, że zaczynam się do tego przyzwyczajać.

Bądź przekłety, Doakesie. Doprowadzasz mnie do normalności.

- Hej, proszę pana - powiedziała Rita i opadła na kanapę obok mnie, po czym podwinęła stopy pod siebie - co taki cichy?

- Chyba za ciężko pracuję - odparłem. - I coraz mniej mi się to podoba.

Przez chwilę siedziała bez słowa, w końcu zapytała:

- Czy to chodzi o tego faceta, którego musiałeś puścić? Tego, który był... który zabijał dzieci?

- Po części tak - wyjaśniłem. - Nie lubię niedokończonych spraw.

Rita pokiwała głową, prawie jakby rozumiała, o czym mówię.

- To bardzo... chciałam powiedzieć, że to musi cię męczyć. Może powinienes... sama nie wiem. Co zazwyczaj robisz, żeby się odprężyć?

Można było wyczarować jakieś śmieszne obrazki i opisać jej, co niby robię, żeby się odprężyć, ale to chyba nie najlepszy pomysł. Po prostu więc powiedziałem:

- Hm, biorę łódkę. Łowię ryby.

A cichy, cieniutki głosik za moimi plecami dodał:

- Ja też.

Tylko moje wytrenowane, stalowe nerwy uchroniły mnie od rąbnienia głową o wentylator na suficie; rzadko da się mnie podejść, a jednak nie wiedziałem, że poza nami jest ktoś jeszcze w pokoju. Odwróciłem się. Za mną stał Cody, patrzył na mnie swoimi wielkimi, niemrugającymi oczami.

- Ty też? - zapytałem. - Lubisz łowić ryby?

Pokiwał głową; dwa słowa naraz przybliżyły go do dziennego limitu.

- Cóż, zatem - rzekłem. - Chyba się dogadaliśmy. Co sądzisz o jutrzejszym poranku?

- Och - powiedziała Rita. - Chyba nie... to znaczy, on nie jest... Nie musisz, Dexterze.

Cody popatrzył na mnie. Oczywiście, że nic nie powiedział, ale nie musiał. W jego oczach dostrzegłem wszystko.

- Rito, przecież czasem chłopcy muszą odpocząć od dziewczyn. Cody i ja płyniemy rano na ryby. O świcie - zwróciłem się do Cody'ego.

- Dlaczego?

- Nie wiem, dlaczego - rzekłem. - Ale zwykle wypływa się rano, dlatego i my tak zrobimy. - Cody pokiwał głową, popatrzył na matkę, potem odwrócił się i poszedł przed siebie korytarzem.

- Doprawdy, Dexterze - powiedziała Rita. - Naprawdę nie musisz.

Wiedziałem, rzecz jasna, że nie muszę. Ale dlaczego nie miałbym tego zrobić? Prawdopodobnie nie przysporzy to mi fizycznego bólu. Poza tym miło będzie wyrwać się na kilka godzin. Szczególnie od Doakesa. A w każdym razie - znów, nie wiem dlaczego, ale dzieci naprawdę coś dla mnie znaczą. Z pewnością nie rozklejam się, widząc dodatkowe kółeczka wspierające dziecięcy rowerek, ale ogólnie rzecz biorąc,

uważam, że dzieci są znacznie bardziej interesujące niż ich rodzice.

Następnego ranka, kiedy słońce wschodziło, razem z Codym wypływaliśmy z kanału biegnącego obok mojego mieszkania w mojej pięciometrowej motorówce. Cody miał na sobie niebiesko-zieloną kamizelkę ratunkową i siedział bez ruchu na lodówce. Troszeczkę się garbił, tak że głowa prawie niekła w kamizelce, przez co wyglądał jak jaskrawo zabarwiony żółw.

W lodówce były napój gazowany i lunch, który zrobiła dla nas Rita, lekka przekąska dla dziesięciorga czy dwanaściorga ludzi. Na przynętę wziąłem mrożone krewetki, gdyż była to pierwsza wyprawa Cody'ego, i nie wiedziałem, jak zareaguje na widok ostrego metalowego haka wbijanego w coś, co jeszcze żyje. Mnie się to nawet podobało, oczywiście – a im bardziej żywe, tym lepiej! Ale nie należy się spodziewać po dziecku, że będzie miało równie wyrafinowane gusta.

Po wypłynięciu z kanału, w zatoce Biscayne, skierowałem łódkę do Przylądka Florydzkiego, szukając naturalnego kanału obok latarni morskiej. Cody nic nie mówił, dopóki nie znaleźliśmy się na odległość wzroku od Stiltsville, dziwnego zbioru domów zbudowanych na palach pośrodku zatoki. Wtedy pociągnął mnie za rękaw. Nachyliłem się, żeby usłyszeć go przez huk silnika i wycie wiatru.

- Domy - powiedział.

- Tak! - ryknąłem. - Czasem są w nich nawet ludzie.

Patrzył na mijane domy, a potem, kiedy zaczęły za nami maleć, znów usiadł na lodówce. Jeszcze raz się odwrócił, żeby na nie spojrzeć, kiedy prawie zniknęły nam z oczu. Potem tylko siedział, aż dopłynęliśmy do Fowey Rock, gdzie zmniejszyłem obroty. Wrzuciłem jałowy bieg i spuściłem

z dziobu kotwicę. Poczekalem, aż opadnie, zanim wyłączyłem silnik.

- W porządku, Cody - powiedziałem. - Czas zabić parę ryb.

Uśmiechnął się, co było rzadkim wydarzeniem.

- Okay.

Patrzył na mnie bez mrugnięcia okiem, kiedy pokazywałem mu, jak nabijać krewetkę na haczyk. Potem spróbował sam, bardzo powoli i starannie wciskając haczyk, aż koniec wyszedł po drugiej stronie. Popatrzył na haczyk, potem podniósł wzrok na mnie. Kiwnąłem głową, a on znów spojrział na krewetkę i dotknął miejsca, w którym haczyk wbił się w skorupkę.

- W porządku - powiedziałem. - Teraz wrzuc to do wody. - Popatrzył na mnie. - Tam są ryby - dodałem. Cody kiwnął głową, wystawił czubek wędki za burtę i nacisnął guzik na małym kołowrotku z żyłką, żeby opuścić przynętę do wody. Ja też zarzuciłem przynętę za burtę i siedzieliśmy razem, kołysząc się powoli na falach.

Patrzyłem, jak Cody łowi ryby w dzikim, ślepym skupieniu. Może to wynikało z kombinacji otwartych wód i małego chłopca, ale nie mogłem powstrzymać myśli o Reikerze. Chociaż nie mogłem w spokoju przeprowadzić śledztwa w jego sprawie, przyjąłem, że jest winny. Kiedy dowie się, że MacGregor zniknął? Co wtedy zrobi? Najprawdopodobniej wpadnie w panikę i spróbuje zniknąć - a jednak, im bardziej o tym myślałem, tym bardziej w to wątpiłem. Istnieje naturalna, ludzka niechęć do rzucania całego życia i zaczynania gdzie indziej innego. Może będzie po prostu ostrożny przez jakiś czas. A jeśli tak, to będę mógł wypełnić sobie czas z nowym kandydatem do mojej, raczej ekskluzywnej, rubryki towarzyskiej, a ten, kto stworzył Wyjące Warzywo z ulicy 4 NW i fakt, że brzmi to jak tytuł książki o Sherlocku Holmesie, nie sprawiają, że stanie się to mniej pilne. Musiałem jednak jakoś

zneutralizować Doakesa. Jakoś, czymś, kiedyś, wkrótce muszę...

- Czy będziesz moim tatą? - zapytał niespodziewanie Cody.

Na szczęście nie miałem w ustach niczego, czym mógłbym się udławić, ale przez chwilę czułem, jakbym coś miał w gardle, coś w przybliżeniu wielkości indyka na Święto Dziękczynienia. Kiedy odzyskałem oddech, udało mi się wyjąkać:

- Dlaczego pytasz?

Nadal przyglądał się koniuszkowi swojej wędki.

- Mama mówi, że może - powiedział.

- Naprawdę? - zapytałem, a on pokiwał głową, nie podnosząc wzroku.

W głowie mi się zakręciło. Co ta Rita sobie myśli? Byłem tak zajęty wciskaniem kitu Doakesowi z moim maskowaniem się, że nawet nie wziąłem pod uwagę tego, co się dzieje w głowie Rity. Widać powinienem. Czy naprawdę tak myśli, przecież to nie do pomyślenia. Ale przypuszczam, że miałyby to sens, jeśli byłoby się istotą ludzką. Na szczęście nie jestem i ten pomysł wydał mi się zupełnie zwariowany. „Mama mówi, że może?” Może zostałbym tatą Cody’ego? To znaczy, hm...

- Cóż - rzekłem. To stanowiło bardzo dobry początek, jeśli wziąć pod uwagę, że kompletnie nie miałem pojęcia, co powiedzieć dalej. Na szczęście dla mnie, kiedy właśnie zdałem sobie sprawę, że żadna spójna odpowiedź nie przychodzi mi do głowy, wędzisko Cody’ego gwałtownie podskoczyło.

- Złapałeś rybę! - powiedziałem i przez następnych kilka minut Cody mógł tylko kurczowo trzymać wędkę, a linka furczała, rozwijając się z kołowrotka. Ryba raz za razem dziko się szarpała, śmigając zygzakami w lewo, w prawo, pod łódź i na wprost, ku horyzontowi. Ale powoli, mimo kilku dalekich ucieczek od łodzi, Cody przyciągał rybę coraz bliżej. Pomogłem mu utrzymać wędzisko w górze, nawinąć linkę i przyciągnąć

rybę tak, żeby można było ją wrzucić do łodzi. Cody patrzył, jak ryba rzuca się na pokładzie, wymachując dziko widlastym ogonem.

- To *Caranx crysos* - powiedziałem. - Narowista ryba. - Nachyliłem się, żeby wyjąć haczyk, ale ryba za bardzo się rzucała, żebym mógł ją złapać. Cienki strumyczek krwi wypływał jej z pyska na mój czysty, biały pokład, co trochę mnie zasmuciło. - Kurczę - zachnąłem się. - Chyba połknęła haczyk. Będziemy musieli ją wybebeszyć. Z czarnej, plastikowej pochwy wyjąłem nóż do filetowania i położyłem go na pokładzie. - Będzie mnóstwo krwi - ostrzegłem Cody'ego. Nie lubię krwi i nie chciałem jej na łodzi, nawet rybiej krwi. Zrobiłem dwa kroki naprzód, żeby otworzyć składzik i wyjąć stary ręcznik, który trzymałem do sprzątania.

- Ha - usłyszałem za sobą cichutki okrzyk. Odwróciłem się.

Cody wziął nóż i wbił go w rybę. Popatrzył, jak wije się wokół ostrza, a potem znów go wbił. Za drugim razem wbił ostrze głęboko w skrzela i na pokład wylała się fontanna krwi.

- Cody - powiedziałem.

Podniósł na mnie wzrok i dziw nad dziwy, uśmiechnął się.

- Lubię łowić ryby, Dexterze.

Do poniedziałkowego poranka nadal nie skontaktowałem się z Deborah. Dzwoniłem raz za razem i chociaż zapoznałem się z dźwiękiem jej telefonu do tego stopnia, że potrafiłbym go zanucić, Deborah nie odpowiadała. Było to coraz bardziej irytujące; oto dysponowałem prawdopodobnym wyjściem z pułapki, w którą zapędził mnie Doakes, ale nie mogłem ruszyć się dalej niż do telefonu. To koszmarnie być od kogoś tak zależnym.

Ale upór i cierpliwość należą do moich cnót harcerskich. Zostawiłem kilkanaście wiadomości, wszystkie radosne i mądre, i to pozytywne nastawienie musiało zdać egzamin, bo wreszcie otrzymałem odpowiedź.

Ledwie usiadłem za biurkiem, żeby dokończyć raport na temat podwójnego zabójstwa. Nic podniecającego. Jeden rodzaj broni, prawdopodobnie maczeta, i chwila szaleństwa. Rany początkowe obu ofiar zostały zadane w łóżku, gdzie prawdopodobnie przyłapano je in flagranti. Mężczyźnie udało się unieść ramię, ale trochę za późno, żeby uratować szyję. Kobieta zdążyła dobiec do drzwi, zanim cios w górną część pleców wywołał fontannę krwi, która obryzgała ścianę obok framugi. Rutyna, jak większość przypadków, którymi się zajmuję, a przy tym szalenie nieprzyjemna. W dwojgu ludzkich istotach jest tyle krwi, że kiedy ktoś postanowi jej upuścić, natychmiast robi się straszny i nieprzyjemny bałagan, który uważam za szalenie niesmaczny. Organizowanie i analizowanie znacznie bardziej przypada mi do gustu, a moja właściwa praca z rzadka bywa bardzo satysfakcjonująca.

Ale teraz miałem do czynienia z prawdziwym bałaganem. Znalazłem kropelki na wentylatorze sufitowym, najprawdopodobniej z ostrza maczety, którą zabójca uniósł między jednym ciosem a drugim. A ponieważ wentylator był włączony, rozbryzgał więcej kropli po wszystkich kątach.

To był pracowity dzień dla Dextera. Właśnie próbowałem ująć we właściwe słowa akapit raportu, by pokazać, że była to, jak lubimy to nazywać, „zbrodnia w afekcie”, kiedy zadzwonił telefon.

- Cześć, Dex. - Usłyszałem głos tak zrelaksowany, a nawet śpiący, że zajęło mi chwilę, zanim zorientowałem się, że to Deborah.

- Cóż - powiedziałem. - Pogłoski o twojej śmierci były przesadzone.

Roześmiała się i znów zabrzmiało to bardzo miękko, inaczej niż jej normalny, kanciasty chichot.

- Tak - odparła. - Żyję. Ale Kyle dał mi mnóstwo zajęć.

- Przypomnij mu o prawie pracy, siostrzyczko. Nawet sierzanci muszą kiedyś odpocząć.

- Hm, nie wiedziałam - rzekła. - Czuję się całkiem dobrze i bez tego. - I wyrzuciła z siebie gardłowy, krótki śmieszek, który zupełnie nie pasował do Debs, jakby prosiła, żebym pokazał jej najlepszy sposób na przecięcie żywej kości człowieka.

Próbowałem sobie przypomnieć, kiedy słyszałem Deborah, która mówi, że czuje się świetnie, a jednocześnie ton jej głosu potwierdza te słowa.

- Mówisz, jakbyś nie była sobą, Deborah - zniecierpliwilem się. - Co u licha w ciebie wstąpiło?

Tym razem jej śmiech trwał dłużej, ale był tak samo szczęśliwy.

- Zwykle sprawy - wyjaśniła. I znów się roześmiała. - Przy okazji, o co chodzi?

- Och, nic ważnego - powiedziałem, a niewinność rozkwitała mi na języku. - Moja jedyna siostra znika na całe dni i noce bez słowa, a potem pojawia się i mówi, jakby wyszła z serialu telewizyjnego. Jestem więc, oczywiście, ciekaw co, do diabła, się dzieje.

- No, kurczę - odparła. - Jestem wzruszona. To jest prawie tak, jakby się miało za brata człowieka.

- Miejmy nadzieję, że to nic nadzwyczajnego.

- A może wybierzemy się razem na lunch? - zapytała.

- Już jestem głodny - odparłem. - Relampago?

- Hm, nie. Może Azul?

Myślę, że wybór restauracji był mniej więcej tak samo sensowny, jak wszystko inne, co jej dotyczyło tego ranka, bo to w ogóle nie miało sensu. Deborah pasowała do jadłodajni dla pracowniczej masy, Azul natomiast był miejscem, w którym jadała saudyjska rodzina królewska, kiedy gościła w mieście. Najwyraźniej jej transformacja w kosmitkę właśnie się zakończyła.

- Jasne, Deb, Azul. Tylko sprzedam samochód, żebyśmy mieli czym zapłacić, i poczekam tam na ciebie.

- O pierwszej - dodała. - I nie martw się o pieniądze. Kyle zapłaci rachunek. - Odwiesiła słuchawkę. A ja przecież nie powiedziałem: Aha! Ale światło się zapaliło.

Kyle zapłaci, prawda? No, no. I to jeszcze w Azul.

O ile South Beach ze swoim tandetnym blichtrzem jest tą częścią Miami, w której królują niedoszłe znakomitości, o tyle Azul przeznaczone jest dla ludzi, którzy uważają przepych za coś fajnego. Kafajki tłoczące się na South Beach rywalizują o klientelę jaskrawą i taną krzykliwością. Azul,

w porównaniu z nimi, jest tak dyskretny, że można wątpić, czy oglądano tu choć jeden epizod z Miami Vice.

Zostawiłem samochód parkingowemu na małym, brukowanym podjeździe. Lubię swój wóz, ale muszę przyznać, że nie wypadł dobrze na tle rzędu ferrari i rolls-royce'ów. Mimo to parkingowy nie odmówił zajęcia się nim, chociaż musiał się domyślać, że nie zaowocuje to napiwkami z rodzaju tych, do których był przyzwyczajony. Myślę, że moja sportowa koszula i portki khaki stanowiły nieomylną wskazówkę, że nie mam dla niego ani obligacji na okaziciela, ani nawet złamanego krugerranda⁴.

W restauracji było ciemno, chłodno i tak cicho, że dało się słyszeć, jak na stoliki padają czarne karty kredytowe American Express. Jedna ze ścian składała się z witraży, znajdujące się tam drzwi prowadziły na taras. Pod tą ścianą właśnie, przy stoliczku w kącie siedziała Deborah i patrzyła na wodę. Po drugiej stronie, tyłem do drzwi prowadzących do restauracji, siedział Kyle Chutsky, który miał zapłacić rachunek. Miał bardzo drogie okulary przeciwsłoneczne, może więc było go stać. Podeszedłem do stolika i natychmiast zmaterializował się kelner, żeby odsunąć krzesło, z pewnością znacznie za ciężkie dla tych, których stać na to, żeby tutaj jadać. Kelner nie uklonił się, ale widać było, że ta wstrzemięźliwość wymaga od niego wysiłku.

- Cześć, koleś - powiedział Kyle, kiedy usiadłem. Wyciągnął rękę przez stół. Ponieważ uwierzył, że jestem jego nowym najlepszym przyjacielem, pochyliłem się i podałem mu dłoń. - Jak tam robota przy kropelkach?

- Jak zawsze mnóstwo pracy - odparłem. - A jak tam robota tajemniczego gościa z Waszyngtonu?

- Doskonale - rzucił. Przytrzymał moją rękę o sekundę za długo. Spojrzałem na nią; kostki miał powiększone, jakby spędzał za dużo czasu, uprawiając sparring z betonową ścianą.

Klepnął lewą ręką o blat i przed oczami błysnął mi różowy pierścień. Był zaskakująco niemęski, prawie jak pierścionek zaręczynowy. Wreszcie puścił moją rękę, uśmiechnął się i zwrócił głowę w stronę Deborah, chociaż okulary przeciwsłoneczne sprawiały, że nie mogłem stwierdzić, czy patrzy na nią, czy tylko kręci głową.

Deborah zrewanżowała mu się uśmiechem.

- Dexter martwił się o mnie.

- Hej - powiedział Chutsky - a po co są bracia?

Popatrzyła na mnie.

- Czasem sama się zastanawiam - odrzekła.

- Ależ Deborah, wiesz przecież, że tylko zabezpieczam ci tyły - stwierdziłem.

Kyle się zaśmiał.

- Dobry układ. Ja biorę przód. - Oboje cicho zachichotali. Wzięła go za rękę.

- Wszystkie te hormony i całe to szczęście sprawiają, że bołą mnie zęby - mruknąłem. - Powiedzcie, czy ktoś w ogóle próbuje złapać to nieludzkie monstrum, czy będziemy tylko sobie siedzieć i opowiadać żalodne androny?

Kyle znów odwrócił głowę w moją stronę i unióśł brwi.

- A co cię to obchodzi, koleś?

- Dexter uwielbia ludzkie potwory - wyjaśniła Deborah. - To jest jak hobby.

- Hobby - zastanowił się Kyle, nie odwracając ode mnie głowy.

Miał chyba zamiar mnie speszyć, ale przecież mógł mieć zamknięte oczy, czego nie dałoby się dostrzec przez okulary. Jakoś nie zadrzałem.

- Jest jakby kryminologiem amatorem - wyjaśniła Deborah.

Kyle nie ruszał się przez chwilę, a ja zastanawiałem się, czy aby nie zasnął za tymi swoimi czarnymi szklami.

- Ha - powiedział w końcu i rozparł się na krześle. - Cóż, Dexter, co sądzisz o tym facecie?

- Och, jak do tej pory zebrałem podstawowe fakty - powiedziałem. - To ktoś z dobrym treningiem w dziedzinie medycyny i tajnych operacji. Jest stuknięty i chce coś dać do zrozumienia, ma coś wspólnego z Ameryką Środkową. Prawdopodobnie zrobi to ponownie tak, żeby osiągnąć największy skutek, bo uważa, że musi to zrobić. Nie jest więc standardowym typem... czego? - zastanowiłem się. Kylemu zniknął z twarzy niefrasobliwy uśmiech, wyprostował się i zacisnął pięści.

- O co ci chodzi z tą Ameryką Środkową?

Byłem pewien, że obaj wiemy doskonale, co miałem na myśli, wspominając Amerykę Środkową, ale pomyślałem, że gdybym powiedział wprost o Salvadorze, byłoby to dla niego trochę zbyt wiele. Straciłbym swoją pozę niedbałego hobbysty. Celem mojego pojawienia się tutaj było wydobycie informacji na temat Doakesa, a kiedy widzi się, że sprawa rusza z miejsca... cóż zachowywałem się bezczelnie, ale to najwyraźniej podziałało.

- Och - powiedziałem. - Czy nie mam racji? - Wszystkie te lata praktyki w imitowaniu ludzkich zachowań opłaciły mi się, kiedy przybrałem mój najlepszy, niewinnie zaciekawiony wyraz twarzy.

Kyle najwyraźniej nie wiedział, czy to jest w porządku. Poruszył zuchwą i otworzył pięści.

- Powinam cię ostrzec - rzekła Deborah. - On jest w tym dobry.

Chutsky ciężko westchnął i pokręcił głową.

- Tak - powiedział. Z wyraźnym wysiłkiem znów się rozparł i spróbował się uśmiechnąć. - Nieźle, koleś. Jak do tego wszystkiego doszedłeś?

- Och, sam nie wiem - odparłem skromnie. - To po prostu było oczywiste. Najtrudniejsza część to odkryć, co ma z tym wspólnego sierżant Doakes.

- Jezu Chryste - jęknął Kyle i znów zacisnął pięści. Deborah popatrzyła na mnie i roześmiała się, niezupełnie tak samo, jak wtedy kiedy śmiała się do Kyle'a, ale i tak miło było wiedzieć, że pamięta, po której stronie oboje jesteście.

- Mówiłam ci, że jest dobry - powiedziała.

- Jezu Chryste - powtórzył Kyle. Poruszał podświadomie palcem wskazującym, jakby naciskał niewidzialny spust, potem odwrócił głowę w stronę Deborah. - Masz rację - przyznał i znów odwrócił się do mnie. Przez chwilę bardzo uważnie mi się przypatrywał, może dlatego, żeby zobaczyć, czy rzucę się do drzwi albo zacznę mówić po arabsku, a potem pokiwał głową. - O co chodzi z tym sierżantem Doakesem?

- Chyba nie chcesz obsmarować Doakesa łajnem, prawda? - zapytała mnie Deborah.

- W salce konferencyjnej kapitana Matthews'a - wyjaśniłem - gdy Kyle zobaczył Doakesa po raz pierwszy, był moment, kiedy się chyba rozpoznali.

- Nie zauważyłam tego - powiedziała Deborah, marszcząc czoło.

- Bo się właśnie czerwieniłaś - rzekłem. Znów się zaczerwieniła, co w tej chwili było chyba zbędne. - Poza tym to Doakes wiedział, do kogo zadzwonić, kiedy obejrzał miejsce przestępstwa.

- Doakes wie to i owo - przyznał Chutsky. - Z czasów służby w wojsku.

- Co to była za służba? - zapytałem. Chutsky przypatrywał mi się długo, a przynajmniej robiły to jego okulary przeciwsłoneczne. Postukał w blat tym śmiesznym, różowym pierścieniem, a słońce rozblęzło w wielkim diamencie. Kiedy

wreszcie przemówił, wydawało się, że temperatura przy naszym stole spadła o dziesięć stopni.

- Koleś - rzekł. - Nie chcę robić ci kłopotów, ale musisz to zostawić. Odsunąć się od tej sprawy. Znajdź sobie inne hobby. Albo wpadniesz w gówna i wtedy ty się zaczniesz czerwienić.

Kelner zmaterializował się obok Kyle'a, zanim zdołałem wymyślić szybką ripostę. Chutsky przez dłuższy czas patrzył na mnie przez przeciwsłoneczne okulary. Potem wręczył kelnerowi menu.

- Zupa rybna jest tu naprawdę dobra.

Deborah zniknęła na resztę tygodnia, co nie przyczyniło się do poprawy mojego poczucia wartości, bo choćby nie wiem jak straszne było przyznanie tego, to bez jej pomocy tkwiłem w ślepym zaułku. Nie umiałem obmyślić alternatywnego planu puszczenia Doakesa kantem. Ciągle parkował pod drzewem naprzeciwko mojego mieszkania, jeździł za mną do domu Rity, a ja nie znajdowałem rozwiązania. Mój dumny niegdyś mózg wymachiwał ogonem w rzadkim powietrzu.

Czułem, jak Mroczny Pasażer wiał się, kwilił i próbował się przesiąść, żeby przejąć kierownicę, ale postać Doakesa majaczyła za przednią szybą i zmuszała mnie, żebym poddał się ścisłej kontroli i sięgnął po kolejną puszkę piwa. Pracowałem zbyt ciężko i za długo, żeby osiągnąć to moje doskonałe życie, abym teraz miał je zmarnować. Pasażer i ja możemy jeszcze poczekać. Harry uczył mnie dyscypliny, która teraz doprowadzi mnie do radośniejszych dni.

- Cierpliwości - powiedział Harry. Przerwał, żeby odkaszlnąć w papierową chusteczkę. - Cierpliwość jest ważniejsza od sprytu, Dex. Sprytny już jesteś.

- Dziękuję - odparłem. I naprawdę chciałem, żeby zabrzmiało to uprzejmie, bo wcale nie czułem się dobrze, siedząc tutaj, w szpitalnej sali. Zapach lekarstw, środków dezynfekcyjnych i uryny, który mieszał się z aurą powściąganego cierpienia i śmierci klinicznej, sprawiał, że chciałem się natychmiast znaleźć gdzie indziej. Oczywiście, jako nieopierzony młody potwór nie zastanawiałem się, czy Harry nie myśli tak samo.

- Jeśli chodzi o ciebie, to powinieneś być dużo bardziej cierpliwy, bo inaczej będzie ci się zdawać, że jesteś dostatecznie sprytny, by się z tym uporać. A nie jesteś. Nie ma takich. - Przerwał na chwilę, żeby znów odkaslnąć i tym razem trwało to trochę dłużej, i zdawało się poważniejsze. Widzieć Harry'ego w takim stanie - niezniszczalnego superglinę, ojczyzna Harry'ego, roztrzęsionego, poczerwieniałego na twarzy, o załzawionych z wysiłku oczach - to niemal przekraczało moje siły. Musiałem odwrócić wzrok. Kiedy chwilę potem znów na niego spojrzałem, Harry przyglądał mi się uważnie.

- Znam cię, Dexterze. Lepiej niż ty sam. - W to łatwo było uwierzyć, ale on jeszcze nie skończył. - Zasadniczo jesteś dobrym facetem.

- Nie, nie jestem - powiedziałem, myśląc o tych wspaniałych rzeczach, których jeszcze nie pozwalano mi robić; nawet chęć ich czynienia całkowicie wykluczała jakikolwiek związek z dobrocią. Dochodził jeszcze fakt, że większość innych pryszczatych, buzujących hormonami chłopaków w moim wieku, których uważano za dobrych facetów, mniej mnie przypominała niż orangutan. Ale Harry nie chciał tego słuchać.

- Owszem, jesteś - rzekł. - I musisz wierzyć, że jesteś. Masz serce na właściwym miejscu, Dex - dodał i po tych słowach dostał prawdziwie epickiego napadu kaszlu, który trwał chyba kilka minut. Potem Harry oparł się o poduszkę. Na chwilę

zamknął oczy, a kiedy je znów otworzył, były to stalowoniebieskie oczy Harry'ego, jaśniejsze niż kiedykolwiek, na tle bladozielonej umierającej twarzy.

- Cierpliwości - powiedział mocnym głosem mimo słabości i strasznego bólu, który musiał odczuwać. - Przed tobą nadal długa droga, a mnie zostało już niewiele czasu, Dex.

- Tak, wiem - odparłem. Zamknął oczy.

- O to właśnie mi chodziło - stwierdził. - Ludzie oczekują, żeby w takich razach mówić: nie, nie martw się, masz mnóstwo czasu.

- Ale ty nie masz - powiedziałem, nie będąc pewny, do czego zmierza.

- Ano, nie mam - potaknął. - Ale ludzie udają, żebym lepiej się poczuł.

- A poczułbyś się lepiej?

- Nie - odparł i znów otworzył oczy. - Ludzkie zachowania niewiele mają wspólnego z logiką. Musisz być cierpliwy, patrzeć i się uczyć. Inaczej wszystko spieprzysz. Złapią cię i... Połowa mojego dziedzictwa. - Znów zamknął oczy, w jego głosie słyszałem cierpienie. - Twoja siostra będzie dobrym gliną. Ty - uśmiechnął się powoli, trochę smutno - ty zostaniesz kimś innym. Prawdziwą sprawiedliwością. Ale tylko wtedy, jeśli nauczysz się cierpliwości. Wcześniej nie masz szans, musisz poczekać, Dexterze.

Wszystko to było przytłaczające dla osiemnastoletniego kandydata na potwora. Chciałem tylko Tej Rzeczy, naprawdę prostej, chciałem tylko potaćzyć sobie w świetle księżycy, z jasnym, swobodnie hasającym ostrzem - toż to takie łatwe, tak naturalne i słodkie - przerynąć się przez wszelkie nonsensy i zmierzać wprost do sedna. Ale nie mogłem. Harry to skomplikował.

- Nie wiem, co zrobię, kiedy umrzesz - powiedziałem.

- Dasz sobie świetnie radę - odparł.

- Tyle muszę nauczyć się na pamięć.

Harry wyciągnął rękę i nacisnął guzik zwisający na sznurze obok łóżka.

- Nauczysz się - powiedział. Puścił sznur i wyglądało to tak, jakby zużył na ten ruch wszystkie siły. Wparowała pielęgniarka ze strzykawką, a Harry otworzył jedno oko. - Nie zawsze możemy robić to, co uważamy za właściwe. Jeśli zatem nie jesteś w stanie nic na to poradzić, musisz czekać - dodał i wystawił ramię, żeby pielęgniarka mogła zrobić zastrzyk. - Bez względu na to, jaką... presję... byś odczuwał.

Patrzyłem, jak leży bez drgnienia, wiedząc, że ulga, którą przyniesie mu ten zastrzyk, jest tylko tymczasowa, że nadchodzi koniec i Harry nie będzie mógł go powstrzymać - świadom także tego, że się nie boi i że zrobi to tak, jak trzeba, jak robił wszystko w życiu. A ja wiedziałem jeszcze to: Harry mnie rozumiał. Nikt inny nie rozumiał i nie zrozumie nigdy, na całym świecie. Tylko Harry.

Jeśli kiedykolwiek myślałem o tym, żeby stać się człowiekiem, to po to żeby być do niego podobnym.

4 Złota moneta południowoafrykańska, obecnie nie jest używana jako waluta, lecz jako lokata kapitału lub moneta kolekcjonerska (przyj. red.).

Zachowywałem zatem cierpliwość. Nie było to proste, ale za to w stylu Harry'ego. Niech jasna, stalowa sprężyna w środku pozostanie zwinięta i cicha i niech czeka, niech obserwuje, trzymając to słodkie rozprężenie zamknięte na cztery spusty w chłodnym pudle, aż przyjdzie czas, według przykazań Harry'ego, żeby smyrgnąć i pokoziołkować w noc. Wcześniej czy później pokaże się jakaś maleńka szczelina i będziemy mogli zrobić przez nią woltę. Wcześniej czy później znajdę sposób, żeby Doakes przymknął oczy.

Czekałem.

Niektórym z nas, oczywiście, przychodzi to trudniej niż innym i kilka dni później, w sobotni poranek zadzwonił mój telefon.

- Cholera - powiedziała Deborah bez wstępu. Niemal z ulgą usłyszałem, że znów stała się skwaśniałą sobą.

- Doskonale, dziękuję, a ty? - zapytałem.

- Kyle doprowadza mnie do obłędu - rzekła. - Oświadczył, że nie możemy nic zrobić i musimy czekać, ale nie chce powiedzieć, na co. Znika na dziesięć, dwanaście godzin i nie mówi, gdzie był. A potem po prostu dalej czekamy. Jestem tak cholernie zmęczona tym czekaniem, że aż bolą mnie zęby.

- Cierpliwość to cnota - powiedziałem.

- Cnotliwość też mnie zmęczyła - dodała. - I śmiertelnie niedobrze mi się robi, gdy widzę ten protekcyjnalny uśmiech Kyle'a, kiedy go pytam, kiedy zaczniemy szukać tego faceta.

- Cóż, Debs, nie wiem, co mógłbym dla ciebie zrobić poza zaoferowaniem ci współczucia - stwierdziłem. - Przykro mi.

- Myślę, że mógłbyś się postarać znacznie bardziej i to jak cholera, braciszku - rzekła.

Westchnąłem ciężko, przede wszystkim ze względu na nią. Westchnienia tak ładnie brzmią przez telefon.

- Na tym polega kłopot, kiedy ma się opinię rewolwerowca, Debs - odparłem. - Wszyscy myślą, że potrafię rzucić okiem na trzydzieści kroków i to ile razy zechcę.

- Ja nadal tak sądzę - powiedziała.

- Twoje zaufanie krzepi moje serce, ale zupełnie nie znam się na tego rodzaju przygodach, Deborah. To mnie zupełnie nie grzeje.

- Muszę znaleźć tego faceta, Dexter. I chcę utrzyć Kyle'owi nosa - zapewniła.

- Myślałem, że ci się podoba.

Parsknęła.

- Jezu, Dexter, Przecież ty zupełnie nie znasz się na kobietach, prawda? Oczywiście, że mi się podoba. To właśnie dlatego chcę mu utrzyć nosa.

- O, świetnie, teraz to ma sens - rzekłem.

Przerwała, a potem od niechcienia rzuciła:

- Kyle powiedział parę interesujących rzeczy o Doakesie.

Poczułem, jak mój szponiasty przyjaciel przeciąga się leciutko w środku i zdecydowanie mruczy.

- Nagle zrobiłaś się bardzo subtelna, Deborah - powiedziałem. - Wystarczyło mnie zapytać.

- Właśnie zapytałam, a ty nawijasz jakieś głupoty, że nie możesz mi pomóc - stwierdziła, nagle znów stając się dobrą, kochaną Deborah, która wali prosto z mostu. - No to jak? Co masz?

- W tej chwili nic - odparłem.

- Cholera - zakłęła Deborah.

- Ale może uda mi się coś znaleźć.

- Kiedy?

Przyznaję, że drażnił mnie stosunek Kyle'a do mnie. Co on powiedział? Aha, że „wpadnę w gówna i wtedy zacznę się czerwienić”? Kto mu pisze dialogi? I ten nagły paroksyzm delikatności, która przecież była moją tradycyjną specjalnością, nie sprawił, żebym się uspokoił. Toteż powiedziałem to, chociaż nie powinienem.

- A co robisz w porze lunchu? - zapytałem. - Powiedzmy będę coś miał do pierwszej. Baleen, skoro Kyle płaci rachunki.

- Załatwię to - odparła i dodała: - Ten materiał o Doakesie? Całkiem niezłe. - Odwiesiła słuchawkę.

No, no, pomyślałem. Nagle nie miałem nic przeciwko pracy w niedzielę. W końcu alternatywą było przesiadywanie u Rity i przyglądanie się, jak sierżant Doakes porasta mchem. Ale jeśli znajdę coś dla Debs, to w dłuższej perspektywie może wydłubię tę szczelinę, na którą liczyłem. Musiałem tylko okazać się pojętnym chłopcem, a przecież wszyscy uważamy mnie za takiego.

Ale od czego zacząć? Materiał miałem skąpy, bo Kyle wypędził nasz wydział z miejsca przestępstwa, zanim zrobiliśmy coś więcej niż posypanie proszkiem odcisków palców. Wiele razy dostawałem skromne sprawności harcerskie od kolegów z policji za pomoc udzielaną im w tropieniu chorych i zboczonych demonów, które żyły tylko po to, żeby zabijać. Tym razem nie mogłem zdać się na podpowiedzi ze strony Mrocznego Pasażera, który ukołysał się do niespokojnego snu, biedaczyna. Musiałem odwołać się do własnego, nagiego, naturalnego rozumu, który w tym momencie także był zatrwająco milczący.

Może gdybym dał mózgowi jakieś pożywienie, przeszedłby na wyższe obroty. Poszedłem do kuchni i znalazłem tylko banana. Bardzo mi smakował, ale z jakiegoś powodu nie wywołał fajerwerków intelektu.

Wyrzuciłem skórkę do kosza i spojrzałem na zegar. Cóż, drogi chłopcze, minęło całe pięć minut. Doskonale. A tobie udało się już odkryć, że nie możesz nic znaleźć. Brawo, Dexter.

Naprawdę istniało niewiele punktów zaczepienia. Miałem tylko ofiarę i dom. Byłem jednak całkowicie pewien, że ofiara nie powiedziałaaby zbyt dużo, nawet gdybyśmy zwrócili jej język, pozostawał mi zatem dom. Oczywiście, istniało duże prawdopodobieństwo, że dom należał do ofiary. Ale wystrój wnętrza był tymczasowy, co wykluczało taką możliwość.

Dziwne, że tak zwyczajnie odszedł i zostawił dom. Ale zrobił to, chociaż nie czuł niczyjego oddechu na plecach, który by go zmuszał do pospiesznej i panicznej ucieczki - a zatem uczynił to rozmyślnie, jako część planu.

A stąd wynikał wniosek, że miał dokąd pójść. Prawdopodobnie mieszkał w Miami lub okolicach, gdyż Kyle tutaj go szukał. To był punkt wyjścia, który sam znalazłem. Witamy w domu, panie Mózg.

Nieruchomości zostawiają całkiem pokaźne odciski stóp nawet, jeśli próbuje się je zatrzeć. W kwadrans, siedząc przed moim komputerem, coś znalazłem - właściwie nie był to cały odcisk stopy, ale spokojnie wystarczał, żeby określić kształt paru palców u nóg.

Dom przy ulicy 4 NW zarejestrowany był na Ramona Puntię. Nie wiem, jak chciał zachować to w tajemnicy w Miami, ale Ramon Puntia to kubańskie nazwisko-żart, bo puntia po hiszpańsku to cios, uderzenie. Ale za dom zapłacono i nie zalegały żadne podatki, co było logicznym posunięciem ze strony kogoś, kto cenił prywatność tak jak nasz nowy przyjaciel. Dom nabyto za jednorazową wpłatę gotówki dokonaną przelewem elektronicznym z banku w Gwatemali. To wydało mi się trochę dziwne; skoro nasz trop zaczynał się w Salwadorze i wiódł przez mroczne głębiny tajemniczej agencji rządowej w Waszyngtonie, to po co było skręcać

w lewo, do Gwatemali? Ale szybkie, on-line, studium współczesnego procederu prania pieniędzy dowiodło, że to świetnie pasuje do całości. Najwyraźniej Szwajcaria i Kajmany nie były już w łaskach i jeśli komuś zależało na dyskretnej bankowości w świecie hiszpańskojęzycznym, Gwatemala stanowiła ostatni krzyk mody.

Tu rodziło się więc interesujące pytanie: ile pieniędzy miał pan Ćwiartujący i skąd pochodziły? Ale to pytanie na razie prowadziło donikąd. Musiałem przyjąć, że wystarczyłoby mu na drugi dom, kiedy wyprowadził się z pierwszego, i prawdopodobnie z tej samej półki cenowej.

Świetnie zatem. Wróciłem do bazy danych nieruchomości hrabstwa Dade i poszukałem innych domów nabytych ostatnio w ten sam sposób, z tego samego banku. Było ich siedem; cztery z nich poszły za ponad milion dolarów, to cena trochę za wysoka jak na coś, czego i tak nabywca miał zamiar się pozbyć. Zostały prawdopodobnie kupione przez nikogo bardziej złowrogiego niż baronowie narkotykowi i zbiegli dyrektorzy oszukańczej loterii.

W ten sposób pozostawały trzy nieruchomości. Jedna z nich była położona w Liberty City, śródmiejskiej dzielnicy Miami zamieszkaney głównie przez czarnych. Ale po dokładniejszym sprawdzeniu okazało się, że to blok z mieszkaniami.

Z dwóch pozostałych posiadłości jedna znajdowała się w Homestead, widać było stamtąd gigantyczne wysypisko miejskie zwane przez okolicznych mieszkańców Monte di Spazzatura (góra śmieci). Druga leżała także na południowym krańcu miasta, tuż przy Quail Roost Drive.

Dwa domy: mógłbym się założyć, że do jednego z nich dopiero co wprowadził się ktoś nowy i robił rzeczy, które mogłyby spłoszyć panie z komitetu powitalnego. Oczywiście, żadnych gwarancji, ale to naprawę wydawało się prawdopodobne, a nadeszła już pora lunchu.

Baleen to bardzo droga restauracja, do której nie odważyłbym się wejść z moimi skromnymi środkami. Dzięki dębowym panelom panowała tu swoista elegancja, która sprawiała, że czuło się potrzebę założenia fularu i getrów. Rozciągał się stamtąd także jeden z najlepszych w mieście widoków na zatokę Biscayne, a jeśli ktoś miał szczęście, to w restauracji było parę stolików, które pozwalały podziwiać jej pejzaż. Albo Kyle miał szczęście, albo jego urok osobisty wywarł tak magiczne wrażenie na głównym kelnerze, że razem z Deborah czekali przy jednym ze stolików z widokiem na zatokę, trując się nad butelką wody mineralnej i talerzami z czymś, co okazało się ciasteczkami krabowymi. Chwyciłem jedno i ugryzłem, siadając na krześle naprzeciwko Kyle'a.

- Mniam - powiedziałem. - To tutaj muszą iść kraby po śmierci.

- Debcia mówiła, że coś dla nas masz - rzekł Kyle. Popatrzyłem na siostrę, która zawsze była Deborah albo Debs, ale z pewnością nigdy Debcia. Nic jednak nie powiedziała i chyba chciała, żeby ta bezczelność uszła mu płazem, skierowałem więc uwagę z powrotem na Kyle'a. Znow założył modne okulary przeciwsłoneczne, a jego śmieszny różowutki pierścionek rzucał błyski, kiedy beztrudnie odgarniał ręką włosy z czoła.

- Mam nadzieję, że coś odkryłem - zagaiłem. - Ale będę się starał, żeby się nie zaczerwienić.

Kyle rzucił mi długie spojrzenie, potem pokręcił głową i niechętny uśmiech uniósł mu kąciaki ust może o jakieś ćwierć centymetra.

- W porządku - zgodził się. - Spieprzyłem sprawę. Ale byłbyś zaskoczony, jak często taka metoda naprawdę działa.

- Jestem pewien, że wprawiłoby mnie to w osłupienie - przyznałem. - Podałem mu wydruk z mojego komputera. - Kiedy będę chwytął oddech, ty może zechcesz na to zerknąć.

Kyle ściągnął brwi i rozłożył papier.

- Co to jest?

Deborah pochyliła się, przybierając pozę młodego policyjnego psa gończego, którym w istocie była.

- Coś znalazłeś! Wiedziałam, że ci się uda - rzekła.

- To tylko dwa adresy - powiedział Kyle.

- Pod jednym z nich może znajdować się kryjówka pewnego nieortodoksyjnego chirurga ze środkowoamerykańską przeszłością - wyjaśniłem i opisałem, jak znalazłem adresy. Na jego korzyść trzeba przyznać, że zrobiło to na nim wrażenie mimo tych jego okularów.

- Szkoda, że o tym nie pomyślałem - rzekł. - To jest świetne.

- Pokiwał głową i trącił papier palcem. - Idź za pieniędzmi. Działa za każdym razem.

- Oczywiście, nie mogę być całkowicie pewien - powiedziałem.

- Hm, postawiłbym jednak na to - odparł. - Myślę, że znalazłeś doktora Danco.

Popatrzyłem na Deborah. Pokręciła głową, znów więc spojrzałem w okulary przeciwsłoneczne Kyle'a.

- Interesujące nazwisko. Czy jest Polakiem?

Chutsky odchrząknął i spojrzał na wodę.

- To chyba było modne, zanim się urodziłeś. Nakręcili taki spot reklamowy. Danco przedstawia automatyczną krajalnicę do warzyw. Sieka, tnie... - Popatrzył na mnie zza czarnych szkielek. - To dlatego nazwaliśmy go doktorem Danco. Robi siekane warzywa. Takie dowcipy przypominają się człowiekowi, kiedy jest daleko od domu i widzi koszarne rzeczy - dodał.

- Ale teraz widzimy je blisko domu - powiedziałem. - Dlaczego on tu jest?

- Długa historia - odparł Kyle.

- To znaczy, że nie chce ci powiedzieć - wyjaśniła Deborah.

- Skoro tak, to poczęstuję się jeszcze jednym ciastkiem krabowym - powiedziałem. Nachyliłem się i wziąłem ostatnie z talerza. Były naprawdę niezłe.

- No, Chutsky - odezwała się Deborah. - Mamy szansę, wiemy, gdzie ten facet jest. Co chcesz teraz z tym zrobić?

Przykrył dłonią jej rękę i się uśmiechnął.

- Mam zamiar zjeść lunch - oznajmił spokojnie. I drugą ręką podniósł kartę dań.

Deborah przez minutę wpatrywała się w jego profil. Potem wycofała rękę.

- Cholera - zaklęła.

Jedzenie było wyśmienite, a Chutsky bardzo się starał bawić nas uprzejmą rozmową, jakby uznał, że skoro nie może powiedzieć prawdy, to chociaż będzie czarujący. Szczerze mówiąc, nie mogłem narzekać, gdyż zazwyczaj stosuję tę samą sztuczkę, ale Deborah nie wyglądała na uszczęśliwioną. Dąsała się i dziobała jedzenie, a Kyle opowiadał dowcipy i pytał mnie, czy uważam, że Delfiny mają szansę na zwycięstwo w tym roku. Naprawdę nie obchodziłoby mnie, gdyby nawet dostały Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury, ale jako dobrze skrojony sztuczny człowiek dysponowałem kilkoma wyglądającymi na autentyczne, gotowymi uwagami na ten temat, co zdaje się usatysfakcjonowało Chutsky'ego, gawędził więc ze mną dalej, w niezwykle towarzyskim nastroju.

Dostaliśmy nawet deser, co moim zdaniem trochę za daleko posunęło sztuczkę „rozpraszenie gości za pomocą jedzenia”, tym bardziej że ani Deborah, ani ja wcale nie pozwoliliśmy się rozproszyć. Ale jedzenie okazało się całkiem smaczne, narzekanie byłoby więc z mojej strony barbarzyństwem.

Deborah, rzecz jasna, całe życie trudziła się bardzo, żeby zostać barbarzyńcą, kiedy więc kelner postawił ogromne, czekoladowe coś przed Chutskym, a ten zwrócił się do Debs z dwoma widelcami i powiedział:

- Hm... - skorzystała z okazji, żeby rzucić łyżkę na środek stołu.

- Nie! - krzyknęła. - Nie chcę, do cholery, filiżanki kawy i pieprzę czekoladowe fu-fu. Chcę odpowiedzi. Kiedy wybierzemy się po tego faceta?

Spojrzał na nią z lekkim zaskoczeniem, a nawet z pewną sympatią, jakby ludzie jego profesji uważali rzucające łyżkami kobiety za przydatne i czarujące. Ale uznał, że postawiła się trochę nie w porę.

- Czy mógłbym najpierw dokończyć deser? - zapytał.

Deborah wiozła nas na południe autostradą międzystanową. Tak, naprawdę powiedziałem „nas”. Ku memu zaskoczeniu zostałem cennym członkiem Ligi Sprawiedliwych i poinformowano mnie, że dostąpiłem zaszczytu narażenia mego niezastąpionego ja na niebezpieczeństwo. Chociaż daleko mi było do zachwytu, jeden mały incydent sprawił, że stało się to niemal warte trudu.

Kiedy staliśmy przed restauracją, czekając, aż parkingowy przyprowadzi samochód Deborah, Chutsky mruknął po cichu:

- Co jest, do cholery?... - I wolnym krokiem poszedł wzdłuż podjazdu. Patrzyłem, jak podchodzi do bramy i gestykuluje pod adresem rdzawoczerwonego forda taurusa, który stał, niedbale zaparkowany, pod palmą. Debs spojrzała na mnie wściekle, jakby to była moja wina, i oboje zaczęliśmy się przyglądać, jak Chutsky macha ręką w stronę szyby kierowcy, która zjeżdża w dół, żeby ukazać, oczywiście, nieznużonego sierżanta Doakesa. Chutsky wychylił się za bramę i powiedział coś do niego. Doakes spojrzał na mnie, potrząsnął głową, podkręcił szybę i odjechał.

Chutsky nic nie powiedział, kiedy do nas wrócił. Ale popatrzył na mnie trochę inaczej, zanim usiadł na przednim siedzeniu samochodu.

Jazda do miejsca, gdzie Quail Roost Drive rozwidła się na wschód i zachód i przecina międzystanową, tuż obok centrum handlowego, trwała dwadzieścia minut. Zaledwie dwie przecznice dalej seria bocznych uliczek prowadziła do cichego osiedla klasy pracującej składającego się z małych, przeważnie

ładnych domków, zazwyczaj z dwoma samochodami na krótkich podjazdach i kilkoma rowerami leżącymi na trawnikach.

Jedna z tych uliczek skręcała w lewo i kończyła się ślepym zaułkiem. Właśnie tam, na końcu, znaleźliśmy ten dom, pokrytą bladożółtym stiukiem rezydencję z zarośniętym podwórkiem. Na podjeździe stała zdezelowana szara furgonetka z czarnymi literami, które głosiły: Hermanos Cruz Limpiaadores - Bracia Cruz, Czyściciele.

Debs zakręciła jakieś pół przecznicy przed ślepym zaułkiem i podjechała pod dom, przed którym stało kilkanaście samochodów, a ze środka dobiegał głośny rap. Wykręciła tak, żeby samochód stał przodem do naszego celu, i zaparkowała pod drzewem.

- Co sądzicie? - zapytała.

Chutsky tylko wzruszył ramionami.

- Hm. Może być - powiedział. - Poobserwujmy przez chwilę.

Na najbliższe pół godziny nasza błyskotliwa konwersacja sprowadziła się właśnie do tego. Żeby utrzymać umysł przy życiu, zacząłem mentalnie dryfować ku półeczce w moim mieszkaniu, gdzie w małym, palisandrowym pudełeczku leżała pewna liczba szklanych płytek, takich jakie wsuwa się pod mikroskop. Na każdej znajdowała się kropla krwi - oczywiście bardzo już wyschniętej. Inaczej nie trzymałbym tego obrzydlistwa w domu. Czterdzieści okienek do mojego mrocznego drugiego ja. Po kropelce z każdej z moich przygód. Była tam pielęgniarka oddziałowa, która zabijała pacjentów, starannie przedawkowując morfinę, pod pretekstem zwalczania bólu. Tuż obok niej nauczyciel wychowania technicznego z liceum, który dusił pielęgniarki. Cudowny kontrast, a ja naprawdę lubię ironię.

Tyle wspomnień, a kiedy głaskałem każde z nich, coraz bardziej miałem ochotę na nowe, numer 41, mimo że numer 40, MacGregor, jeszcze nie obeschnął. Ale ponieważ łączył się

on z moim kolejnym projektem i dlatego nie był kompletny, coraz bardziej pragnąłem się z nim uporać. Jak tylko upewnię się co do Reikera, a potem znajdę jakiś sposób...

Wyprostowałem się. Być może obfity deser zamulił mi arterie mózgowie, bo zapomniałem o łąpówce, jaką obiecała mi Deborah.

- Deborah? - powiedziałem.

Spojrzała na mnie ze zmarszczonym od skupienia czołem.

- Co?

- Prosimy bardzo - zachęciłem ją.

- A gównu.

- Absolutnie żadnego. Kompletny brak gówna, w rzeczy samej... a wszystko dzięki wielkiemu wysiłkowi mojego umysłu. Czy nie wspominaliśmy o paru rzeczach, które miałaś mi powiedzieć?

Poparzyła na Chutsky'ego. Gapił się przed siebie. Ciągle miał na nosie okulary przeciwsłoneczne, które nie mrugały.

- Tak, w porządku - zgodziła się w końcu. - W wojsku Doakes służył w jednostkach specjalnych.

- Wiem. To jest w teczce personalnej.

- Ale nie wiesz, koleś - dodał Kyle, nie ruszając się - że jednostki specjalne mają swoją ciemną stronę. Tam właśnie trafił Doakes. - Leciutki uśmieszek wykrzywił mu twarz tylko na sekundę. Był tak ledwie widoczny i nagły, że mogła to być kwestia mojej wyobraźni. - Kiedy raz przejdzie się na ciemną stronę, to zostaje się tam na zawsze. Nie ma powrotu.

Widziałem, że Chutsky, który siedział w całkowitym bezruchu jeszcze przez chwilę, popatrzył na Debs.

- Doakes był strzelcem wyborowym - wyjaśniła. - Wojsko wypożyczyło go facetom z Salwadoru. Zabijał dla nich ludzi.

- Podróżuj ze spluwą - powiedział Chutsky.

- To wyjaśnia jego osobowość - zastanawiałem się na głos, myśląc, że wyjaśnia to znacznie więcej, na przykład echo, które dochodzi mnie z jego strony, kiedy zawoła mój Mroczny Pasażer.

- Musisz zrozumieć, jak tam było - powiedział Chutsky. Sprawiało to trochę niesamowite wrażenie, kiedy słyszało się jego głos wydobywający się z całkowicie nieruchomej i pozbawionej emocji twarzy, jakby dźwięk pochodził z magnetofonu, który ktoś umieścił w jego ciele. - Wierzyliśmy, że zbawiamy świat. Oddajemy dla sprawy życie i nadzieję na normalność i przyzwoitość. Okazuje się, że po prostu sprzedawaliśmy nasze dusze. Ja, Doakes...

- I doktor Danco - domyśliłem się.

- I doktor Danco. - Chutsky westchnął i wreszcie poruszył się, odwracając na krótko głowę w stronę Deborah. Potem znów patrzył przed siebie. Pokręcił głową, a ten ruch wydał mi się tak wyrazisty i teatralny po tamtym bezruchu, że miałem ochotę zaklaskać. - Doktor Danco zaczął jako idealista, jak i my wszyscy. W szkole medycznej twierdził, że brakuje mu czegoś w środku, i może robić ludziom różne rzeczy, nie czując w ogóle empatii. Żadnej. To rzadsze niż sądzisz.

- Och jestem tego pewien - powiedziałem, a Debs spojrzała na mnie groźnie.

- Danco kochał swój kraj - kontynuował Chutsky. - Przeszedł więc także na ciemną stronę. Celowo, żeby wykorzystać swój talent. A w Salvadorze... rozkwitł. Brał kogoś, kogo mu przyprowadzaliśmy, i po prostu... - przerwał i zaczerpnął tchu, potem powoli odetchnął. - Cholera. Widziałeś, co on robi.

- Bardzo oryginalne - rzekłem. - Twórcze.

Chutsky roześmiał się lekko, ale bez humoru.

- Twórcze. Tak. Można tak powiedzieć. - Chutsky powoli zahaścił głowę w lewo, w prawo, w lewo. - Jak mówiłem, już wcześniej nie przeszkadzało mu, że robi takie rzeczy,

a w Salwadorze polubił to. Siadał, zabierał się do przesłuchania i zadawał pytania osobiste. Potem, kiedy zaczynał... Zwracał się do tej osoby po imieniu, jakby był dentystą czy kimś takim, i mówił: spróbujemy numeru piątego albo siódmego, wszystko jedno, jakby były różne wzorce.

- Jakie wzorce? - zapytałem. Wydawało mi się, że to całkowicie naturalne pytanie, będące wyrazem uprzejmego zainteresowania, podtrzymujące rozmowę. Ale Chutsky odwrócił się na fotelu i popatrzył na mnie, jakbym był czymś, na co należałoby zużyć całą butlę płynu do mycia podłóg.

- To cię śmieszy - powiedział.

- Jeszcze nie - odparłem.

Gapił się na mnie koszmarnie długo, potem tylko pokręcił głową i znów odwrócił się do przodu.

- Nie wiem, jakie wzorce, koleś. Nigdy nie pytałem. Przykro mi. Prawdopodobnie chodziło o to, co ma odciąć najpierw. Ot, tak, żeby się zabawić. I przemawiał do nich, mówił po imieniu, pokazywał, co robi. - Chutsky zadrzał. - To było najgorsze. Powinieneś zobaczyć, jak to wpływało na człowieka.

- A jak wpłynęło na ciebie? - zapytała Deborah.

Pozwolił, żeby podbródek opadł mu prosto na klatkę, potem się wyprostował.

- Wpłynęło - powiedział. - Mniejsza o to, coś wreszcie zmieniło się w kraju, w polityce, w Pentagonie. Nowe rządy i tak dalej. Nie chcieli mieć nic wspólnego z tym, co myśmy tam wyprawiali. Po cichutku powiedziano nam, że doktor Danco mógłby dla nas kupić troszeczkę politycznej ugody z drugą stroną, gdybyśmy go im wydali.

- Wydaliście własnego człowieka na śmierć? - zapytałem. Chodziło mi o to, że to nie było w porządku. Może i nie zawracam sobie głowy moralnością, ale przynajmniej gram zgodnie z zasadami.

Kyle zamilkł na długą chwilę.

- Powiedziałem ci, koleś, że sprzedaliśmy nasze dusze - odezwał się wreszcie. Znów się uśmiechnął, tym razem trwało to trochę dłużej. - Tak, wystawiliśmy go, a oni go wzięli.

- Ale Danco nie zginął - powiedziała, jak zawsze praktyczna, Deborah.

- Daliśmy się okantować - wyjaśnił Chutsky. - Zabrali go Kubańczycy.

- Jacy Kubańczycy? - zapytała Deborah. - Mówiłeś o Salwadorze.

- Wtedy, za każdym razem, kiedy w którymś z krajów Ameryki Południowej lub Środkowej był jakiś kłopot, to pojawiali się tam Kubańczycy. Wspierali jedną stronę tak jak my drugą. I chcieli dostać naszego doktora. Mówiłem wam, że był szczególnym człowiekiem. Wzięli go więc i próbowali go odwrócić. I wsadzili na Wyspę Sosnową.

- To miejsce wypoczynkowe? - zapytałem.

Chutsky krótko się roześmiał.

- Chyba że ostatniego spoczynku. Wyspa Sosnowa to jedno z najcięższych więzień na świecie. Doktor Danco miał tam naprawdę twardą odsiadkę. Powiedzieli mu, że wydali go swoi, i to mu naprawdę dojadło. A kilka lat później jeden z naszych chłopaków dał się złapać, a potem znaleźliśmy go właśnie w takim stanie. Bez rąk, bez nóg, po całości. Danco pracuje dla nich. A teraz... - Wzruszył ramionami. - Albo go puścili, albo się wymknął. Nieważne. Wie, kto go wystawił, i ma listę.

- Twoje nazwisko jest na tej liście? - zapytała Deborah.

- Możliwe - odparł Chutsky.

- A Doakesa? - zapytałem. W końcu i ja potrafię być praktyczny.

- Możliwe - powtórzył, co nie pomogło mi w niczym. Oczywiście, cała ta historia z Danco wydawała mi się

interesująca, ale przyjechałem tutaj z konkretnego powodu.

- Tak czy inaczej - rzekł Chutsky - z czymś takim mamy właśnie do czynienia.

Nikt nie miał ochoty tego skomentować, włączając mnie. Zastanawiałem się nad tym, co usłyszałem, na wszystkie sposoby, szukając jakiejś możliwości, żeby uporać się z plagą Doakesa. Przyznam, że w tej chwili niczego nie znalazłem, i to wydawało mi się upokarzające. Ale chyba lepiej zrozumiałem drogiego doktora Danco. A więc i on był pusty w środku, co? Drapieżca w owczej skórze. I on również znalazł sposób, żeby używać swoich talentów dla wyższego dobra - jak drogi, stary Dexter. Ale teraz wykoleił się i troszeczkę zaczął przypominać zwyczajnego drapieżcę mimo intrygującej techniki, jakiej używał.

Dość dziwne, ale wraz ze zrozumieniem, z wrzącego kotła mrocznej strony mózgu Dextera zaczęła się wyłaniać inna myśl. Wcześniej była przelotnym kaprysem - teraz wydawała mi się bardzo dobrym pomysłem. A może samemu odnaleźć doktora Danco i wziąć go na chwilę do Mrocznego Tańca? Był drapieżcą, który zszedł na złą drogę, jak wszyscy inni na mojej liście. Nikt, nawet Doakes, nie miałby zapewne obiekcji w kwestii jego zejścia. Jeśli wcześniej zastanawiałem się, bez zgłębiania tej myśli, nad odszukaniem doktora, to teraz zadanie to nabrało pilności, która usunęła irytację wywołaną przez Reikera. A więc był taki jak ja, prawda? Zajmiemy się tym. Ciarki przeszły mi po kręgosłupie i stwierdziłem, że naprawdę nie mogę się doczekać spotkania z doktorem, żeby przedyskutować ze szczegółami jego dokonania.

W oddali usłyszałem pierwszy łoskot gromu, zbliżała się południowa burza.

- Cholera - powiedział Chutsky. - Będzie padało?

- Jak co dzień, o tej porze.

- Niedobrze - stwierdził. - Musimy coś zrobić, zanim się rozpada. Teraz ty, Dexter.

- Ja? - zapytałem wytrącony nagle z głębokiej zadumy nad niestereotypowym nadużyciem sztuki medycznej. Nastawiłem się na wspólną przejażdżkę, ale właściwie to robienie czegokolwiek przekraczało trochę zawarty przez nas układ. No bo jak: oto dwoje zahartowanych wojowników siedzi beczynn timer i naraża Delikatnego Dextera z Dołeczkiem w Brodzie na niebezpieczeństwo? Gdzie w tym sens?

- Ty - powiedział Chutsky. - Muszę zostać, żeby zobaczyć, co się stanie. Jeśli to on, łatwiej będzie mi go wyjąć. A Debcia...
- Uśmiechnął się do niej, chociaż zmarszczyła się groźnie, patrząc na niego. - Debcia za bardzo jest policjantką. Chodzi jak glina, patrzy jak glina, może nawet wystawi mu mandat. Rozpozna ją na kilometr. Zostajesz ty, Dex.

- Ale co mam zrobić? - zapytałem i przyznaję, że nadal odczuwałem coś na kształt sprawiedliwego gniewu.

- Po prostu przejdź się raz obok domu, zawróć na końcu uliczki i wróć do samochodu. Miej oczy szeroko otwarte, nadstawiaj uszu, ale nie zwracaj na siebie za bardzo uwagi.

- Nie wiem, jak zwracać na siebie uwagę - powiedziałem.

- Świetnie. To bułka z masłem.

Było jasne, że ani logika, ani całkowicie usprawiedliwiona irytacja nie pomogą, otworzyłem więc drzwi i wysiadłem, ale nie mogłem się oprzeć, żeby odejść bez strzemienego. Nachyliłem się do okna od strony Deborah i powiedziałem:

- Mam nadzieję, że przeżyję, żeby tego pożałować. -
A grzmot, bardzo uprzejmie, przetoczył się tuż obok.

Ruszyłem w stronę domu chodnikiem. Leżały na nim liście i parę zmiażdżonych kartoników po soku z pudełka na lunch jakiegoś dziecka. Kiedy przechodziłem, na trawnik wybiegł kot

i nagle usiadł, żeby oblizać sobie łapy i popatrzeć na mnie z bezpiecznej odległości.

W domu, przed którym stały te wszystkie samochody, zmieniła się muzyka i ktoś zawył: Huuu! Miło było wiedzieć, że są ludzie, którzy dobrze się bawią, kiedy ja wkraczałem w strefę śmiertelnego niebezpieczeństwa.

Skręciłem w lewo i zawróciłem na końcu uliczki. Zerknąłem na dom, przed którym stała furgonetka, i poczułem się bardzo dumny, że dokonałem tego w taki nierzucający się sposób. Trawnik był niechlujny, a na podjeździe leżało kilka mokrych gazet. Nie dostrzegłem żadnego stosu odkrojonych części ciała i nikt nie wybiegł, żeby mnie zabić. Ale kiedy przechodziłem, usłyszałem ryk telewizora, w którym nadawano jakiś show po hiszpańsku. Męski głos wznosił się ponad histeryczny pisk prezentera i zabrzęczał jakiś talerz. A kiedy powiew wiatru przyniósł pierwsze wielkie i twarde krople deszczu, od domu doleciał wraz z nim także zapach amoniaku.

Przeszedłem obok i wróciłem do samochodu. Spadło kilka kolejnych kropel i niedaleko przetoczył się grzmot, ale deszcz jeszcze nie lunął.

- Nic złowrogiego - zaraportowałem. - Trawnik wymaga strzyżenia i czuć tam amoniak. Głosy w domu. Albo mówi do siebie, albo jest tam ktoś jeszcze.

- Amoniak - powtórzył Kyle.

- Tak, chyba tak - rzekłem. - Prawdopodobnie tylko zapasy środków czyszczących.

Kyle pokręcił głową.

- Firmy sprzątające nie używają amoniaku, zapach jest za mocny. Ale ja wiem, kto go używa.

- Kto? - zapytała Deborah.

Uśmiechnął się do niej.

- Zaraz wracam - powiedział i wysiadł z wozu.

- Kyle! - krzyknęła Deborah, ale on tylko machnął ręką. - Cholera - mruknęła, kiedy pukał do drzwi i stał, patrząc w górę, na ciemne chmury nadciągającej burzy.

Drzwi się otworzyły. Wyjrzał zza nich niski, przysadzisty mężczyzna, o ciemnej cerze i czarnych włosach spadających na czoło. Chutsky coś do niego powiedział i przez chwilę żaden z nich się nie ruszał. Mały popatrzył na ulicę, potem na Kyle'a. Kyle powoli wyciągnął rękę z kieszeni i pokazał coś temu smagłemu - pieniądze? Tamten zerknął na to coś, znowu spojrzął na Chutsky'ego, a potem otworzył i przytrzymał drzwi. Chutsky wszedł. Drzwi zamknęły się z trzaskiem.

- Cholera - powtórzyła Deborah. Zaczęła obgryzać paznokieć. Nie zachowywała się tak, odkąd przestała być nastolatką. Najwyraźniej podobała się jej ta czynność, bo kiedy skończyła, zabrała się do kolejnego. Była przy trzecim paznokciu, kiedy drzwi domku otworzyły się i wyszedł Chutsky. Uśmiechał się i machał ręką. Drzwi zamknęły się, a on zniknął za ścianą wody, bo wreszcie lunęło. Ruszył biegiem do samochodu, wsiadł na przednie siedzenie. Cały ociekał wodą.

- Psiakrew! - zaklął. - Jestem kompletnie przemoczony!

- O co tu, do cholery, chodziło? - zapytała Deborah.

Chutsky podniósł brew pod moim adresem i zgarnął sobie włosy z czoła.

- Prawda, jak elegancko się wyraża? - zapytał.

- Kyle, do cholery - powtórzyła.

- Ten amoniak - wyjaśnił. - Nie do użytku chirurgicznego ani dla zawodowych sprzątaczy.

- Już to przerabialiśmy - wyrzuciła z siebie Deborah.

Uśmiechnął się.

- Amoniak używa się do gotowania metamfetaminy - powiedział. - Tym właśnie zajmują się tamci faceci.

- Wparowałeś prosto do kuchni z prochami? - zapytała Deb.
- Co, u diabła, tam robiłeś?
Uśmiechnął się i wyciągnął torebkę z kieszeni.
- Kupiłem uncję.

Deborah zaniemówiła prawie na dziesięć minut. Prowadziła samochód i patrzyła przed siebie, a szczęki miała zaciśnięte. Widziałem, jak pracują jej mięśnie od twarzy aż po ramiona. Znając ją dobrze, wiedziałem, że szykuje się wybuch, ale ponieważ nie miałem pojęcia, jak może się zachować Debs Zakochana, nie potrafiłem odgadnąć, kiedy. Chutsky, cel zblizającego się topnienia jej rdzenia atomowego, siedział obok niej równie milczący, ale najwyraźniej szczęśliwy, że sobie tak cicho siedzi i ogląda krajobrazy.

Zblizaliśmy się już do drugiego domu i jechaliśmy w cieniu Monte di Spazzatura, kiedy Debs wreszcie wybuchła.

- Do cholery, to jest zabronione! - krzyknęła, dla podkreślenia waląc dłonią w kierownicę.

Chutsky spojrział na nią z lekkim zachwytem.

- Tak, wiem - odparł.

- Jestem zaprzysiężoną funkcjonariuszką! - wrzeszczała Deborah. Przysięgałam, że będę zwalczać takie gówna... a ty!...

- Zapłula się tak, że musiała przerwać.

- Chciałem się tylko upewnić - odparł łagodnie. - To był najprostszy sposób.

- Powinam ci założyć kajdanki! - powiedziała.

- To mogłoby być zabawne - zauważył.

- Ty sukinsynu!

- Nareszcie.

- Nie przejdę na twoją cholerną ciemną stronę!

- Nie przejdiesz - zgodził się. - Nie pozwolę ci, Deborah.

Oddychała ze świstem, odwróciła się, żeby na niego spojrzeć. On też popatrzył na nią. Nigdy jeszcze nie widziałem milczącej rozmowy, a ta była jedyna w swoim rodzaju. Nerwowo strzelała oczami od lewej do prawej strony jego twarzy, a potem znów do lewej. On po prostu odpiął spojrzenie, spokojnie, bez mrugnięcia okiem. Było to eleganckie i fascynujące, i niemal równie interesujące jak fakt, że Debs najwyraźniej zapomniała, że kieruje.

- Nienawidzę się wtrącać - zacząłem. - Ale wydaje mi się, że przed nami jest ciężarówka z piwem.

Gwałtownie odwróciła głowę i zahamowała w samą porę, żebyśmy uniknęli przemiany w nalepkę na zderzak wozu z millerem jasnym.

- Zadzwoń do zastępcy i podam mu ten adres. Jutro - powiedziała.

- W porządku - rzekł Chutsky.

- A ty wyrzucisz tę działkę.

Wyglądał na lekko zaskoczonego.

- Kosztowała mnie dwa patyki - bronił się.

- Wyrzucisz - powtórzyła.

- W porządku - zgodził się. Znów popatrzyli na siebie, mnie zostawiając obserwowanie śmiertelnie groźnych ciężarówek z piwem. Ale i tak miło było widzieć, jak wszystko się dobrze układa i harmonia zostaje przywrócona we wszechświecie, a my możemy od nowa zacząć poszukiwania ohydneho, nieludzkiego potwora tygodnia, bogatsi o wiedzę, że miłość zawsze zwycięży. I była to wielka satysfakcja, tak jechać na południe, międzystanową, w słabnącej już burzy, a gdy słońce znów wyjrzało zza chmur, skręciliśmy w drogę, która doprowadziła nas do szeregu krętych uliczek ze wspaniałym widokiem na górę śmieci znaną jako Monte di Spazzatura.

Budynek, którego szukaliśmy, znajdował się pośrodku ostatniego rzędu domów, na którym kończyła się cywilizacja i zaczynało się królestwo śmieci. Stał przy łuku kuliście biegnącej ulicy i przejechaliśmy obok dwa razy, zanim upewniliśmy się, że to ten. Było to skromne domostwo z trzema sypialniami i dwiema hipotekami, pomalowane bladożółtą farbą z białym szlaczkiem i bardzo ładnie utrzymanym trawnikiem. Na podjeździe ani pod wiatą nie było widać samochodu, a tabliczka z napisem: Na sprzedaż na frontowym trawniku została przykryta inną, która jaskrawoczerwonymi literami głosiła: Sprzedane!

- Może się jeszcze nie wprowadził - powiedziała Deborah.

- Musi gdzieś mieszkać - odparł Chutsky i trudno było spierać się z jego logiką. - Zatrzymaj się. Masz podkładkę pod dokumenty?

Deborah zaparkowała i ściągnęła brwi.

- Pod siedzeniem. Potrzebna mi do papierkowej roboty.

- Nie zabrudzę - obiecał i sekundę gmerał pod fotelem, zanim wyciągnął prostą, metalową podkładkę z przypiętym plikiem oficjalnych formularzy.

- Doskonała - powiedział. - Daj mi coś do pisania.

- Co masz zamiar zrobić? - zapytała, wręczając mu tani, biały długopis z niebieskim guzikiem.

- Nikt nie powstrzyma faceta z podkładką do dokumentów - wyjaśnił z uśmiechem Chutsky. I zanim zdołaliśmy cokolwiek powiedzieć, był już na zewnątrz i szedł wzdłuż krótkiego podjazdu równym krokiem rasowego biurokraty. Zatrzymał się w połowie drogi, spojrzął na podkładkę, przewrócił kilka stron, przeczytał coś, zanim popatrzył na dom, i pokiwał głową.

- Chyba jest bardzo dobry w takich rzeczach - zwróciłem uwagę Deborah.

- Do cholery, lepiej, żeby był - rzekła. Nadgryzła kolejny paznokieć, a ja się zmartwiłem, że wkrótce jej ich zabraknie.

Chutsky ruszył dalej, zerkając na podkładkę, najwyraźniej nieświadom, że jest przyczyną znikających paznokci w stojącym za nim wozie. Wyglądał naturalnie i spokojnie i najwyraźniej dysponował ogromnym doświadczeniem albo w krętowniach, albo w machlojkach, zależy, które słowo lepiej pasuje do opisanie oficjalnie usankcjonowanego oszustwa. I doprowadził Debs do obgryzania paznokci i do tego, że mało nie wrąbała się w ciężarówkę z piwem. Może nie wywierał na nią dobrego wpływu, chociaż miło było widzieć kolejny cel dla jej min i podstępnych kuksańców. Zawsze wolę, jeśli przez jakiś czas ktoś inny chodzi posiniaczony.

Chutsky zatrzymał się przed drzwiami i coś zapisał. Potem, chociaż nie widziałem, jak to zrobił, otworzył je i wszedł. Drzwi zamknęły się za nim.

- Cholera - mruknęła Deborah. - Włamanie i wtargnięcie do mieszkania. Jeszcze trochę i każe mi porwać samolot.

- Zawsze chciałem odwiedzić Hawaje - powiedziałem, żeby jej ulżyć.

- Dwie minuty - rzekła zwięźle. - Potem wzywam wsparcie i wchodzę za nim.

Sądząc z tego, jak jej ręka podrygiwała w stronę radiostacji, minęła minuta i pięćdziesiąt dziewięć sekund, zanim drzwi się otworzyły i wyszedł Chutsky. Zatrzymał się na podjeździe, zapisał coś na podkładce i wrócił do samochodu.

- W porządku - powiedział, wsiadając z przodu. - Wracamy do domu.

- Dom jest pusty? - zainteresowała się Deborah.

- Czysty jak łza - odparł. - Nigdzie nawet ręcznika czy puszki zupy.

- To co teraz? - zapytała, wrzucając bieg.

Pokiwał głową.

- Wracamy do planu A - rzekł.

- A co to jest, do diabła, plan A? - zapytała Deborah.

- Cierpliwość.

I tak oto, mimo rozkosznego lunchu i zaprawdę oryginalnej wyprawy po zakupy, wróciliśmy do czekania. Minął typowy, nudny tydzień. Nie wyglądało na to, żeby sierżant Doakes zrezygnował, zanim moja przemiana w kanapowego brzuchacza z piwem w rękę dobiegnie końca, a ja nie miałem nic innego do roboty oprócz kopania puszek, gry w szubieniczkę z Codym i Astor i wykonywania potem rażąco teatralnych pocałunków pożegnalnych z Ritą, dla oczu mojego prześladowcy.

Potem, w środku nocy zadzwonił telefon. Była to noc z niedzieli na poniedziałek, a ja musiałem następnego dnia wyjść wcześniej do pracy; mieliśmy z Vince'em Masuoką umowę i teraz była moja kolej, żeby kupić pączki. A tutaj ten telefon bezwstydnie dzwoniący, jakbym nie miał innych zmartwień, a pączki same się dostarczały. Spojrzałem na zegar na stoliku nocnym: druga trzydzieści osiem. Przyznaję, że byłem nieco zrzedliwy, kiedy podniosłem słuchawkę.

- Dajcie mi spokój.

- Dexter, Kyle zaginął - powiedziała Deborah. Jej głos był bardziej niż zmęczony, niezwykle napięty, jakby nie wiedziała, czy ma kogoś zastrzelić czy płakać.

Zajął mi zaledwie kilka chwil, zanim rozgrzałem swój potężny intelekt.

- Hm, cóż Deb - odparłem - taki facet, może to i lepiej dla ciebie...

- On zaginął, Dexter. Porwano go. Ten facet go złapał. Ten facet, co to zrobił tamtemu facetowi - powiedziała i chociaż poczułem się, jakbym trafił do odcinka Rodziny Soprano,

zrozumiałem, o co jej chodzi. Ktoś, kto przemienił tamtego na stole w wyjący kartofel, porwał Kyle'a prawdopodobnie po to, żeby zrobić z nim samo.

- Doktor Danco - dodałem.

- Tak.

- Skąd wiesz? - zapytałem.

Powiedział, że to może się zdarzyć. Kyle jest jedynym człowiekiem, który wie, jak ten facet wygląda. Uważał, że jak Danco się dowie, że on tu jest, będzie próbował go złapać. Mieliśmy... umówiony sygnał i... cholera, Dexter, po prostu przyjeźdź tutaj. Musimy go znaleźć - poprosiła i odwiesiła słuchawkę.

Zawsze ja, prawda? Naprawdę wcale nie jestem bardzo miłą osobą, ale z jakiegoś powodu to zawsze ja muszę rozwiązywać ich problemy. „Och, Dexterze, dziki, nieludzki potwór porwał mojego chłopaka!” No, do cholery, ja sam jestem dzikim, nieludzkim potworem - czy to nie daje mi prawa do chwili odpoczynku?

Westchnąłem. Najwyraźniej nie.

Miałem nadzieję, że Vince nie pogniewa się o te pączki.

Z mojego mieszkania, w Grove, do Deborah jechało się kwadrans samochodem. Nareszcie nie widziałem śledzącego mnie sierżanta Doakesa, ale może korzystał z czapki niewidki z Klingonu. Ruch uliczny był bardzo mały i nawet udało mi się trafić na zieloną falę, na US 1. Deborah mieszkała przy Medina, na Coral Gables, w domku przysłoniętym zaniedbanymi drzewami owocowymi i rozwalającym się murkiem z koralowca. Zatrzymałem samochód obok jej wozu na krótkim podjeździe i kiedy byłem już o dwa kroki od drzwi, Deborah otworzyła je.

- Gdzieś ty był? - zapytała.

- Poszedłem na lekcję jogi, a potem do centrum handlowego, żeby kupić buty - odparłem. W rzeczywistości naprawdę się spieszyłem i na miejsce dotarłem w mniej niż dwadzieścia minut po jej telefonie, toteż poczułem się trochę urażony jej tonem.

- Właż - powiedziała, rozglądając się w ciemności. Przytrzymała drzwi, jakby bała się, że odleczę.

- Tak, o Potężna - rzekłem i wszedłem.

Domek Deborah był urządzony w modernistycznym stylu: „Nie mam prywatnego życia”. Obszar mieszkalny wyglądał jak tani pokój hotelowy, w którym przemieszkiwała kapela rockowa i złupiła wszystko poza telewizorem i kamerą wideo. Stały tam krzesło i stoliczek przy podwójnych, oszklonych drzwiach wychodzących na patio, prawie niewidoczne, spod splełanych krzaków. Udało się jej jednak znaleźć gdzieś drugie krzesło, kulawy składany fotelik, który przyciągnęła dla mnie do stolika. Byłem tak wzruszony jej gościnnym gestem,

że zaryzykowałem życie i całość kończyn, siadając na tym rupieciu.

- Hm - zastanowiłem się. - Jak dawno temu zniknął?

- Cholera - zaklęła. - Jakies trzy i pół godziny temu. Chyba.
- Pokręciła głową i usiadła zgarbiona na drugim krześle. -
Mieliśmy się tutaj spotkać, a on... się nie pojawił. Poszłam do jego hotelu, ale go tam nie było.

- Czy nie mógł wybrać się gdzie indziej? - zapytałem. -
I nie jestem z tego dumny, ale przyznaję, że w tych słowach zabrzmiała nadzieja.

Deborah pokręciła głową.

- Jego portfel i klucze leżały na komódce. Dex, ten facet go złapał. Musimy go znaleźć zanim... - Przygryzła wargę i odwróciła wzrok.

Nie miałem pojęcia, co zrobić, żeby znaleźć Kyle'a. Jak mówiłem, nie była to jedna z tych spraw, które najczęściej udaje mi się rozwikłać, i już zrobiłem, co mogłem, wyszukując tamte nieruchomości. Ale skoro Deborah zaczęła mówić „my”, to chyba nie miałem wielkiego wyboru w tej kwestii. Związki rodzinne i tak dalej. Niemniej próbowałem znaleźć sobie choćby niewielkie pole manewru.

- Debs, wybacz, jeśli to głupio zabrmi, ale czy to zgłosiłaś?

Podniosła wzrok, na twarzy miała lekki grymas.

- Tak, zgłosiłam. Zadzwoniłam do kapitana Matthews'a. Mówił, jakby mu ulżyło. Powiedział, żebym nie histeryzowała, jakbym była jakąś starszą panią z pretensjami. - Pokręciła głową. - Poprosiłam go, żeby wystawił list gończy, a on mi na to odpowiedział: „Po co?” - głośno westchnęła. - Po co... Do cholery, Dexter, chciałam go udusić, ale... - Wzruszyła ramionami.

- Ale on miał rację - stwierdziłem.

- Tak, tylko Kyle wie, jak ten facet wygląda - rzekła. Nie wiemy, czym jeździ ani jak naprawdę się nazywa, ani... Cholera, Dexter. Wiem tylko, że ma Kyle'a. - Z jękiem zaczerpnęła tchu. - Matthews zadzwonił do ludzi Kyle'a w Waszyngtonie. Powiedział, że to wszystko, co może zrobić. - Pokręciła głową, wyglądała marnie. - Wysyłają kogoś, we wtorek rano.

- No widzisz - powiedziałem z nadzieją. - Przecież wiemy, że ten facet pracuje bardzo powoli.

- Wtorek rano - powtórzyła. - Prawie dwa dni. Jak myślisz, Dex, od czego zaczniesz? Czy najpierw obetnie nogę? Czy ramię? Czy oba naraz?

- Nie. Po kolei. - Popatrzyła na mnie twardym wzrokiem. - Hm, to brzmi sensownie, prawda?

- Nie dla mnie - odparła. - Nic w tym nie ma sensu.

- Deborah, zamiarem ostatecznym tego faceta nie jest obcinanie rąk i nóg. Tylko to służy jego celowi.

- Cholera, Dexter, mów po ludzku.

- On chce całkowicie zniszczyć swoje ofiary. Okaleczyć zewnętrznie i wewnętrznie tak, żeby nie można było niczego naprawić. Zamienić je w grzechotki, które nie doświadczą już niczego poza totalnym, dożywotnim, obłąkańczym horrorem. Odcinanie kończyn i warg to tylko sposób w jaki... Co?

- O Jezusie, Dexter - jęknęła Deborah. Ostatni raz tak wykrzywioną twarz miała wtedy, gdy umarła nasza mama. Odwróciła się, a ramiona zaczęły się jej trząść. Speszyło mnie to, ale tylko troszeczkę, bo nie żywię żadnych uczuć, a Deborah uczucia przepełniają. Ale nie była z tych, którzy je okazują, chyba że irytacja też jest uczuciem. A teraz wydawała mokre, chlipiące dźwięki, a ja wiedziałem, że w takim wypadku należałoby poklepać ją po ramieniu i powiedzieć: „No, daj spokój” albo coś równie głębokiego i ludzkiego, ale jakos

nie mogłem się do tego zmusić. To była Deb, moja siostra. Wiedziałyby, że udaję i...

I co? Odcięłaby mi ramiona i nogi? Najgorsze, co mogłaby zrobić, to powiedzieć, żebym przestał, i znów zacząć zgrywać się na sierżant Ponuraczkę. Nawet to byłoby znacznie lepsze niż zgrywanie się na przywiedłą lilię. Tak czy siak był to jeden z tych przypadków, kiedy należało zareagować po ludzku, a ponieważ z długoletnich studiów wiedziałem, co zrobiłby człowiek, sam też tak postąpiłem. Wstałem i podszedłem do niej. Położyłem jej rękę na ramieniu, poklepałem ją i powiedziałem:

- No, już dobrze, Deb. Daj spokój. - Zabrzmiało to jeszcze głupiej, niż się obawiałem, ale ona oparła się o mnie i zachlipała, sądzę więc, że postąpiłem właściwie.

- Czy byłbyś w stanie zakochać się w kimś w tydzień? - zapytała.

- Nie sądzę, żebym w ogóle był do tego zdolny - odparłem.

- Nie dam sobie z tym rady, Dexter - powiedziała. - Jeśli Kyle zostanie zabity albo zamieni się w... o Boże, nie wiem, co wtedy zrobię. - I znów opadła na mnie i rozplakała się na dobre.

- No, już dobrze - powtórzyłem.

Mocno i długo pociągnęła nosem, a potem wydmuchała nos w papierowy ręcznik, który wzięła ze stoliczka.

- Wolałabym, żebyś przestał to powtarzać.

- Przepraszam - mruknąłem. - Nie wiem, co innego mógłbym ci powiedzieć.

- Zastanów się, co ten facet ma zamiar zrobić. I jak go znaleźć.

Usiadłem na chwiejnym krzeselku.

- Nie sądzę, żebym potrafił, Debs. Naprawdę, nie bardzo wczuwam się w to, co on myśli.

- Bzdura - zezłościła się.

- Poważnie. W zasadzie to, jak wiesz, nikogo jeszcze nie zabił.

- Dexter - powiedziała. - Ty już teraz więcej wiesz o tym typie niż Kyle, a on go przecież zna. Musimy go znaleźć. Musimy. - Przygryzła dolną wargę, a ja się przestraszyłem, że znowu zacznie szlochać, co uczyniłoby mnie całkowicie bezradnym, gdyż już mnie poprosiła, że mam nie mówić: No, już dobrze. Ale zebrała się do kupy jak na twardą siostrzyczkę sierżanta przystało i tylko znów wydmuchała nos.

- Spróbuję, Deb. Czy mogę przyjąć, że razem z Kylem zrobiliście już podstawową robotę? Porozmawialiście ze świadkami i tak dalej?

Pokręciła głową

- Nie musieliśmy. Kyle wiedział... - Zamilkła na tym czasie przeszłym, ale znów podjęła wątek, bardzo zdeterminowana. - Kyle wie, kto to zrobił, i wie, kto będzie następny.

- Przepraszam. On wie, kto będzie następny?

Deborah zmarszczyła brwi.

- Niezupełnie. Kyle powiedział, że w Miami jest czterech facetów, których tamten ma na swojej liście. Jeden z nich zaginał, a Kyle domyślił się, że tamten już go zwinął, ale to dało nam trochę czasu, żeby wziąć pod obserwację pozostałych trzech.

- Kim są ci czterej, Deborah? I skąd Kyle o nich wie?

Westchnęła.

- Kyle nie podał mi ich nazwisk. Ale wszyscy należeli do jakiegoś zespołu. W Salwadorze. Do spółki z tym... doktorem Danco. - Rozłożyła bezradnie ręce, co było u niej czymś nowym. I chociaż dodawało to jej swoistego uroku małej dziewczynki, ja poczułem się tylko jeszcze bardziej wykorzystywany. Świat rozkosznie wirował, pakując się w okropne kłopoty i wtedy

wołano Dziarskiego Dextera, żeby uporządkował sprawy. To chyba nie jest w porządku, ale co można na to poradzić?

Ścisłej - co ja mogłem na to poradzić? Nie widziałem sposobu, żeby odnaleźć Kyle'a, zanim będzie za późno. I chociaż jestem pewien, że nie powiedziałem tego na głos, Deborah zareagowała, jakbym to zrobił. Trzasnęła dłonią o blat stolika i powiedziała:

- Musimy go znaleźć, zanim dobierze się do Kyle'a. Zanim w ogóle cokolwiek zacznie, Dexterze. Bo... to znaczy, czy mam mieć nadzieję, że Kyle straci tylko jedno ramię, zanim do niego dotrzemy? Albo nogę? Kyle jest... - Odwróciła się, nie kończąc, i wyjrzała w ciemność przez oszklone drzwi przy stoliku.

Oczywiście, miała rację. Wyglądało na to, że niewiele możemy zdziałać, żeby wydostać Kyle'a nietkniętego. Bo przy diabelnym szczęściu, nawet prowadzeni przez mój błyskotliwy intelekt, nie zdołamy dotrzeć do niego, zanim robota się zacznie. I jeszcze jedno - jak długo Kyle wytrzyma? Prawdopodobnie przeszedł jakiś trening, żeby radzić sobie z tego rodzaju sprawami, i wiedział, co go czeka, więc...

Ale, chwileczkę. Zamknąłem oczy i spróbowałem o tym pomyśleć. Doktor Danco wie, że Kyle jest zawodowcem. A jak już mówiłem Deborah, jego celem było poszarpanie ofiary na wrzeszczące nienaprawialne kawałki. Zatem...

Otworzyłem oczy.

- Deb - powiedziałem. Popatrzyła na mnie. - Mam rzadką okazję zaproponowania ci pewnej pomocy.

- Wyduś to z siebie.

- To tylko domysł - rzekłem. - Ale sądzę, że doktor Obląkaniec będzie przez dłuższy czas trzymał gdzieś Kyle'a, zanim zabierze się do obrabiania go.

Zmarszczyła brwi.

- Niby po co?

- Po to, żeby dłużej trwało, żeby go zmiękczyć. Kyle wie, co go czeka. Jest na to przygotowany. Ale wyobraź sobie teraz, że leży gdzieś w ciemności, związany i jego wyobraźnia zaczyna pracować. Myślę też, że przed nim jest w kolejce jakaś inna ofiara. Facet, który zaginął. Kyle słyszy to wszystko: piły i skalpele, jęki i szepty. Nawet czuje to i wie, że to nadchodzi, ale nie wie kiedy. Będzie na wpół oszalały, zanim straci choćby jeden paznokieć u nogi.

- Jezu - jęknęła. - To jest twoja wersja nadziei?

- Absolutnie. To daje nam trochę dodatkowego czasu, żeby go znaleźć.

- Jezu - powtórzyła.

- Mogę się mylić - powiedziałem.

Znów wyjrzała za okno.

- Nie myl się, Dex. Nie tym razem.

Pokręciłem głową. Zapowiadała się ciężka harówka, wcale niezabawna. Byłem w stanie wymyślić tylko dwie rzeczy, które można by wypróbować, ale dopiero rano. Rozejrzałem się, szukając zegara. Według kamery wideo była 12:00. 12:00. 12:00

- Masz zegar? - zapytałem.

Deborah ściągnęła brwi.

- Po co ci zegar?

- Żeby się dowiedzieć, która godzina - powiedziałem. - Myślę, że do tego zazwyczaj służy to urządzenie.

- A co to, do diabła, za różnica? - zapytała.

- Deborah. Mamy bardzo mało punktów zaczepienia. Będziemy musieli wrócić i zająć się rutynową robotą, od której Chutsky odciągnął nasz wydział. Na szczęście możemy posługiwać się twoją odznaką, żeby trochę pochodzić i zadać parę pytań. Ale musimy z tym poczekać do rana.

- Cholera - zaklęła. - Nienawidzę czekania.

- No, już dobrze - powtórzyłem. Deborah spojrzała na mnie bardzo kwaśno, ale nic nie powiedziała.

Ja też nie lubiłem czekać, ale ostatnimi czasy tak długo musiałem to robić, że chyba przychodziło mi to łatwiej. Czekaliśmy więc, podrzemując na krzesłach, aż wzeszło słońce. A wtedy, ponieważ ostatnio byłem wielkim domatorem, zrobiłem dla nas dwojga kawę - musiałem tę operację powtórzyć dwa razy, bo Deborah miała ekspres na jeden kubek, dla ludzi, którzy nie są skłonni do rozrywek i właściwie to nie mają własnego życia. W lodówce nie było niczego, co choćby trochę nadawało się do jedzenia, chyba żeby się było zdziaczałym psem. Duże rozczarowanie: Dexter jest zdrowym chłopcem o wysokiej przemianie materii, a myśl, że ma przebrnąć niewątpliwie trudny dzień z pustym żołądkiem, nie sprawiała mu radości. Wiem, że rodzina przede wszystkim, ale czy nie mogłaby poczekać, aż zje się śniadanie?

No, cóż. Dexter Nieustraszony jeszcze raz się poświęci. Z czystej szlachetności ducha, a nie w nadziei na podziękowania, bo przecież wie się, co wypada.

Doktor Mark Spielman był wielkim mężczyzną i wyglądał raczej na emerytowanego rugbistę niż na lekarza z izby przyjęć. Ale to on miał dyżur, kiedy karetka dostarczyła tę Rzec do Jackson Memorial Hospital, i wcale mu się to nie podobało.

- Jeśli kiedykolwiek miałbym jeszcze coś takiego oglądać - powiedział nam - to przejdę na emeryturę i zacznę hodować jamniki. - Pokiwał głową. - Wiecie, jaka jest izba przyjęć w szpitalu Jacksona. Mamy tu najwięcej zgłoszeń. Wszystkie wariactwa zwożą nam tutaj z jednego z najbardziej zwariowanych miast na świecie. Ale to... - Spielman stuknął dwa razy w stół stojący w mdłozielonym pokoju dla personelu, gdzie nas przyjmował. - To coś innego - rzekł.

- Jakie są rokowania? - zapytała Deborah, a on ostro na nią spojrział.

- Czy to dowcip? Nie ma rokowań i nie będzie. Z fizycznego punktu widzenia zostało tak mało, że da się tylko podtrzymać życie, jeśli można to tak nazwać. Umysłowo? - Odwrócił obie ręce wnętrzem dłoni do góry i opuścił je na blat. - Nie jestem psychologiem, ale tam nic nie zostało i nie ma szans, żeby kiedykolwiek miał moment jasności. Jedyna nadzieja w tym, że jeśli będziemy trzymali go na mocnych prochach, nie dowie się, kim jest, aż do śmierci. A wszyscy mamy nadzieję, że dla jego dobra nastąpi ona jak najszybciej. - Popatrzył na zegarek, bardzo ładnego roleksa. - Czy to zajmie dużo czasu? Mam dyżur, wiecie.

- Czy we krwi były ślady jakichś narkotyków? - zapytała Deborah.

Spielman parsknął.

- Ślady, kurczę. Ten facet ma koktajl zamiast krwi. Nigdy jeszcze nie widziałem takiej mieszanki. Tak ją pomyślano, żeby podtrzymywała przytomność, a jednocześnie uśmierzała ból fizyczny, toteż wstrząs wynikający z wielokrotnej amputacji nie zabił go.

- Czy w cięciach było coś nadzwyczajnego? - zapytałem.

- Ten facet ma przygotowanie - powiedział Spielman. - Wszystkie były wykonane bardzo dobrą techniką chirurgiczną. Ale tego może wyuczyć każda uczelnia medyczna na świecie. - Głośno odetchnął, a na twarzy zaigrał mu przepraszający uśmiezek. - Niektóre już się zagoiły.

- Jakie ramy czasowe to nam daje? - zapytała Deborah.

Spielman wzruszył ramionami.

- Cztery do sześciu tygodni od początku do końca - powiedział. - Chirurgiczne poćwiartowanie tego człowieka zajęło naszemu facetowi co najmniej miesiąc, kawałek po kawałku. Nie potrafię sobie wyobrazić większej potworności.

- Robił to przed lustrem - wyjaśniłem, zawsze skłonny do pomocy. - Ofiara musiała więc patrzeć.

Spielman był przerażony.

- Mój Boże - powiedział. Potem siedział bez ruchu przez jakąś minutę, w końcu się odezwał: - O, mój Boże. - Potem pokręcił głową i znowu popatrzył na roleksa. - Słuchajcie, chciałbym wam pomóc, ale to jest... - Rozpostarł ręce i ponownie oparł je na stole. - Nie sądzę, żebym był w stanie powiedzieć wam coś, co się wam przyda. Pozwólcie, że zaoszczędzę wam czasu. Ten pan, hm... Chesney?

- Chutsky - poprawiła Deborah.

- Tak, właśnie. Zadzwonił z sugestią, że można ustalić tożsamość za pomocą wyników skanowania źrenicy z, hm, pewnej bazy danych w Wirginii. - Uniósł brew i zmarszczył

usta. - Mniejsza o to. Wczoraj dostałem faks z danymi personalnymi ofiary. Przyniosę go wam. - Wstał i zniknął w korytarzu. Chwilę później wrócił z kartką. - Oto jest. Manuel Borges. Mieszkaniec Salwadoru pracujący w branży importowej. - Położył papier przed Deborah. - Wiem, że to niewiele, ale wierzcie mi, że to wszystko. Stan, w jakim się znajduje... - Wzruszył ramionami. - Nie sądzę, żeby można było z niego cokolwiek wydobyć.

Mały głośnik interkomu w suficie wymamrotał coś, co brzmiało jak fragment przedstawienia w telewizji. Spielman pochylił głowę, nachmurzył się i powiedział:

- Muszę iść. Mam nadzieję, że go złapiecie. - Ruszył do drzwi tak szybko, że aż papier faksowy, który został na stole, podfrunął do góry.

Popatrzyłem na Deborah. Nie wyglądała na szczególnie pokrzepioną na duchu, że udało się nam odkryć nazwisko ofiary.

- No cóż - powiedziałem. - Wiem, że to niewiele.

Pokręciła głową.

- Niewiele byłoby w sam raz. To jest nic. - Popatrzyła na faks, przeczytała go raz. - Salwador. Ma to związek z czymś, co nazywa się Wieniec.

- To byli nasi - powiedziałem. Spojrzała na mnie. - Strona popierana przez Stany Zjednoczone. Sprawdzalem w Internecie.

- Wspaniale. Odkryliśmy więc coś, co już wiedzieliśmy.

Ruszyła ku drzwiom, nie tak szybko jak doktor Spielman, ale w wystarczającym tempie, żebym musiał za nią gnać. Dopędziłem ją dopiero przy drzwiach na parking.

Deborah prowadziła szybko, w milczeniu, szczęki miała zaciśnięte, przez całą drogę do domku przy ulicy 4 NW, gdzie to wszystko się zaczęło. Żółtej taśmy, oczywiście, już nie było,

ale Deborah zaparkowała byle jak, po gliniarsku i wysiadła z wozu. Poszedłem za nią po krótkim podjeździe do domu sąsiadującego z tym, w którym znaleźliśmy ludzki odbiór drzwiowy. Deborah nacisnęła dzwonek, nadal nic nie mówiąc, i chwilę potem drzwi się otworzyły. Mężczyzna w średnim wieku, z okularami w złotych oprawkach i jasnobrązowej koszulce spojrział na nas z zaciekawieniem.

- Chcielibyśmy porozmawiać z Ariel Medina - wyjaśniła Deborah, podnosząc odznakę.

- Matka teraz odpoczywa - odparł tamten.

- To pilne - nalegała Deborah.

Mężczyzna popatrzył na nią, potem na mnie.

- Chwileczkę. - Zamknął drzwi. Deborah patrzyła prosto na nie, a ja na jej szczęki zaciskające się przez kilka minut, zanim mężczyzna znów otworzył drzwi i przytrzymał je dla nas.

- Proszę wejść.

Poszliśmy za nim do małego, ciemnego pokoju, zagraconego tuzinami niskich stolików obstawionych przedmiotami kultu i fotografiami w ramkach. Ariel, starsza pani, która odkryła tamtą Rzecz w sąsiednim domku i wypłakiwała się na ramieniu Deb, siedziała na wielkiej, ogromnej kanapie, udekorowanej papierowymi serwetkami o koronkowych wzrokach. Kiedy zobaczyła Deborah, powiedziała:

- Ach. - Podniosła się i uściskała ją. Deborah, która przecież powinna spodziewać się, że starsza kubańska dama ją obejmie, stała chwilę sztywno, zanim wreszcie odwzajemniła uścisk, poklepując kilka razy kobietę po plecach. Cofnęła się, kiedy tylko poczucie przyzwoitości jej na to pozwoliło. Ariel usiadła na kanapie i poklepała poduszkę obok siebie. Deborah usiadła.

Starsza pani natychmiast wyrzuciła z siebie bardzo gwałtowny strumień słów po hiszpańsku. Trochę mówię w tym języku, a często potrafię zrozumieć nawet Kubańczyków, ale z przemowy Ariel chwycyłem tylko jedno słowo na dziesięć.

Deborah spojrzała na mnie bezradnie; z jakichś donkiszotowskich powodów w szkole wybrała sobie francuski i jeśli o nią chodziło, to kobieta równie dobrze mogła mówić po etrusku.

- Por favor, señora - powiedziałem. - Mi hermana no habla español.

- Ach? - Ariel poparzyła na Deborah z nieco mniejszym entuzjazmem i pokręciła głową. - Lazaro!

Jej syn wysunął się do przodu i kiedy po króciutkiej przerwie podjęła monolog, zaczął tłumaczyć.

- Przybyłam tutaj z Santiago de Cuba w 1962 roku - powiedział Lazaro w imieniu matki. - Pod Batistą widywałam czasem straszne rzeczy. Ludzie znikali. Potem nastał Castro i przez chwilę miałam nadzieję. - Pokręciła głową i rozpostarła ręce. - Wierzcie albo nie, ale tak wtedy myśleliśmy. Będzie inaczej. Ale wkrótce okazało się, że jest tak samo. Albo gorzej. Przybyłam więc tutaj. Tu do ludzi nie strzela się na ulicach i nie torturuje się ich. Tak myślałam. A teraz to. - Machnęła ręką w stronę sąsiedniego domu.

- Muszę zadać pani kilka pytań - powiedziała Deborah, a Lazaro przetłumaczył.

Ariel po prostu kiwnęła głową, nie przerywając swoich ciekawych wywodów.

- Nawet u Castro nie dzieją się takie rzeczy - powiedziała. - Tak, zabijają ludzi. Albo wsadzają na Wyspę Sosnową. Ale nigdy czegoś takiego. Nie na Kubie. Tylko w Ameryce - dodała.

- Czy kiedykolwiek widziała pani sąsiada? - przerwała jej Deborah. - Człowieka, który to zrobił? - Ariel przez chwilę przyglądała się uważnie Deborah. - Muszę to wiedzieć - powiedziała Deb. - Będzie kolejny, jeśli go nie znajdziemy.

- Dlaczego to właśnie pani mnie pyta? - zdziwiła się Ariel za pośrednictwem syna. - To nie jest zawód dla kobiety. Piękna kobieta, taka jak pani, powinna mieć męża. Rodzinę.

- El victimo proximo est novio de mi hermana - wyjaśniłem.
- Kolejną ofiarą jest chłopak mojej siostry.

Deborah spiorunowała mnie wzrokiem, Ariel tylko westchnęła:

- Ach. - Następnie mlasnęła językiem i pokiwała głową. - Cóż, nie wiem, co mogę wam powiedzieć. Owszem, widziałam tego człowieka, może ze dwa razy. - Wzruszyła ramieniem, a Deborah niecierpliwie się nachyliła. - Zawsze w nocy, nigdy z bliska. Był mały, bardzo niski. I chudy. W wielkich okularach. Nic więcej nie wiem. Nigdy nie wychodził, zachowywał się bardzo spokojnie. Czasem słyszeliśmy stamtąd muzykę. - Uśmiechnęła się lekko i dodała:

- Tito Puente. - A Lazaro niepotrzebnie powtórzył:

- Tito Puente.

- Ach - powiedziałem, a oni popatrzyli na mnie. - To miało zagłuszać hałas - dodałem, nieco skrępowany całym tym zainteresowaniem.

- Czy miał samochód? - zapytała Deborah, a Ariel się nachmurzyła.

- Furgonetkę. Jeździł starą, białą furgonetką bez okien. Była bardzo czysta, ale miała wiele plam od rdzy i wgnieceń. Widziałam ją kilka razy, ale zazwyczaj zostawiał samochód w garażu.

- Nie sądzę, żeby widziała pani tablice rejestracyjne? - zapytałem, a ona popatrzyła na mnie.

- Ależ pamiętam - odparła i uniosła rękę, dłonią do przodu. - Nie zauważyłam całego numeru, to się zdarza tylko na starych filmach. Ale wiem, że to była rejestracja florydzka. Żółta tablica z rysunkiem przedstawiającym dziecko - powiedziała, przerwała i popatrzyła na mnie gniewnie, bo zacząłem chichotać. Nie było to właściwe zachowanie i nie robię tego często, ale rzeczywiście chichotałem i nie potrafiłem powstrzymać śmiechu.

Deborah też popatrzyła na mnie ze złością.

- Co w tym takiego cholernie śmiesznego? - zapytała.

- Tablica rejestracyjna - wyjaśniłem. - Przepraszam, Debs, ale mój Boże, nie wiesz, co to jest żółta tablica rejestracyjna z Florydy? A ten facet ma taką i robi to, co robi... - Z trudem przełknąłem, żeby powstrzymać kolejny atak śmiechu, ale musiałem zaangażować do tego całą swoją samokontrolę.

- W porządku, do cholery, co takiego śmiesznego jest w żółtych tablicach rejestracyjnych?

- To numer specjalny, Deb - odparłem. - Głosi: Wybierz życie.

A potem, wyobrażając sobie doktora Danco obwożącego po okolicy wijące się ofiary, nasycającego je chemikaliami i przycinającego je perfekcyjnie, żeby wszystko przeżyły, boję się, że znowu zachichotałem.

- Wybierz życie - powiedziałem.

Naprawdę chciałem się spotkać z tym facetem.

Wróciliśmy do samochodu w milczeniu. Deborah wsiadła i telefonicznie przekazała opis furgonetki kapitanowi Matthewsowi, a on zgodził się wydać list gończy. Kiedy rozmawiała z kapitanem, ja się rozglądałem. Ładnie wypielegnowane podwórka, najczęściej wykładane kolorowymi kamykami. Kilka rowerków dziecięcych przymocowanych łańcuchami do frontowych ganków, a w tle Orange Bowl. Miłe sąsiedztwo, żeby tu mieszkać, pracować, mieć rodzinę - albo odrąbywać ludziom ramiona i nogi.

- Wsiadaj - powiedziała Deborah, przerywając moje marzenia o sielance. Wsiadłem i odjechaliśmy. W pewnej chwili, gdy staliśmy na czerwonych światłach, Deb spojrzała na mnie i powiedziała:

- Fajny czas sobie wybrałaś, żeby się pośmiać.

- Doprawdy, Deb - odparłem. - To jest pierwszy ślad osobowości tego faceta. Wiemy, że ma poczucie humoru. Sądzę, że to wielki krok naprzód.

- Jasne. Może uda nam się go złapać w kabarecie.

- Złapiemy go, Deb - zapewniłem, chociaż ani ona, ani ja nie wierzyliśmy w moje słowa. Tylko chrząknęła. Światła zmieniły się, a ona nacisnęła na gaz, jakby rozdeptywała jadowitego węża.

Jechaliśmy w dużym ruchu z powrotem do domu Deb. Poranne korki już się kończyły. Na rogu Flaglera i ulicy Trzydziestej Czwartej jakiś samochód wjechał na chodnik i uderzył w latarnię przed kościołem. Obok samochodu, między dwoma wrzeszczącymi na siebie mężczyznami, stał policjant. Na krawężniku siedziała zapłakana dziewczynka. Ach, te czarowne rytmy kolejnego magicznego dnia w rajku.

Kilka chwil później skręciliśmy w Medina i Deborah zaparkowała swój samochód obok mojego, na podjeździe. Wyłączyła silnik i przez chwilę oboje po prostu siedzieliśmy, nasłuchując trzasków stygnącego motoru.

- Cholera - powiedziała.

- Zgadzam się.

- Co teraz robimy? - zapytała.

- Śpimy - odparłem. - Jestem zbyt zmęczony, żeby myśleć.

Uderzyła oburącz w kierownicę.

- Jak ja mam spać, Dexterze? Wiedząc, że Kyle jest... - Znów uderzyła w kierownicę. - Cholera - dodała.

- Furgonetka się znajdzie, Deb. Wiesz przecież. Baza danych wyrzuci wszystkie białe furgonetki z tablicami Wybierz życie, a list gończy to tylko kwestia czasu.

- Kyle nie ma czasu - odparła.

- Istoty ludzkie potrzebują snu, Debs - powiedziałem. - Ja też.

Furgonetka kuriera zapiszczała na zakręcie i zatrzymała się z brzękiem przed domem Deborah. Kierowca wyskoczył z małą paczuszką i podszedł do drzwi frontowych.

- Cholera - zaklęła po raz ostatni i wysiadła z wozu, żeby odebrać przesyłkę.

Zamknąłem oczy i posiedziałem troszkę dłużej, oddając się marzeniom, co zdarza mi się zamiast logicznego myślenia, kiedy jestem bardzo zmęczony. To chyba naprawdę był zmarnowany wysiłek; nic mi nie przychodziło do głowy poza pytaniem, gdzie zostawiłem buty do biegania. Ponieważ moje nowe poczucie humoru najwyraźniej nadal objało mi się po głowie, wydało mi się to śmieszne, a ku memu ogromnemu zdumieniu usłyszałem słabiutkie echo dobiegające od strony Mrocznego Pasażera. Co w tym takiego śmiesznego? - zapytałem. - Czy to dlatego, że zostawiłem buty u Rity? Oczywiście, nie odpowiedział. Biedaczyna, pewnie do tej pory się dąsał. A jednak zachichotał. Czy jest coś jeszcze, co byłoby śmieszne? - zapytałem znowu. Ale nadal nie było odpowiedzi; zaledwie słabe uczucie oczekiwania i głodu.

Kurier zagrzechotał i z rykiem odjechał. Właśnie miałem zamiar ziewnąć, przeciągnąć się i przyznać, że moje precyzyjnie dostrojone moce mózgowe zrobiły sobie przerwę, kiedy usłyszałem coś w rodzaj wymiotnego jęku. Otworzyłem oczy i podniosłem wzrok. Zobaczyłem, jak Deborah robi chwiejny krok i siada na chodniku przed domem. Wsiadłem i szybko do niej podszedłem.

- Deb? - zapytałem. - Co się stało?

Rzuciła paczuszkę i ukryła twarz w dłoniach, wydając przy tym więcej dziwnych dźwięków. Przykucnąłem obok niej i podniosłem paczuszkę. Było to małe pudełko, rozmiarów opakowania na zegarek. Podważyłem przykrywkę. W środku znalazłem torebkę z zamkiem błyskawicznym, a w torebce ludzki palec.

Palec z dużym, błyszczącym różowutko pierścieniem.

Tym razem, żeby ją uspokoić, nie wystarczyło klepanie Deborah po ramieniu i powtarzanie: „No, już dobrze”. Prawdę mówiąc, wmusiłem w nią dużą szklankę miętowego sznapsa. Wiedziałem, że potrzebuje jakiejś chemicznej pomocy, żeby się odprężyć, a nawet zasnąć, jeśli to możliwe, ale Debs nie miała w apteczce nic mocniejszego niż tylenol, a jest niepijąca. W końcu, pod zlewem w kuchni znalazłem butelkę sznapsa i po upewnieniu się, że to nie jest płyn do przetykania rur, zmusiłem ją do wypicia szklanki. Sądząc po smaku, mógł to właściwie być płyn czyszczący. Wzdrygnęła się i zakrztusiła, ale wypiała, zbyt zmęczona i odrętwiała umysłowo, żeby się sprzeciwić.

Kiedy skuliła się na krześle, wrzuciłem kilka zmian jej ubrań do torby na zakupy i postawiłem ją przy drzwiach. Popatrzyła na torbę, potem na mnie.

- Co robisz? - zapytała. Głos miała niewyraźny i chyba nie interesowała jej odpowiedź.

- Na kilka dni przenosisz się do mnie - odparłem.

- Nie chcę - rzekła.

- To nie ma znaczenia - powiedziałem. - Musisz.

Przeniosła wzrok na torbę z ubraniami stojącą przy drzwiach.

- Dlaczego?

Podszedłem do niej i ukucnąłem obok krzesła.

- Deborah. On wie, kim jesteś i gdzie mieszkasz. Spróbujmy trochę utrudnić mu życie, dobrze?

Znów wzdrygnęła się, ale już nic nie mówiła, kiedy pomagałem jej wstać i prowadziłem do drzwi. Pół godziny później, po kolejnej szklance sznapsa, leżała już w moim łóżku, z lekka pochrapując. Zostawiłem jej karteczkę, żeby zadzwoniła do mnie, kiedy się obudzi, zabrałem paczuszkę z niespodzianką i poszedłem do pracy.

Nie spodziewałem się, że znajdę jakieś istotne wskazówki, kiedy poddam palec badaniom laboratoryjnym, ale skoro zarabiam na chleb, zajmując się kryminalistyką, wydało mi się, że powinienem rzucić na to profesjonalnym okiem. A ponieważ do wszystkich obowiązków podchodzę bardzo poważnie, zatrzymałem się po drodze i kupiłem pączki. Kiedy zbliżałem się do mojego pokoiku norki na drugim piętrze, korytarzem, z naprzeciwka nadszedł Vince Masuoka. Ukłoniłem się uniżenie i uniosłem torbę.

- Witaj, sensei - powiedziałem. - Przyniosłem dary.

- Witaj Koniku Polny - odparł. - Jest coś, co nazywa się czas. Musisz zgłębić jego tajemnice. - Uniósł nadgarstek i pokazał na zegarek. - Jestem w drodze na lunch, a ty przynosisz mi teraz śniadanie?

- Lepiej późno niż wcale - odrzekłem, ale on pokręcił głową.

- Nie - powiedział. - Moje usta zdążyły już zmienić bieg. Idę, żeby zjeść trochę ropa vieja i platanos.

- Jeśli odrzucasz mój dar z żywności - stwierdziłem - to dam ci palec. - Uniósł brwi, a ja wręczyłem mu paczuszkę Deb. - Czy mogę cię prosić o pół godziny przed lunchem?

Popatrzył na pudełeczko.

- Chyba nie powinienem otwierać tego z pustym żołądkiem, prawda? - zapytał.

- Hm, co w takim razie powiesz na pączki?

Badanie palca zajęło więcej niż pół godziny, ale zanim Vince poszedł na obiad, dowiedzieliśmy się, że z palca Kyle'a

nie dowiemy się niczego. Cięcie było nadzwyczaj czyste i profesjonalne, wykonane bardzo ostrym narzędziem, które nie zostawiło po sobie śladów w ranie. Pod paznokciem nie znaleźliśmy niczego poza niewielką ilością brudu, który mógł pochodzić skądkolwiek. Zdjąłem pierścionek, ale nie przyczepiły się do niego nitki ani włosy, ani charakterystyczne próbki tkaniny, a Kyle jakoś zapomniał wyryć adres albo numer telefonu po wewnętrznej stronie pierścionka. Miał krew grupy AB plus.

Włożyłem palec do lodówki, a pierścionek wsunąłem do kieszonki. Nie była to właściwie standardowa procedura, ale miałem całkowitą pewność, że Deborah chciałaby to mieć, gdybyśmy nie odzyskali Kyle'a. Było bardzo prawdopodobne, że jeśli go odzyskamy, to przez posłańca, kawałek po kawałku. Oczywiście, nie jestem osobą sentymentalną, ale to na pewno nie podniosłoby jej na duchu.

Byłem już bardzo zmęczony i skoro Debs nie zadzwoniła do tej pory, uznałem, że mam całkowite prawo pójść do domu i trochę się przespać. Kiedy wsiadłem do samochodu, zaczął padać popołudniowy deszcz. Pojechałem prosto LeJeune, we względnie lekkim ruchu i dojechałem do domu, po zaliczeniu tylko jednej wiazanki od innego kierowcy, co było nowym rekordem. Pobiegłem w deszczu i stwierdziłem, że Deborah nie ma. Nabazgrała notkę na kartce samoprzylepnej, że zadzwoni później. Ulżyło mi, gdyż nie marzyłem o przespaniu się na mojej karłowatej kanapie. Wlażem prosto do łóżka i spałem bez przerwy do szóstej z minutami wieczorem.

Oczywiście, nawet tak potężna maszyna, jaką jest moje ciało, wymaga czasem obsługi i kiedy usiadłem na łóżku, poczułem, że bardzo potrzebuję wymiany oleju. Długa noc i tak mało snu, niezjedzone śniadanie, napięcie i nerwówka, kiedy starałem się wymyślić coś poza: „No, już dobrze”,

żeby pocieszyć Deborah - wszystko to zebrało żniwo. Miałem wrażenie, jakby ktoś zakradł się do mojej głowy i nasypał piasku z plaży razem z kapslami i niedopałkami.

Jest tylko jedno rozwiązanie dla takiego stanu: ćwiczenia fizyczne. Ale kiedy już doszedłem do wniosku, że tym, czego naprawdę potrzebuję, jest przyjemny, trzy-, a nawet pięciokilometrowy jogging, przypomniałem sobie, że gdzieś zostawiłem buty do biegania. Nie znalazłem ich na zwykłym miejscu, przy drzwiach ani w samochodzie. To jest Miami, możliwe więc, że ktoś się włamał do mojego mieszkania i ukradł je; w końcu to były bardzo ładne buty marki New Balance. Ale pomyślałem, że jednak najprawdopodobniej zostawiłem je u Rity. Podjęcie decyzji jest dla mnie równoznaczne z działaniem. Potruchtałem do samochodu i pojechałem do domu Rity.

Deszcz nie padał już od dawna - ulewa rzadko trwa dłużej niż godzinę - ulice były suche, przelewały się po nich jak zwykle radosne, nastrojone samobójczo tłumy. Mój lud. Rdzawoczerwony taurus pokazał się za mną na Sunset i nie opuszczał mnie przez całą drogę. Miło było widzieć Doakesa znów przy pracy. Czuję się troszeczkę zaniedbany. Kiedy pukałem do drzwi, zaparkował jak zwykle, po drugiej stronie ulicy. Właśnie wyłączył silnik, kiedy Rita otworzyła.

- Hm - powiedziała. - Cóż za niespodzianka! - Uniosła twarz, żebym ją pocałował.

Dałem jej całusa, podkręcając go trochę, żeby rozerwać sierżanta Doakesa.

- Niełatwo mi to mówić - zacząłem - ale przyszedłem po moje buty do biegania.

Rita uśmiechnęła się szeroko.

- Właśnie włożyłam swoje. Może razem się trochę spocimy? - zapytała i przytrzymała mi drzwi, żebym wszedł.

- To najlepsze zaproszenie, jakie dzisiaj dostałem - odparłem.

Znalazłem swoje buty w garażu, obok pralki, razem z szortami i bluzą sportową. Odzież była wyprana i gotowa do włożenia. Poszedłem do łazienki i zmieniłem ubranie. Ubranie, w którym byłem w pracy, zostawiłem, złożone w kostkę, na sedesie. Kilka minut później razem z Ritą truchtaliśmy razem po ulicy. Pomachałem do sierżanta Doakesa, kiedy przebiegaliśmy obok. Pobiegliśmy dalej, kilka przecznic, a potem okrążyliśmy pobliski park. Biegaliśmy już tędy wcześniej, nawet zmierzylismy trasę - miała prawie pięć kilometrów - i byliśmy przyzwyczajeni do swojego tempa. Jakies pół godziny później, spoceni i znów gotowi stawić czoło wyzwaniom kolejnego wieczoru do przeżycia na planecie Ziemia, stanęliśmy przed drzwiami domu Rity.

- Jeśli pozwolisz, pierwsza wezmę prysznic - powiedziała. - A potem zacznę robić kolację, kiedy ty będziesz się mył.

- Oczywiście - odparłem. - Posiedzę sobie tutaj i będę obciekał.

Rita się uśmiechnęła.

- Przyniosę ci piwo - powiedziała. Chwilę później wręczyła mi puszkę, weszła do środka i zamknęła drzwi. Usiadłem na schodku i zacząłem popijać. Ostatnich kilka dni przemknęło jak dziki kalejdoskop, a moje codzienne życie zostało postawione na głowie, toteż właściwie spodobała mi się ta chwila spokojnej kontemplacji, kiedy tak siedziałem, popijałem piwo, a Chutsky, gdzieś w mieście, pozbywał się części zapasowych. Życie wirowało wokół mnie z całym bogactwem poderżnięć, uduszeń i ćwiartowania, ale w Królestwie Dextera był to czas na piwko. Uniosłem puszkę w toaście pod adresem sierżanta Doakesa.

Gdzieś, wewnątrz domu usłyszałem poruszenie. Rozległ się krzyk i trochę pisków, jakby Rita właśnie odkryła w łazience

Beatlesów. Potem drzwi otworzyły się na oścież i Rita, zarzuciwszy mi ręce na szyję, zaczęła mnie dusić. Rzuciłem piwo i z trudem chwyciłem powietrze.

- Co? Co ja zrobiłem? - zapytałem. Spostrzegłem Astor i Cody'ego, którzy przypatrywali się zza drzwi. - Bardzo przepraszam, nigdy już tego nie zrobię - dodałem, ale Rita nadal mnie ścisnęła.

- Och, Dexterze - powiedziała i zaczęła płakać. Astor uśmiechnęła się i złożyła rączki pod buzią. Cody tylko patrzył i lekko kiwał głową. - Och, Dexterze - powtórzyła Rita.

- Proszę - rzekłem, walcząc rozpaczliwie, żeby nabrać powietrza. - Przysięgam, że to był przypadek i że tego nie chciałem. Co ja zrobiłem? - Rita wreszcie zwolniła śmiertelny uścisk.

- Och, Dexterze - powtórzyła po raz kolejny, położyła dłonie na mojej twarzy i spojrzała na mnie z oślepiającym uśmiechem i łzami w oczach. - Och, ty! - powiedziała, chociaż, szczerze mówiąc, nie bardzo byłem sobą w tym momencie. - Przykro mi, że to przypadek - dodała. Teraz pochlipywała. - Mam nadzieję, że niczego specjalnie nie planowałeś.

- Rito, proszę, o co chodzi?

Uśmiechała się coraz szerzej.

- Och, Dexterze. Ja, doprawdy... to było po prostu... - Astor musiała skorzystać z toalety i kiedy podniosła moje ubranie, to wypadło na podłogę... Och, Dexterze, to jest takie piękne! - Powiedziała: „Och, Dexterze” tyle razy, że zaczęłam czuć się głupio i nadal nie wiedziałem, o co chodzi.

Do chwili, kiedy Rita uniosła przed sobą dłoń. Lewą dłoń. Teraz miała na palcu pierścionek z wielkim iskrzącym się brylantem.

Pierścionek Chutsky'ego.

- Och, Dexterze - powtórzyła kolejny raz i ukryła twarz na moim ramieniu. - Tak, tak, tak! Och, czynisz mnie taką szczęśliwą!

- W porządku - dodał cichutko Cody.

I co można po czymś takim powiedzieć? Tylko pogratulować.

Reszta wieczoru minęła w oparach niedowierzania i millera jasnego. Wiedziałem doskonale, że gdzieś, w przestrzeni unoszą się słowa, doskonałe, łagodne, logiczne, które mógłbym złożyć do kupy i wyjaśnić Ricie, żeby zrozumiała, że właściwie to nie prosiłem jej o rękę i oboje dobrze byśmy się uśmieśli, i powiedzieli sobie dobranoc. Ale im bardziej szukałem tego ulotnego, magicznego zdania, tym szybciej ode mnie uciekało. Złapałem się na myśli, że jeszcze jedno piwo być może otworzy drzwi percepcji, a po paru puszkach Rita poszła do sklepu na rogu i wróciła z butelką szampana. Wypiliśmy go i wszyscy wydawali się tacy szczęśliwi i po nitce do kłębka, jakoś tak, znów trafiłem do łóżka Rity, stając się tam świadkiem paru nad wyraz dziwnych i niegodnych wydarzeń.

I znów, kiedy odpływałem już w zdumiony i zaskoczony sen, złapałem się na myśli: Dlaczego ciągle mi się zdarzają te okropieństwa?

Przebudzenie po takiej nocy nigdy nie jest przyjemne. Przebudzenie w środku nocy z myślą: O Boże, Deborah! - jest jeszcze gorsze. Możecie sądzić, że czułem się winny albo skrupowany, że zaniedbałem kogoś, kto na mnie liczył, ale pomyliliście się bardzo. Jak już mówiłem, w istocie rzeczy nie odczuwam emocji. Mogę jednak czuć strach i myśleć o potencjalnej wściekłości Deborah zadziałała jak zapalnik. Pospiesznie się ubrałem i wymknąłem do samochodu, nikogo nie budząc. Sierżant Doakes zniknął już ze stanowiska, po drugiej stronie ulicy. Miło było pomyśleć, że nawet on musi od czasu do czasu się przespać. A może uznał, że ktoś, kto

właśnie się zaręczył, potrzebuje trochę prywatności. Znałem go jednak na tyle dobrze, że nie wydało mi się to prawdopodobne. Już prędzej wybrano go na papieża i musiał polecieć do Watykanu.

Szybko pojechałem do domu i sprawdziłem automatyczną sekretarkę. Była tylko jedna wiadomość namawiająca mnie, żebym kupił nowy zestaw opon, zanim będzie za późno, co brzmiało dość złowieszczo, ale żadnej wiadomości od Debs. Zrobiłem kawę i czekałem na odgłos porannych gazet rzucanych przed drzwi. Poranek wydawał mi się jakiś nierealny, co nie do końca było efektem szampana. Zaręczyłem się? No, no. Żałowałem, że nie potrafię się zbesztać i zażądać wyjaśnienia, co o tym myślę. Ale ja naprawdę, niestety, nie zrobiłem nic złego. Obleczony byłem od stóp do głów w cnotę i pracowitość. I nie zrobiłem nic, co można by nazwać rzucającą się w oczy głupotą. Obchodziłem się z życiem w szlachetny, a nawet przykładowy sposób, zajmowałem się swoimi sprawami i próbowałem pomóc siostrze w odzyskaniu chłopaka, ćwiczyłem, jadłem mnóstwo zieleniny i nawet nie rznąłem na kawałki innych potworów. I jakoś tak się stało, że to czyste i nobliwe zachowanie zaszło mnie od tyłu i ugryzło w zadek. Jak zwykł mawiać Harry, nie ma dobrego uczynku, który nie zostałby ukarany.

I co ja mam z tym wszystkim zrobić? Rita z pewnością oprzytomnieje. Bo jakże to, doprawdy: ja? Któż chciałby poślubić mnie? Jest inna alternatywa: można zostać zakonnice albo wstąpić do Korpusu Pokoju. Mówimy przecież o Dexterze. Czy w mieście rozmiarów Miami nie potrafi znaleźć sobie kogoś, kto przynajmniej byłby człowiekiem? I skąd ten jej pośpiech, żeby ponownie wydać się za mąż? Za pierwszym razem wyszedł z tego koszmarek, a ona najwyraźniej ma ochotę znowu się w tym zanurzyć. Czy kobiety naprawdę są tak zdesperowane na tle zawierania małżeństw?

Oczywiście, trzeba było jeszcze pomyśleć o dzieciach. Mądrość ludowa mówi, że potrzebują ojca, i jest w tym coś, bo co stałoby się ze mną, gdyby nie Harry? A Cody i Astor wyglądali na takich szczęśliwych. Jeśli nawet wyjaśnię Ricie, że to wszystko komiczna pomyłka, to czy dzieci kiedykolwiek to zrozumieją?

Pilem drugą filiżankę kawy, kiedy nadeszły gazety. Przejrzałem pierwsze strony i ulżyło mi, że okropieństwa dzieją się prawie wszędzie. Przynajmniej reszta świata nie zwariowała.

O siódmej pomyślałem, że należałoby zadzwonić do Deborah na komórkę. Nie było odpowiedzi; zostawiłem wiadomość i kwadrans później oddzwoniła.

- Dzień dobry, siostrzyczko - powiedziałem zdziwiony, że udało mi się utrzymać radosny ton głosu. - Wyspałaś się?

- Trochę - burknęła. - Wczoraj obudziłam się około czwartej. Śledziłam drogę paczuszki do miejsca w Hialeah. Przez większą część nocy jeździłam po okolicy i szukałam białej furgonetki.

- Jeśli podrzucił paczuszkę w Hialeah, to prawdopodobnie nadjechał z Key West - powiedziałem.

- Wiem, cholera - parsknęła. - Ale co innego, do diabła, miałam robić?

- Nie wiem - przyznałem. - Ale czy ten facet z Waszyngtonu nie przyjeżdża dzisiaj?

- Nic o nim nie wiemy - powiedziała. - To, że Kyle jest dobry, nie musi znaczyć, że on będzie taki sam.

Najwyraźniej nie pamiętała, że Kyle wcale nie okazał się taki dobry. W rzeczy samej to nic nie zrobił poza tym, że dał się złapać i odciąć sobie palec. Ale nie wydawało mi się dyplomatyczne komentować, czy rzeczywiście był taki dobry, powiedziałem więc po prostu:

- Hm, przyjmijmy, że ten nowy facet wie coś, czego my nie wiemy.

Deborah parsknęła pogardliwie.

- To nie sztuka - burknęła. - Zadzwoń, kiedy dotrze na miejsce. - Rozłączyła się, a ja przygotowałem się do pracy.

O dwunastej trzydzieści Deborah wytropiła mnie w moim ustroniu w laboratorium kryminalistycznym i rzuciła na biurko kasetę z taśmą. Podniosłem na nią wzrok; nie wyglądała na szczęśliwą, ale to nie nowość.

- Z mojej automatycznej sekretarki w domu - powiedziała. - Posłuchaj.

Uniosłem wieczko w moim odtwarzaczu i wsunąłem taśmę, którą cisnęła Deb. Nacisnąłem klawisz „play”; taśma głośno bipnęła, a potem usłyszałem nieznany mi głos.

- Sierżant, hm, Morgan. Zgadza się? Tu mówi Dan Burdett, z hm... Kyle Chutsky mówił, że powinienem do pani zadzwonić. Już wylądowałem, jestem na lotnisku i zatelefonuję do pani w sprawie spotkania, kiedy dojadę do hotelu, który mieści się...

- Rozległ się szelest i rozmówca najwyraźniej odsunął komórkę od ust, gdyż jego głos zrobił się słabszy. - Co? Och, hej, to miło. W porządku, dziękuję. - Jego głos znów przybrał na sile. - Właśnie spotkałem waszego kierowcę. Dziękuję, że kogoś podesłaliście. W porządku, zadzwonię z hotelu.

Deborah sięgnęła nad biurkiem i wyłączyła magnetofon.

- Nikogo nie wysyłałam na lotnisko! - wrzasnęła. - Kapitan Matthews też jest pewien, że nikogo nie wysyłał. Dexter, czy ty wysyłałeś kogoś?

- W mojej limuzynie zabrakło benzyny - powiedziałem.

- No to dupa błada! - rozzłościła się na dobre, a ja musiałem się zgodzić z jej analizą.

- Tak czy siak - powiedziałem - przynajmniej wiemy, jaki dobry jest ten następca Kyle'a.

Deborah opadła na składane krzesło przy biurku.

- Cholera - zaklęła. - A Kyle jest... - Przygryzła wargę i nie dokończyła zdania.

- Mówiłaś już o tym kapitanowi Matthewsowi? - zapytałem. Pokręciła głową. - Cóż, będzie musiał do nich zadzwonić. Niech przyślą kogoś innego.

- Jasne, świetnie. Przyślą kogoś innego, komu może uda się dojść do punktu odbioru bagażu. Cholera, Dexter.

- Musimy im powiedzieć, Debs - powiedziałem. - Przy okazji, kto to są ci oni? Czy Kyle mówił ci, dla kogo pracuje?

Westchnęła.

- Nie. Żartował, że pracuje dla OGA, ale nie wyjaśnił mi, dlaczego to takie śmieszne.

- Hm, kimkolwiek są, powinni wiedzieć. - Wyciągnąłem kasetę z odtwarzacza i położyłem przed nią, na biurku. - Muszą coś z tym zrobić.

Deborah nie ruszała się przez chwilę.

- Skąd mam to przecucie, że już coś z tym zrobili, a tym czymś był Burdett? - zapytała. Potem zabrała taśmę i wyszła z mojego gabinetu.

Trawiłem lunch i popijałem kawę, jedząc ogromne ciastko z wiórkami czekoladowymi, kiedy przyszło wezwanie, żeby zgłosić się na miejsce zabójstwa w rejonie Miami Shores. Z Anielem niespokrewnionym pojechaliśmy na miejsce, gdzie znaleziono ciało - w skorupie rozwalonego i remontowanego domku nad kanałem. Roboty zostały tymczasowo wstrzymane, gdyż właściciel i przedsiębiorca budowlany wzajemnie się pozwali do sądu. Dwóch nastolatków na wagarach zakradło się do domku i znalazło ciało. Trup leżał na grubym plastiku, na stosie sklejki ułożonym na dwóch kozłach do piłowania drewna. Ktoś wziął piłę mechaniczną i elegancko odciął głowę, nogi i ramiona. Całość zostawiono w takim stanie, z kadłubem

pośrodku i kawałami ciała leżącymi po prostu o kilka centymetrów od niego.

I chociaż Mroczny Pasażer chichotał i szeptał mi do ucha urocze, mroczne banialuki, złożyłem to na karb czystej zawiści i przystąpiłem do pracy. Było tam, oczywiście, mnóstwo rozchłapanej krwi, miałem więc nad czym się trudzić. Była nadal bardzo świeża, prawdopodobnie spędziłbym radośnie wydajny dzionek, wykrywając i analizując, gdybym nie usłyszał przypadkiem, jak umundurowany funkcjonariusz, który zjawił się tu pierwszy, rozmawia z detektywem.

- Portfel leżał w tym miejscu, tuż obok ciała - powiedział funkcjonariusz Snyder. - Ma wirginijskie prawo jazdy na nazwisko Daniel Chester Burdett.

- Proszę, proszę - zwróciłem się do szczęśliwie gaworzącego głosu na tylnym siedzeniu mojego mózgu. - To z pewnością wiele wyjaśni, prawda? Znow popatrzyłem na ciało. Chociaż głowa i kończyny zostały usunięte szybko i po barbarzyńsku, to w całym układzie odnalazłem jakąś znajomą elegancję, a Mroczny Pasażer chichotał radośnie na znak zgody. Między tułowiem a każdą z części ciała odstęp był tak precyzyjny, jakby go odmierzono, a cała prezentacja została tak zaaranżowana, jak na lekcję anatomii. Kość biodrowa odłączona była od kości nogi.

- W radiowozie mam tych dwóch chłopaków, którzy to odkryli - powiedział Snyder do detektywa. Odwróciłem się i spojrzałem na nich, zastanawiając się, jak im oznajmić moje nowiny. Oczywiście, mogłem się mylić, ale...

- Skurkowaniec - usłyszałem, jak ktoś zamruczał. Obejrzałem się w miejsce, gdzie kuczał Angel bez krewnych. Znow za pomocą szczypczyków podnosił kawałeczek papieru. Stanąłem za nim i zerknąłem mu przez ramię.

Wyraźnym, pajęczym charakterem ktoś napisał: pogue i przekreślił to prostą linią.

- Co to jest pogue? - zapytał Angel. - Jego nazwisko?

- To ktoś, kto siedzi za biurkiem i wydaje rozkazy prawdziwym żołnierzom - powiedziałem.

Popatrzył na mnie.

- Skąd to wiesz? - zapytał.

- Oglądam mnóstwo filmów - odparłem.

Angel znów spojrzał na papier.

- Myślę, że charakter pisma jest ten sam - rzekł.

- Jak przy tamtym - powiedziałem.

- Tym, którego nigdy nie było - stwierdził. - Wiem, byłem tam.

Wyprostowałem się i nabrałem powietrza, myśląc, jak miło mieć rację.

- Ten też nigdy nie istniał - dodałem i podszedłem do funkcjonariusza Snydera gawędzącego z detektywem.

Detektyw, o którym mowa, był mężczyzną w kształcie gruszki i nosił nazwisko Coulter. Popijał z wielkiej butelki mountain dew i patrzył na kanał przebiegający za podwórkiem.

- Jak pan myśli, za ile poszłoby takie miejsce jak to? - zapytał Snydera. - Nad takim kanałem, półtora kilometra od zatoki, hę? Może jakie pół miliona? Więcej?

- Przepraszam pana, detektywie - przerwałem mu. - Chyba mamy tutaj sytuację. - Zawsze chciałem to powiedzieć, ale nie wyglądało, żebyśmy zrobił wrażenie na Coulterze.

- Sytuację. Oglądał pan Fałę zbrodni czy co?

- Burdett to agent federalny - wyjaśniłem. - Musi pan natychmiast zadzwonić do kapitana Matthews'a i powiedzieć mu.

- Muszę! - rzekł Coulter.

- To jest związane z czymś, czego nie wolno nam się tykać - odparłem. - Przylecieli z Waszyngtonu i powiedzieli kapitanowi, żeby się od tego odsunął.

Coulter upił łyk z butli.

- I kapitan się wycofał?

- Jak królik do nory - oznajmiłem.

Coulter odwrócił się i popatrzył na ciało Burdetta.

- Federalny - powtórzył. Upił jeszcze łyk, gapiąc się na odciętą głowę i kończyny. Potem pokręcił głową. - Te chłopaki zawsze rozlatują się na części pod naciskiem. - Wyrzał przez okno i wyciągnął telefon komórkowy.

Deborah przybyła na miejsce w chwili, gdy Angel bez krewnych wkładał swoją walizkę z przyborami do furgonetki, czyli na trzy minuty przed kapitanem Matthewsem. Nie chcę przez to powiedzieć, że jestem krytycznie nastawiony do kapitana. Szczerze mówiąc, Debs nie musiała obsikać się perfumami, a on tak, poprawienie węzła krawata też musiało zająć mu chwilę. Tuż za Matthewsem nadjechał samochód, który znałem jak własny; rdzawoczerwony taurus prowadzony przez sierżanta Doakesa.

- Witajcie, witajcie, cała banda jest tutaj - powiedziałem radośnie. Funkcjonariusz Snyder popatrzył na mnie, jakbym proponował wspólne tańce na golasa, ale Coulter tylko wepchnął palec wskazujący w wylot butelki z napojem i dyndając nią, poszedł na spotkanie kapitana.

Deborah obejrzała miejsce z zewnątrz i nakazała partnerowi Snydera przesunąć taśmę policyjną trochę do tyłu. Zanim zwróciła się do mnie, żeby porozmawiać, doszedłem do zadziwiającego wniosku. Zacząłem o tym myśleć, traktując to jako ćwiczenie w ironicznych fantazjach, ale powstało z tego coś, czemu nie mogłem zaprzeczyć, choćbym nie wiem jak próbował. Podszedłem do kosztownego okna Coultera i wyrzałem. Oparłem się o ścianę i z bliska przyjrzałem się pomysłowi. Z jakiegoś powodu Mroczny Pasażer uznał go za zabawny i zaczął szeptać potworny kontrapunkt.

I w końcu, czując się tak, jakbym sprzedawał sekrety nuklearne talibom, zrozumiałem, że to jedyne, co możemy zrobić.

- Deborah - powiedziałem, kiedy podeszła do okna, przy którym stałem - kawaleria tym razem nie nadjedzie w porę.

- Nie pieprz, Sherlocku - rzekła.

- Jest nas za mało.

Odsunęła loczek z twarzy i ciężko westchnęła.

- A nie mówiłam?

- Ale nie zrobiłaś kolejnego kroku, siostrzyczko. Ponieważ jest nas za mało, potrzebujemy pomocy, kogoś, kto wie coś o tym...

- Na litość Boską, Dexter! My karmimy takimi ludźmi tego faceta!

- A to znaczy, że ostatnim kandydatem w tej chwili jest sierżant Doakes - wyjaśniłem.

Nie byłoby chyba uczciwe, gdybym powiedział, że oniemiała. Ale rzeczywiście patrzyła na mnie z otwartymi ustami, zanim odwróciła się, żeby popatrzeć na Doakesa, który stał przy ciele Burdetta i rozmawiał z kapitanem Matthewsem.

- Sierżant Doakes - powtórzyłem. - Wcześniej sierżant Doakes z sił specjalnych. Służba w odkomenderowaniu, w Salwadorze.

Znów spojrzała na mnie, a potem ponownie na Doakesa.

- Deborah - powiedziałem - jeśli chcemy znaleźć Kyle'a, musimy dowiedzieć się więcej. Musimy znać nazwiska z listy Kyle'a i musimy wiedzieć, jaka to była grupa i dlaczego to wszystko się dzieje. A Doakes jest jedyną osobą, która może mieć na ten temat jakieś pojęcie.

- Doakes pragnie twojej śmierci - stwierdziła.

- Nie ma idealnych warunków w robocie terenowej - odparłem, siląc się na jak najlepszy uśmiech radosnej

wytrwałości. – I myślę, że zależy mu na zakończeniu sprawy nie mniej niż Kyle’owi.

– Chyba nie aż tak bardzo jak Kyle’owi – powiedziała Deborah. – I nie tak bardzo jak mnie.

– A zatem – przyznałem – wygląda na to, że nie masz wyboru.

Deborah, z jakiegoś powodu, nadal nie wydawała się przekonana.

– Kapitan Matthews nie będzie chciał poświęcać Doakesa dla tej sprawy. Będziemy musieli z nim porozmawiać

Wskazałem na kapitana, który konferował z Doakesem.

– Oto i on – rzekłem.

Deborah przez chwilę zagryzała wargę, zanim się odezwała.

– Cholera. To może zadziałać.

– Nie widzę innej możliwości.

Znów westchnęła, a potem, jakby ktoś nacisnął klawisz, z zaciśniętą szczęką podeszła do Matthews’a i Doakesa. Poszedłem w ślad za nią, próbując z całych sił wtopić się w nagie ściany, żeby Doakes nie mógł rzucić się na mnie, aby wyrwać mi serce.

– Panie kapitanie – powiedziała Deborah – musimy się tym aktywnie zająć.

Mimo że „aktywnie” było jednym z jego ulubionych słów, Matthews popatrzył na nią, jakby była karaluchem w sałacie.

– Jeśli coś musimy – rzekł – to powiedziec tym... ludziom... w Waszyngtonie, żeby przysłali kogoś kompetentnego do załatwienia sprawy.

Deborah pokazała na Burdetta.

– Przysłali jego – powiedziała.

Matthews zerknął na ciało i w zamyśleniu wyduł wargi.

– Co pani proponuje?

- Mamy kilka śladów - powiedziała, kiwając w moją stronę głową. Naprawdę żałowałem, że to zrobiła, gdyż Matthews odwrócił się w moją stronę, a co gorsza, to samo zrobił Doakes. Jeśli ten wyraz twarzy głodnego psa był jakąś wskazówką, to jego uczucia do mnie najwyraźniej nie złagodniały.

- Co pan ma z tym wspólnego? - zapytał Matthews.

- Zapewnia wsparcie kryminalistyczne - wyjaśniła Deborah, a ja skromnie przytaknąłem.

- Cholera - zaklął Doakes.

- Występuje tu czynnik czasu - powiedziała Deborah. - Musimy znaleźć tego typa, zanim... zanim pojawi się więcej takich rzeczy. Nie możemy wiecznie trzymać tego pod przykrywką.

- Sądzę, że termin „podnoszenie wrzawy w mediach” mógłby być odpowiedni - podpowiedziałem, zawsze skłonny do niesienia pomocy. Matthews spojrzał na mnie wściekle.

- Znam ogólne plany Kyle'a... Chutsky'ego - kontynuowała Deborah. - Ale nie mogę się nimi posłużyć, bo nie dysponuję szczegółowymi informacjami dotyczącymi podstaw tej sytuacji.

- Wystawiła podbródek w stronę Doakesa. - Sierżant Doakes wie coś więcej o tej sprawie.

Doakes wydawał się zaskoczony, ale widać było, że rzadko ćwiczył ten wyraz twarzy. Zanim zdążył się odezwać, Deborah brnęła dalej.

- Uważam, że we troje złapiemy tego faceta, zanim przyleci tu kolejny federalny, żeby zaczynać wszystko od początku.

- Cholera - powtórzył Doakes. - Chcesz, żebym pracował... z nim? - Nie musiał pokazywać palcem, żeby wszyscy wiedzieli, że chodzi o mnie, ale i tak to zrobił, wystawiając muskularny palec wskazujący w stronę mojej twarzy.

- Tak, chcę - powiedziała Deborah. Kapitan Matthews przygryzał wargę. Wyglądał na niezdecydowanego.

Doakes znowu powtórzył:

- Cholera. - Miałem nadzieję, że zdoła poprawić swoje zdolności konwersacyjne, skoro mamy razem pracować.

- Mówił pan, że wie coś o tym. - Matthews zwrócił się w stronę Doakesa, a sierżant niechętnie przeniósł wzrok ze mnie na kapitana.

- Aha - potaknął.

- Z pańskiej, hm... z wojska - kontynuował Matthews. Jakoś specjalnie nie przerażała go mina Doakesa wyrażająca rozdrażnienie i wściekłość, ale może taki już był obyczaj dowodzącego.

- Aha - powtórzył Doakes.

Kapitan Matthews zmarszczył brwi, robiąc wszystko, żeby przybrać najbardziej przekonującą minę człowieka czynu podejmującego decyzję. Tymczasem my robiliśmy wszystko, żeby opanować gęsią skórę.

- Morgan - powiedział wreszcie Matthews. Popatrzył na Debs i przerwał. Furgonetka z napisem: Wiadomości z akcji na boku zatrzymała się przed domkiem i zaczęli z niej wysiadać ludzie.

- Cholera - mruknął Matthews. Spojrzał na ciało, potem na Doakesa. - Zrobi pan to, sierżancie?

- Nie spodoba im się to w Waszyngtonie - odparł Doakes. - Mnie się też za bardzo nie podoba.

- Zaczynam tracić zainteresowanie tym, co im się podoba w Waszyngtonie - stwierdził Matthews. - Mamy własne problemy. Poradzi sobie pan z tym?

Doakes popatrzył na mnie. Próbowałem wyglądać poważnie i gorliwie, ale on tylko pokiwał głową.

- Tak - zgodził się. - Poradzę sobie.

Matthews klepnął go po ramieniu.

- Porządny gość - powiedział i pospiesznie wyszedł, żeby porozmawiać z ekipą telewizyjną.

Doakes nadal patrzył na mnie. Odwzajemniłem spojrzenie.

- Niech pan tylko pomyśli: będzie panu znacznie łatwiej mnie śledzić - powiedziałem.

- Jak to się skończy - rzekł. - Tylko ty i ja.

- Ale dopiero, jak się skończy - odparłem, a on w końcu skinął głową. Tylko raz.

- No to na razie.

Doakes zabrał nas do kawiarni na Calle Ocho, przy ulicy naprzeciwko salonu sprzedaży samochodów. Poprowadził nas do stoliczka z tyłu, w rogu i usiadł twarzą do drzwi.

- Tu możemy porozmawiać - powiedział i wydał taki dźwięk, jak na filmach szpiegowskich, a ja żałowałem, że nie wziąłem ze sobą okularów przeciwsłonecznych. Ale przecież mogą jeszcze nadejść pocztą od Chutsky'ego. Miejmy nadzieję, że nosa nie dołączą.

Zanim zdołaliśmy otworzyć usta, żeby coś powiedzieć, z pokoju na tyłach wyszedł jakiś mężczyzna i uściśnął Doakesowi dłoń.

- Alberto - powiedział. - Como estas? - A Doakes odpowiedział mu bardzo dobrą hiszpańszczyzną, uczciwie mówiąc, lepszą od mojej, chociaż lubię sobie pomyśleć, że mam lepszy akcent.

- Luis - odparł sierżant - Mas o menos.

Gawędzili minutę, a potem Luis przyniósł nam maleńkie filiżanki koszmarnie słodkiej kubańskiej kawy i talerz pastelitos. Skinął głową pod adresem Doakesa i zniknął w pokoju na zapleczu.

Deborah przyglądała się całemu temu przedstawieniu z rosnącą niecierpliwością, a kiedy Luis wreszcie nas opuścił, wypaliła:

- Potrzebne nam są nazwiska wszystkich z Salwadoru.

Doakes tylko patrzył na nią i siorbał kawę.

- To będzie ogromniasta lista.

Deborah zmarszczyła brwi.

- Wiesz, o co mi chodzi. Do cholery, Doakes, on ma Kyle'a.
Doakes pokazał zęby.

- Tak, Kyle się starzeje. Za młodu nigdy by się nie dał podejść.

- Co konkretnie tam robiliście? - zapytałem. Wiem, że pytanie było zgryźliwe, ale ciekawość przeważyła.

Doakes, nadal uśmiechnięty, jeśli tak można było nazwać ten grymas, popatrzył na mnie i powiedział:

- A jak pan myśli? - I tuż pod progiem słyszalności nadciągnęło ciche dudnienie dzikiej radości, na które natychmiast odpowiedziano z mojego ciemnego tylnego siedzenia, jeden drapieżnik wołał poprzez zalaną światłem księżycą noc do drugiego. Bo doprawdy, co innego mógł tam robić? Tak jak Doakes znał mnie, ja wiedziałem, kim jest Doakes: zimnym zabójcą. Nawet bez tego, co powiedział Chutsky, było całkiem jasne, co Doakes mógł robić na morderczym karnawale w Salvadorze. Musiał być jednym z konferansjerów.

- Przestańcie bawić się w przepychanki - powiedziała Deborah. - Potrzebuję kilku nazwisk.

Doakes podniósł jeden z pastelitos i rozparł się na krześle.

- Może byście mnie uświadomili - zwrócił się do nas. Ugryzł kawałek, a Deborah zadudniła palcami o blat, zanim stwierdziła, że to ma sens.

- W porządku - powiedziała. - Mamy szkicowy opis faceta, który to robi, i jego furgonetki. Białej furgonetki.

Doakes pokręcił głową.

- Nieważne. My wiemy, kto to robi.

- Mamy też dane osobowe pierwszej ofiary - dodałem. - Mężczyzna o nazwisku Manuel Borges.

- No, no - powiedział Doakes. - Stary Many, co? Naprawdę powinniście pozwolić mi go zastrzelić.

- To pański przyjaciel? - zapytałem, ale Doakes zignorował mnie.

- Co jeszcze wiecie?

- Kyle miał listę nazwisk - wyjaśniła Deborah. - Inni ludzie z tej samej jednostki. Mówił, że jeden z nich będzie następną ofiarą. Ale nie podał nazwisk.

- Jasne, że nie podał - potwierdził Doakes.

- Wobec tego ty nam musisz powiedzieć - oznajmiła.

Doakes wyglądał, jakby się nad tym zastanawiał.

- Gdybym był pistoletem jak Kyle, wybrałbym jednego z tych gości i obserwowałbym go. - Deborah ściągnęła wargi i skinęła głową. - Problem polega na tym, że nie jestem pistoletem jak Kyle. Tylko prostym, wiejskim gliną.

- Chciałbyś mieć banjo? - zapytałem, ale jakoś się nie roześmiał.

- Wiem tylko o jednym facecie z naszej starej grupy, który mieszka w Miami - powiedział, uprzednio rzuciwszy mi szybkie, wściekle spojrzenie. - Oscar Acosta. Widziałem go w Publix dwa lata temu. Możemy go odnaleźć. - Wystawił podbródek w stronę Deborah. - Jeszcze dwa nazwiska przychodzą mi na myśl. Sprawdź, czy ci ludzie tutaj mieszkają. - Rozłożył ręce. - Wiem tylko tyle. Może mógłbym zadzwonić do starych kumpli z Wirginii, ale nie ma gwarancji, co z tego wyjdzie. - Parsknął. - Ze dwa dni zajęłoby im rozmyślanie, o co mi właściwie chodzi i co powinni z tym począć.

- Co zatem robimy? - zapytała Deborah. - Obserwujemy tego faceta? Tego, którego widziałeś? A może z nim porozmawiamy?

Doakes pokiwał głową.

- On mnie pamiętał. Mogę z nim porozmawiać. Jak spróbujecie go obserwować, domyśli się i prawdopodobnie zniknie. - Popatrzył na zegarek. - Kwadrans po trzeciej. Oscar

będzie w domu za parę godzin. Wy czekajcie na mój telefon. – dodał. A potem obdarzył mnie swoim stu pięćdziesięciowatowym uśmiechem, z serii: Widzę cię! i powiedział: – Dlaczego nie zaczekasz u boku swojej pięknej narzeczonej? – Wstał i wyszedł, zostawiając nam rachunek.

Deborah gapiła się na mnie.

– Narzeczonej? – zapytała.

– To naprawdę nie jest przesądzone – odparłem.

– Jesteś zaręczony!?

– Miałem ci powiedzieć.

– Kiedy? Jak minie trzecia rocznica?

– Kiedy będę wiedział, że to pewne. Sam nadal w to nie wierzę.

Parsknęła.

– Ja też. – Wstała. – Chodź. Zabiorę cię do pracy. Potem będziesz mógł poczekać ze swoją narzeczoną – zaproponowała. Zostawiłem pieniądze na stole i potulnie poszedłem za nią.

Vince Masuoka przechodził korytarzem, kiedy z Deborah wysiadaliśmy z windy.

– Szalom, chłoptaś – powiedział. – Co u ciebie?

– Jest zaręczony – palnęła Deborah, zanim zdążyłem się odezwać. Vince wyglądał, jakby usłyszał, że jestem w ciąży.

– On jest, co?

– Zaręczony. Ma się zenić – odparła.

– Zenić? Dexter? – Jego twarz zdawała się miotać, żeby znaleźć odpowiedni wyraz, co nie było takie łatwe, skoro zawsze udawał uczucia, a był to jeden z powodów, dla których zbliżyłem się do niego: dwaj sztuczni ludzie, jak plastikowe groszki w prawdziwym strączku. W końcu przybrał minę przedstawiającą radosne zaskoczenie – niezbyt przekonującą, ale wybór był właściwy.

- Mazeł tow! - wykrzyknął i obdarzył mnie niezręcznym uściskiem.

- Dziękuję - odparłem, nadal czując się zdumiony obrotem spraw, które mnie trochę przerastały.

- A zatem - powiedział, zacierając ręce - nie możemy puścić mu tego płazem. Jutro wieczór, w moim domu?

Obdarzył mnie świetnie podrobionym uśmiechem.

- Starożytny japoński rytuał wywodzący się z czasów szogunatu Tokugawy. Ubzdryngolimy się, obejrzymy świńskie filmy - rzekł i odwrócił się, żeby chytrze spojrzeć na Deborah. - Możemy zabrać twoją siostrę, żeby wyskoczyła z tortu.

- A może ty byś skoczył sobie powyżej zadka? - zaproponowała Debs.

- To bardzo miłe, Vince, ale nie sądzę... - powiedziałem, próbując uniknąć wszystkiego, co uczyniłoby moje zaręczyny bardziej oficjalnymi. Chciałem też powstrzymać ich przed wymianą inteligentnych i upokarzających uwag, zanim rozboli mnie głowa. Ale Vince nie dał mi dokończyć.

- Nie, nie - powiedział - to jest konieczne. Kwestia honoru, nie ma ucieczki. Jutro wieczorem, o ósmej - dodał i patrząc za odchodzącą Deborah, rzucił za nią: - A ty masz tylko dobę, żeby wyćwiczyć kręcenie kitkami.

- Sam zakręć sobie kitką - odparła.

- Cha! Cha! - roześmiał się tym swoim koszmarnym sztucznym śmiechem i zniknął w głębi korytarza.

- Mały dziwoląg - mruknęła Deborah i odwróciła się, żeby pójść w inną stronę. - Nie ruszaj się od narzeczonej po pracy. Zadzwońię do ciebie, kiedy odezwie się do mnie Doakes.

Niewiele już zostało do końca dnia roboczego. Załatwiłem trochę papierkowej roboty, zamówiłem skrzynkę luminolu u naszego dostawcy i odebrałem pół tuzina listów, które

nagromadziły się w mojej skrzynce poczty elektronicznej. Z poczuciem prawdziwego spełnienia zszedłem do samochodu i włączyłem się do kojącej masakry godzin szczytu. Zatrzymałem się pod domem, żeby wziąć ubranie na zmianę; Debs nigdzie nie było widać, ale łóżko było nieposłane, musiała się więc tu zatrzymać. Upchnąłem rzeczy do torby i udałem się do Rity.

Było już całkiem ciemno, kiedy dotarłem do jej domu. Wcale nie miałem ochoty tu przychodzić, ale nie miałem gdzie się podziąć. Deborah oczekiwała, że będę tutaj, gdyby mnie potrzebowała, a teraz ona zajmowała moje mieszkanie. Zaparkowałem więc na podjeździe przed domem Rity i wysiadłem z wozu. Z przyzwyczajenia spojrzałem na drugą stronę ulicy, na miejsce parkingowe sierżanta Doakesa. Oczywiście, było puste. Pojechał porozmawiać z Oscarem, starym kumplem z wojska. I nagle zdałem sobie sprawę, że jestem wolny, z dala od nieprzyjaznych oczu psa myśliwskiego, które od tak dawna nie pozwalały mi być sobą. Powolny, nabrzmiewający hymn czystej mrocznej radości wznosił się we mnie, a kontrpunkt spadał z hukiem z nagiego księżycyca wyciekającego spoza niskiej pokrywy chmur, ogromnego, trupio bladego, migoczącego w trzeciej kwadrze nisko na ciemnym niebie. A muzyka ryczała z megafonów i wspinała się na wyższe poziomy Mrocznej Areny Dextera, gdzie przebiegłe szepty narastały do ryczącego skandowania, dorównującego muzyce księżycyca: Zrób to, zrób to, zrób to! – a ciało przeszło mi drżenie, kiedy pojawiłem się na miejscu i pomyślałem: czemu nie?

W rzeczy samej, czemu nie? Mogłem się wymknąć na kilka szczęśliwych godzin – oczywiście zabierając ze sobą komórkę, nie byłbym tak nieodpowiedzialny, żebym tego nie zrobił. Ale dlaczego nie wykorzystać bezdoakesowej, księżycowej nocy i nie wymknąć się wraz z mroczną bryzą? Myśl o tych

czzerwonych butach ciągnęła mnie jak fala przyływu. Reiker mieszkał zaledwie kilka kilometrów stąd. Mógłbym tam dotrzeć za dziesięć minut. Mógłbym się zakraść i znaleźć dowód, który był mi potrzebny, a potem – jak sądzę – musiałbym improwizować, ale głos tuż pod progiem dźwięku był dziś wieczór pełen pomysłów i z pewnością wymyślilibyśmy coś, co prowadziło do słodkiej ulgi, której obaj tak bardzo potrzebowaliśmy. „Och, zrób to, Dexterze” – wyły głosy, kiedy zatrzymałem się na czubkach palców, żeby posłuchać i znów pomyśleć – dlaczego nie? I nie znaleźć racjonalnej odpowiedzi...

Nagle drzwi domu Rity otworzyły się na oścież i wyjrzała Astor.

- To on! - krzyknęła za siebie, do domu. - On tu jest!

W istocie, byłem. Tu zamiast tam. Toczyłem się w stronę kanapy, zamiast iść tanecznym krokiem w mrok. Nakładałem znużoną maskę Dextera Kanapowego Ziemniaka, zamiast błysnąć srebrem Mrocznego Mściciela.

- Wchodźże - ponagliła mnie Rita, witając mnie tak ciepło i miło, że poczułem, jak mi zgrzytają zęby, a tłum w środku zawył z rozczarowania, ale powoli zaczął wychodzić ze stadionu, bo gra skończona, bo w końcu, co mogliśmy zrobić? Oczywiście, nic, co też zrobiliśmy, tupając potulnie w stronę domu, w ogonie szczęśliwego pochodu Rity, Astor i jak zwykle milczącego Cody'ego. Udało mi się nie zakwilić, ale doprawdy, czy to nie przegięcie? Czy my wszyscy nie wykorzystujemy odrobinę za bardzo radosnej, dobrej natury Dextera?

Kolacja była irytująco przyjemna, jakby miała mi udowodnić, że nabywam udziały szczęśliwego życia z kotлетem schabowym, a ja tańczyłem, jak mi zagrali, chociaż nie wkładałem w to serca. Ciąłem mięso na drobne kawałki, żałując, że nie tnę czego innego, i myślałem o kanibalach z Południowego

Pacyfiku, którzy mówili na ludzi „długie świnie”. Była to, doprawdy, adekwatna nazwa, bo właśnie do tej innej wieprzowiny tęskniłem i ją chciałem ciąć na plasterki, a nie to pokryte grzybową zupą coś, co miałem na talerzu. Ale uśmiechałem się i dźgałem zieloną fasolkę i przebrnąłem jakoś do kawy. Ciężka była ta próba schabowego, ale przeżyłem.

Po kolacji razem z Ritą popijaliśmy kawę, a dzieciaki zjadały małe porcje mrożonego jogurtu. Chociaż uważa się, że kawa to napój stymulujący, nie pomogła mi wymyślić wyjścia z tej sytuacji, a nawet sposobu, żeby wymknąć się na kilka godzin, nie mówiąc już o tym, jak uniknąć dożywotniego szczęścia, które zakradło się od tyłu i chwyciło mnie za szyję. Czułem się tak, jakbym powoli blaknął na rogach i wtapiał się w swoje maskowanie, aż wreszcie gumowa maska szczęścia weźre się w moje prawdziwe rysy i naprawdę stanę się rzeczą, którą udawałem, będę grał z dziećmi w piłkę, kupował kwiaty, kiedy wypiję za dużo piwa, porównywał detergenty i obcinał koszty, zamiast obdzierać złych z niepotrzebnego im ciała. Cóż za przygnębiający ciąg myśli i pewnie poczułbym się nieszczęśliwy, gdyby dzwonek u drzwi nie odezwał się w porę.

- To musi być Deborah - powiedziałem. Jestem pewien, że ukryłem tę nutkę nadziei na ratunek. Wstałem i podszedłem do drzwi, otworzyłem je szeroko i zobaczyłem miłą kobietę z nadwagą i długimi włosami blond.

- Och - zająknęła się. - Pan musi być, hm... Czy jest Rita?

Cóż, chyba byłem hm, chociaż do tamtej chwili nie uświadomiłem sobie tego dostatecznie. Zawołałem Ritę do drzwi, a ona przyszła cała w uśmiechach.

- Kathy! - przywitała się. - Jak miło cię widzieć. Jak tam chłopcy? Kathy mieszka w sąsiedztwie - wyjaśniła mi.

- Aha - powiedziałem. Znałem większość dzieci z okolicy, ale nie ich rodziców. Ale to była najwyraźniej matka z lekka

podejrzanego jedenastolatka i jego prawie zawsze nieobecnego starszego brata. Skoro okazało się, że ta kobieta nie ma ze sobą bomby ani fiolki z węglikiem, uśmiechnąłem się i wróciłem do stołu do Cody'ego i Astor.

- Jason jest na obozie - powiedziała. - Nicky leniuchuje w domu i próbuje osiągnąć dojrzałość płciową, żeby zapuścić sobie wąsy.

- O Boże - jęknęła Rita.

- Nicky to kreatura - wyszeptała Astor. - Chciał, żebym ściągnęła majtki, żeby mógł to zobaczyć. - Cody zamieszał zamarznęty jogurt i zrobił z niego zamarznęty budyń.

- Słuchaj, Rito, przepraszam, że przeszkadzam ci przy kolacji - tłumaczyła się Kathy.

- Właśnie skończyliśmy. Chcesz kawę?

- Och, nie, zeszałam do jednej filizanki na dzień - powiedziała. - Zalecenie lekarza. Chodzi o naszego psa. Chciałam tylko się dowiedzieć, czy nie widziałas gdzieś Drania? Zgubił się parę dni temu i Nicky się tak niepokoi.

- Nie widziałam go. Ale zapytam dzieci - odparła Rita. Ale kiedy odwróciła się, żeby je zapytać, Cody popatrzył na mnie, wstał bez słowa i wyszedł z pokoju. Astor też wstała.

- Nie widzieliśmy go - powiedziała Astor. - Od czasu, kiedy przewrócił kosz na śmieci w ubiegłym tygodniu. - I wyszła za Codym z pokoju. Zostawili do połowy zjedzony deser na stole.

Rita popatrzyła za nimi z otwartymi ustami, a potem odwróciła się do sąsiadki.

- Przykro mi, Kathy. Chyba nikt go nie widział. Ale będziemy mieli oczy otwarte, w porządku? Jestem pewna, że się znajdzie, powiedz Nickowi, żeby się nie martwił. - Popaplały jeszcze z minutę, a ja patrzyłem na zamarznęty jogurt i zastanawiałem się nad tym, co przed chwilą widziałem.

Drzwi się zamknęły i Rita wróciła do swojej stygnącej kawy.

- Kathy jest miła - stwierdziła. - Ale chłopcy wchodzą jej na głowę. Rozwiodła się, a jej były mąż, prawnik, kupił sobie dom w Islamoradzie. I ciągle przemieszkują tam, Kathy musi więc sama wychowywać chłopców i myślę, że czasem sobie nie radzi. Pracuje jako pielęgniarka u pediatry przy uniwersytecie.

- A jaki ma rozmiar buta? - zapytałem.

- Głędzę? - zapytała Rita. Przygryzła wargę. - Przepraszam. Chyba trochę jestem zmartwiona... Jestem pewna, że to tylko...
- Pokręciła głową i popatrzyła na mnie. - Dexter. Czy ty...

Nigdy nie dowiedziałem się, czy ja, bo zadzwoniła moja komórka.

- Przepraszam - powiedziałem i podszedłem do stolika przy drzwiach, gdzie ją zostawiłem.

- Właśnie dzwonił Doakes - oznajmiła Deborah bez powitania. - Facet, z którym poszedł porozmawiać, ucieka. Doakes go śledzi, żeby dowiedzieć się, dokąd tamten się wybiera, ale potrzebuje naszego wsparcia.

- Szybko, Watsonie, gra się rozpoczęła - rzuciłem, ale Deborah nie była w nastroju do cytowania literatury.

- Za pięć minut cię odbiorę - powiedziała.

Wyszedłem od Rity, rzucając jej pospieszne usprawiedliwienie, i zaczekałem na zewnątrz. Deborah dotrzymała słowa, pięć i pół minuty później jechaliśmy na północ międzystanową.

- Są w Miami Beach - wyjaśniła. - Doakes mówił, że dotarł do tamtego faceta, do Oscara i powiedział mu, co się dzieje. Oscar na to, że musi sprawę przemyśleć, Doakes, że w porządku, zadzwoni do niego. Ale obserwował dom z ulicy i dziesięć minut później zobaczył, jak facet wyszedł i wsiadł do samochodu z torbą podróżną.

- Dlaczego znowu ucieka?

- A ty byś nie uciekał, gdybyś wiedział, że Danco cię ściga?

- Nie - zaprzeczyłem, myśląc z zadowoleniem o tym, co mógłbym zrobić, gdybym stanął twarzą w twarz z doktorem.

- Zastawiłbym jakąś pułapkę i zwabiłbym go.

A potem... - pomyślałem, ale nie powiedziałem tego na głos.

- Cóż, Oscar to nie ty - rzekła.

- Tak niewielu z nas jest mną - odparłem. - Dokąd się wybrał?

Nachmurzyła się i pokręciła głową.

- Teraz jeździ po okolicy, a Doakes przypiął się do niego.

- A my sądzimy, że do czegoś nas doprowadzi? - zapytałem.

Deborah pokręciła głową i wyprzedziła stary kabriolet marki Cadillac pełen wyjącej młodzieży.

- To nie ma znaczenia - powiedziała i skrzyła na rampę prowadzącą do autostrady Palmetto. - Oscar jest nadal naszą największą szansą. Jeśli spróbuje wyjechać stąd, zgarniemy go,

ale tymczasem musimy się go trzymać, żeby zobaczyć, co się stanie.

- Bardzo dobrze, naprawdę wspaniały pomysł, ale co naszym zdaniem ma się stać?

- Nie wiem, Dexterze! - parsknęła. - Ale wiemy, że ten facet wcześniej czy później stanie się celem, zgadza się? A teraz on o tym też wie. Może więc próbuje sprawdzić, czy jest śledzony, zanim ucieknie. Cholera - powiedziała i wyminęła stary ciągnik naczepowy wyładowany skrzynkami z kurczakami.

Ciągnik jechał jakieś sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, nie miał tylnych świateł, a na ładunku siedziało trzech mężczyzn trzymających się jedną ręką za sponiewierane kapelusze, a drugą za ładunek. Deborah krótko na nich zatrąbiła i wyprzedziła ciągnik. Chyba ich to nie wzruszyło. Mężczyźni siedzący na ładunku nawet nie mrugnęli.

- Tak czy siak - powiedziała, kiedy wyprostowała kierownicę i znów przyspieszyła - Doakes chce, żebyśmy dali mu wsparcie od strony Miami. I żeby Oscar nie mógł za bardzo dokazywać. Pojedziemy równolegle, wzdłuż Biscayne.

To miało sens; dopóki Oscar był w Miami Beach, dopóty nie mógł uciec w innym kierunku. Gdyby spróbował śmignąć w poprzek drogi na grobli albo skierować się na północ, w stronę Haulover Park i tam się przeprawić, my mielibyśmy go zgarnąć. Jeśli nie miał w zanadrzu helikoptera, zapędzilibyśmy go w róg. Pozwoliłem prowadzić Deborah, a ona pojechała pospiesznie na północ, nie zabijając nikogo po drodze.

Przy lotnisku skręciliśmy na wschód, w Osiemset Trzydziestą Szóstą. Tu ruch przybrał nieco na sile, Deborah wymijała więc wozy lewą i prawą stroną. Była bardzo skupiona. Zachowywałem swoje myśli dla siebie, tymczasem ona wykorzystywała teraz lata treningu w ruchu ulicznym Miami,

wygrywając w czymś, co urosło do rozmiarów nieustannej, szybkościowej wolnoamerykanki. Bezpiecznie przebrnęliśmy przez skrzyżowanie z I-95 i wśliznęliśmy się na Biscayne Boulevard. Nabrałem głęboko powietrza i odetchnąłem ostrożnie, kiedy Deborah włączyła się do normalnego ruchu ulicznego i zwolniła.

Radiostacja zaskrzeczała i z głośnika dobiegł głos Doakesa:

- Morgan, gdzie jest twoja dwudziestka?

Deborah podniosła mikrofon, żeby odpowiedzieć.

- Biscayne przy drodze MacArthura.

Krótką przerwa, a potem znów dał się słyszeć głos Doakesa:

- Zatrzymał się przy moście zwodzonym na Venetian Causeway. Kryjcie go od swojej strony.

- Dziesięć-cztery - powiedziała Deborah.

Nie mogłem się powstrzymać, żeby tego nie skomentować.

- Czuję się tak urzędowo, kiedy to mówisz.

- Co to ma znaczyć? - zapytała.

- Doprawdy, nic - odparłem.

Spojrzała na mnie poważnym wzrokiem gliny, ale twarz miała nadal młodą i poczułem się przez chwilę, jakbyśmy oboje byli dziećmi, siedzieli w radiowozie Harry'ego i bawili się w policjantów i złodziei - tylko że tym razem to ja miałem być tym białym charakterem, bardzo denerwujące uczucie.

- To nie jest zabawa, Dexterze - oświadczyła, bo oczywiście dzieliła ze mną te wspomnienia. - Stawką jest życie Kyle'a - dodała, a jej rysy znów ułożyły się w poważną minę wielkiej ryby. Mówiła dalej: - Wiem, że prawdopodobnie to nie ma dla ciebie sensu, ale zależy mi na tym człowieku. Sprawia, że czuję się taka... Cholera. Masz się żenić, a nadal nic do ciebie nie trafia. - Dojechaliśmy do świateł przy Trzynastej ulicy NE i skręciła w prawo. To, co zostało z centrum handlowego

Omni Mall, pojawiło się po lewej stronie, a przed nami otwierała się Venetian Causeway.

- Nie najlepiej idzie mi z wczuwaniem się w innych, Debs - powiedziałem. - I naprawdę nie mam pojęcia, jak to jest z małżeństwem. Ale nie bardzo mi się podoba, kiedy jesteś nieszczęśliwa.

Deborah zatrzymała naprzeciwko małej przystani przy starym budynku Heralda i zaparkowała wóz tyłem do Venetian Causeway. Przez chwilę siedziała w milczeniu, potem sapnęła i powiedziała:

- Przepraszam.

To mnie trochę zbiło z tropu, gdyż przyznaję, że przygotowałem się, by powiedzieć coś bardzo podobnego, choćby po to, żeby naoliwić tryby uprzejmych stosunków. Prawie na pewno ująłbym to dowcipniej, ale istota pozostałaby ta sama.

- Za co?

- Nie chciałam... wiem, że jesteś inny, Dex. Naprawdę staram się przywyknąć do tego i... jesteś moim bratem.

- Adoptowanym - dodałem.

- To brednie i doskonale o tym wiesz. Jesteś moim bratem. I wiem, że jesteś teraz tutaj tylko ze względu na mnie.

- Właściwie, to miałem nadzieję, że później będę mógł powiedzieć przez radio: dziesięć-cztery.

Parsknęła.

- W porządku, bądź sobie dupkiem. Ale i tak dziękuję.

- Proszę bardzo.

Podniosła mikrofon.

- Doakes, co on robi?

- Wygląda na to, że rozmawia przez komórkę - odpowiedział Doakes po krótkiej przerwie.

Deborah zmarszczyła brwi i popatrzyła na mnie.

- Jeśli ucieka, to z kim powinien porozumieć się przez telefon? Wzruszyłem ramionami.

- Może załatwia sobie wyjazd z kraju. Albo...

Przerwałem. Pomysł był za głupi, żeby go rozważać, i powinienem automatycznie przestać o nim myśleć, ale on jednak tkwił w moim mózgu, objął się o szarą materię i wymachiwał czerwoną chorągiewką.

- Co? - zapytała Deborah.

Pokręciłem głową.

- Niemożliwe. Głupota. Po prostu zwariowana myśl, która nie chce sobie pójść.

- W porządku. Jak dalece zwariowana?

- A co... Hm, mówiłem, że to głupie.

- Znacznie bardziej głupio jest robić takie uniki - wyrzuciła z siebie. - Co to za pomysł?

- A jeśli Oscar dzwoni do naszego dobrego doktora i próbuje wynegocjować dla siebie wyjście z tej sytuacji? - zapytałem. Miałem rację; to brzmiało głupio.

Debs parsknęła.

- Jak ma negocjować?

- Hm - zastanowiłem się. - Doakes mówił, że ma ze sobą torbę. Może więc zapakował do niej pieniądze, akcje na okaziciela, kolekcję znaczków. Nie wiem. Ale prawdopodobnie ma coś, co może okazać się jeszcze cenniejsze dla naszego przyjaciela chirurga.

- Na przykład co?

- Prawdopodobnie wie, gdzie ukrywają się wszyscy inni ze starego zespołu.

- Cholera - zakląła. - Wydać wszystkich w zamian za własne życie? - Przygryzała wargę, dumając nad tym. Po minucie pokręciła głową. - To jest mocno naciągane - doszła do wniosku.

- Naciągane dzieli wielki krok od głupiego - powiedziałem.

Oscar musiałby wiedzieć, jak skontaktować się z doktorem.

- Jeden nawiedzony zawsze znajdzie sposób, żeby znaleźć drugiego nawiedzonego. Są listy i bazy danych, są wzajemne kontakty, wiesz przecież. Widziałaś Tożsamość Bourne'a?

- Tak, ale skąd mamy wiedzieć, że Oscar też ją oglądał? - zapytała.

- Mówię tylko, że to możliwe.

- Hm, hm - mruknęła. Wyrzała za okno, myślała, potem zrobiła minę i pokręciła głową.

- Kyle mówił coś... że po jakimś czasie zapomina się, w jakim zespole się było, jak baseballista wolny strzelec. Zaczynasz więc zaprzyjaźniać się z facetami z drugiej strony i... Cholera, to jest głupie.

- Bez względu na to, po której stronie był Danco, Oscar mógłby znaleźć sposób, żeby się z nim skontaktować.

- Cholera. A my nie potrafimy - powiedziała.

Przez kilka minut milczeliśmy. Sądzę, że Debs myślała o Kyle'u i zastanawiała się, czy znajdziemy go na czas. Próbowałem wyobrazić sobie, że w podobny sposób troszczę się o Ritę, ale nic z tego nie wyszło, jak przenikliwie zauważyła Deborah, byłem zaręczony, a mimo to niczego nie rozumiałem. I nigdy nie zrozumiem, co jak sądzą, jest błogosławieństwem. Zawsze uważałem, że lepiej myśleć mózgiem niż pewnymi innymi, pomarszczonymi częściami położonymi nieco na południe. Mówię poważnie, bo ludzie jakby nie widzieli siebie samych, jak kuśtykają, ślinią się, oddają marzeniom z maślanymi oczami, miękkimi kolanami i jak ostatni idioci cackają się z czymś, co nawet zwierzęta załatwiają z sensem i szybko, żeby zająć się bardziej istotnymi sprawami, choćby poszukiwaniem świeżego mięsa.

Cóż, jak uzgodniliśmy, ja tego nie rozumiałem. Toteż tylko patrzyłem przez wodę na przyćmione światła domów po drugiej stronie grobli. Kilka budynków mieszkalnych stało niedaleko budki, w której płaciło się myto za korzystanie z autostrady, a potem zaczynały się inne domy, mniej więcej tej samej wielkości. Może kiedy wygram na loterii, znajdę pośrednika w sprzedaży nieruchomości, który wskaże mi domek z niewielką piwniczką, w sam raz na fotografa-zabójcę, którego mógłbym zmieścić pod podłogą. A kiedy o tym myślałem, łagodny szept dobiegł mnie od strony osobistego głosu na tylnym siedzeniu, ale oczywiście nic nie mogłem na to poradzić, najwyżej wyć do księżyca wiszącego nad wodą. Właśnie znad tej zalanej księżycowym światłem wody dobiegł nas dźwięk dzwonu głoszącego, że most zwodzony pójdzie wkrótce do góry.

Radiostacja zachrypiała.

- On rusza - powiedział Doakes. - Będzie jechał przez most. Szukajcie go; biała toyota z napędem na cztery koła.

- Widzę go - odparła Deborah przez mikrofon. - Jedziemy za nim.

Biały samochód wyjechał z drogi na grobli na Piętnastą ulicę, na chwilę przed podniesieniem mostu. Kiedy auto nas wyprzedziło, Deborah ruszyła za nim. Na Biscayne Boulevard toyota skręciła w prawo, a chwilę potem my zrobiliśmy to samo.

- Pojechał na północ po Biscayne - zameldowała przez mikrofon.

- Zrozumiałem - odparł Doakes. - Jadę za nim.

Terenówka poruszała się z normalną szybkością w umiarkowanym ruchu, utrzymując zaledwie osiem kilometrów na godzinę ponad ograniczenie szybkości, co w Miami jest uważane za tempo turystyczne, na tyle wolne, żeby usprawiedliwić trąbienie ze strony przejeżdżających obok

kierowców. Ale Oscarowi klaksony najwyraźniej nie przeszkadzały. Stosował się do wszystkich znaków i nie opuszczał właściwego pasa ruchu. Jechał przed siebie, jakby nie miał konkretnego celu, do którego zmierzał, tylko urządzał sobie relaksującą, poobiednią przejażdżkę.

Kiedy dotarliśmy do Siedemdziesiątej Dziewiątej ulicy na grobli, Deborah podniosła mikrofon.

- Mijamy Siedemdziesiątą Dziewiątą. Powoli jedzie na północ.

- Dziesięć-cztery - odparł Doakes i Deborah spojrzała na mnie.

- Nic nie mówiłem - powiedziałem.

- Ale sobie cholernie dużo myślałeś - odparła.

Jechaliśmy na północ, zatrzymując się dwa razy na światłach. Deborah uważała, żeby trzymać się o kilka samochodów za śledzonym, co było prawdziwym wyczynem w ruchu Miami, gdzie większość samochodów usiłuje objechać, zajechać albo przejechać innych. Samochód straży pożarnej przeleciał z wyciem w przeciwną stronę, dmąc w klaksony na skrzyżowaniach. Sądząc po wrazeniu, jakie robiło to na innych kierowcach, z równym powodzeniem mógł mecząć jak jagnię. Ignorowali syrenę i twardo trzymali się z trudem wywalczonych miejsc w pogmatwanym szeregu wozów. Człowiek za kierownicą wozu strażackiego, sam będąc kierowcą z Miami, po prostu lawirował między autami, nie wyłączając syreny i klaksonu: duet na dwa instrumenty drogowe.

Dojechaliśmy do Sto Dwudziestej Trzeciej, ostatniego miejsca, gdzie można było wrócić do Miami Beach przed Osiemset Dwudziątą Szóstą, która wcina się w North Miami Beach. Oscar nadal jechał na północ. Deborah skontaktowała się z Doakesem przez radiostację.

- Dokąd, do diabła, on jedzie? - mruknęła, wyłączając odbiornik.

- Może tylko jeździ po okolicy. Noc jest piękna.

- Hm, chcesz napisać sonet?

W normalnych okolicznościach znalazłbym piękną ripostę, ale może w związku z podniecającą naturą naszego pościgu nic mi nie przychodziło do głowy. A poza tym wyglądało na to, że Debs potrzebne jest jakieś zwycięstwo, choćby małe.

Kilka przecnic dalej Oscar nagle przyspieszył i zjechał na lewy pas, potem skręcił w lewo, przed samochodami nadjeżdżającymi z przeciwka, wywołując cały koncert gniewnego trąbienia ze strony kierowców jadących w obu kierunkach.

- Zmienia kierunek - poinformowała Deborah Doakesa - na zachód, wjechał w ulicę Sto Trzydziestą Piątą.

- Skręcam za wami - powiedział Doakes. - W Broad Causeway.

- Co jest na Sto Trzydziestej Piątej? - zastanawiała się na głos Deborah.

- Lotnisko Opa-Locka - powiedziałem. - Kilka kilometrów na wprost przed nami.

- Cholera - zaklęła i podniosła mikrofon. - Doakes, po drodze jest lotnisko Opa-Locka.

- Jadę tam - odparł i w tle, zanim wyłączył radio, usłyszałem syrenę jego wozu.

Lotnisko Opa-Locka od dawna cieszyło się popularnością wśród ludzi zamieszanych w handel narkotykami oraz tajne operacje. Było to wygodne rozwiązanie, jeśli wziąć pod uwagę, że granica między tymi a tamtymi częstokroć łatwo się zamazywała. Całkiem możliwe, że na Oscara czekał mały samolot, gotów do wywiezienia go z kraju, prawie w każde miejsce na Karaibach, w Ameryce Środkowej bądź Południowej

- z połączeniami z resztą świata, chociaż wątpilem, żeby zdecydował się na lot do Sudanu albo Bejrutu. Bardziej prawdopodobna była jakaś kryjówka na Karaibach, ale w każdym razie ucieczka z kraju w tych okolicznościach wyglądała na racjonalne posunięcie, Opa-Locka zaś było logicznym miejscem startowym.

Oscar jechał teraz trochę szybciej, chociaż ulica Sto Trzydziesta Piąta nie była taka szeroka jak Biscayne Boulevard. Wjechaliśmy na mały mostek nad kanałem, a Oscar, który właśnie z niego zjechał, nagle dodał gazu, przepychając się między samochodami na esowatym zakręcie.

- Do cholery, coś go wystraszyło - powiedziała Deborah. - Musiał nas zauważyć. - Przyspieszyła, żeby go nie zgubić, nadal trzymając się o dwa, trzy samochody za nim, chociaż teraz nie było sensu udawać, że go nie śledzimy.

Coś rzeczywiście go wystraszyło, bo gnał jak szalony, niebezpiecznie blisko kolizji albo wjechania na chodnik, a Debs, co dość oczywiste, nie darowałaaby sobie, gdyby miała przepuścić taki turniej. Trzymała się go, wyprzedzała samochody, które jeszcze nie doszły do siebie po spotkaniu z Oscarem. Właśnie skręcił na skrajny lewy pas, zmuszając starego buicka do ustąpienia mu drogi, rąbnął w krawężnik i rozerwał drucziany płot, wjeżdżając na podwórko przed jasnoniebieskim domem.

Czy widok naszego małego, nieoznakowanego wozu wystarczył, żeby Oscar zachował się w ten sposób? Miło było tak myśleć i czułem się dzięki temu bardzo ważny, ale nie wierzyłem w to - jak do tej pory działał chłodno i wszystko kontrolował. Gdyby chciał nas wykiwać, to raczej wykonałby jakieś nagłe i oszukańcze posunięcie, jak przeskakiwanie mostu zwodzonego, kiedy jest podnoszony. Dlaczego więc nagle wpadł w panikę? Aby mieć cokolwiek do roboty, pochyliłem się i spojrziałem w boczne lusterko.

Wielkie litery na jego powierzchni mówiły mi, że obiekty były bliżej, niż się zdawało. Oto widzę rzeczy takimi, jakie są, była to bardzo smutna myśl, gdyż w tamtej chwili w lusterku pojawiła się tylko jedna rzecz.

Była to biała poobijana furgonetka.

Sledziła nas i Oscara. Jechała z równą naszej szybkością, wymijając inne samochody.

- Hm - powiedziałem - całkiem niegłupie. - I poniosłem głos, żeby było mnie słyhać ponad piskiem opon i trąbieniem klaksonów innych zmotoryzowanych.

- Hej, Deborah? - zacząłem. - Nie chcę cię odwozić od ciężkiego obowiązku prowadzenia pojazdu, ale jeśli znajdziesz chwilę, mogłabyś zerknąć w lusterko wsteczne?

- Co to, do cholery, ma znaczyć? - warknęła, ale rzuciła okiem w lusterko. To było szczęście, że znajdowaliśmy się na prostym odcinku drogi, bo na sekundę zapomniała o kierowaniu. - O, cholera - powtórzyła szeptem.

- Tak, to właśnie sobie pomyślałem - powiedziałem.

Wiadukt I-95 rozciągał się nad drogą dokładnie na wprost nas, a Oscar tuż przed nim skręcił gwałtownie na prawo, przecinając trzy pasy i wjechał w boczną ulicę biegnącą wzdłuż autostrady. Deborah zaklęła i też zmusiła samochód do skrętu.

- Powiedz Doakesowi! - krzyknęła, a ja posłusznie podniosłem mikrofon.

- Sierżancie Doakes - zameldowałem. - Nie jesteście sami.
Radio syknęło.

- Co to, do cholery, ma znaczyć? - zapytał Doakes, prawie jakby słyshał reakcję Deborah i tak mu się spodobała, że zareagował tak samo.

- Właśnie skręciliśmy w prawo na Szóstą Aleję, a za nami jedzie biała furgonetka. - Nie było odpowiedzi, powtórzyłem

więc to samo znowu. - Czy wspomniałem, że furgonetka jest biała? - Tym razem miałem ogromną satysfakcję, bo usłyszałem, jak Doakes jęknął:

- Skurwysyn.

- To samo myślimy - powiedziałem.

- Przepuście ją i jedźcie za nią - odparł.

- Nie pieprz - wymruczała Deborah przez zaciśnięte zęby, a potem dodała coś znacznie gorszego. Kusiło mnie, żeby powiedzieć coś podobnego, bo kiedy Doakes wyłączył z pstryknięciem swoją radiostację, Oscar pojechał rampą na I-95, z nami na ogonie, a w ostatniej sekundzie szarpnął kierownicą i jego wóz zjechał brukowanym zboczem na Szóstą Aleję. Terenówka podskoczyła po uderzeniu w nawierzchnię, pochyliła się pijacko w prawo, potem przyspieszyła i się wyprostowała. Deborah nadepnęła na hamulec, zrobiliśmy w miejscu pół obrotu; biała furgonetka prześliznęła się obok nas, zjechała w podskokach z rampy i wpadła w lukę za terenówką. Po półsekundzie Debs wyszła z poślizgu i pojechała za nimi ulicą.

Boczna uliczka była wąska, po prawej miała rząd domów, po lewej żółtą, cementową skarpe, górą biegła I-95. Jechaliśmy nią, mijając kilka przecznic, i ciągle przyspieszaliśmy. Para maleńkich staruszków przystanęła na chodniku, żeby podziwiać naszą raketową paradę. Może to była gra mojej wyobraźni, ale miałem wrażenie, że chwieją się na wietrze wywołanym przez wóz Oscara i jadącą za nim furgonetkę.

Podgoniliśmy ich troszeczkę, a biała furgonetka nieco zbliżyła się do terenówki. Ale Oscar jeszcze przyspieszył, zignorował znak stop, a my musieliśmy ominąć ciężarówkę pikapa, który gwałtownie obrócił się wokół własnej osi, żeby uniknąć zderzenia z terenówką i furgonetką. Ciężarówka chwiejnie i niezdarnie zakręciła i uderzyła w hydrant pożarowy. Ale Debs tylko zacisnęła zęby, ominęła ją i z piskiem opon

śmignęła przez skrzyżowanie, ignorując klaksony i fontannę wody z rozerwanego hydrantu. Przecznicę dalej jeszcze bardziej zmniejszyła dystans.

Kilka przecznic przed Oscarem dostrzegłem czerwone światło na skrzyżowaniu z większą ulicą. Nawet z daleka widziałem nieustanny potok wozów płynący przez skrzyżowanie. Oczywiście nikt nie żyje wiecznie, ale z pewnością nie w ten sposób chciałbym zejść, gdyby dawano mi wybór. Oglądanie telewizji z Ritą nagle wydało mi się znacznie atrakcyjniejsze. Próbowałem obmyślić, jakby tu uprzejmie, ale przekonująco namówić Deborah, żeby się zatrzymała i przez chwilę wachała róże, ale mój mocarny mózg w chwili, gdy najbardziej go potrzebowałem, odmówił współpracy. Uruchomiłem go dopiero wówczas, gdy Oscar zbliżał się już do świateł.

Całkiem możliwe, że Oscar był w tym tygodniu w kościele, bo kiedy śmigał przez skrzyżowanie, światło zmieniło się na zielone. Biała furgonetka jechała tuż za nim, hamując ostro, żeby uniknąć zderzenia z małym, niebieskim samochodem, który próbował zdążyć na światłach, a potem nadeszła nasza kolej, kiedy światła były jeszcze zielone. Gwałtownie skręciliśmy, żeby ominąć furgonetkę i prawie nam się udało – ale, w końcu, to przecież Miami i za niebieskim samochodem, na czerwonym świetle, prosto przed nas wjechała ciężarówka z cementem. Ciężko przełknąłem, kiedy Deborah stanęła na pedale hamulca i zrobiła wiraż wokół ciężarówki. Rąbnęliśmy mocno o krawężnik i jechaliśmy przez chwilę dwoma lewymi kołami nad chodnikiem, a potem opadliśmy znów na jezdnię.

- Bardzo ładnie – pochwaliłem, kiedy Deborah znów przyspieszyła. I całkiem prawdopodobne, że mogłaby mi nawet podziękować, gdyby tylko biała furgonetka nie wykorzystała faktu, że zwolniliśmy, by podjechać do nas od tyłu i gwałtownie

na nas wpaść. Tył naszego wozu zjechał w lewo, ale Deborah udało się wyrównać.

Furgonetka znów nas szturchnęła, mocniej, tuż za drzwiami od mojej strony. Kiedy się pochyliłem w stronę Deborah, żeby uniknąć uderzenia, drzwi gwałtownie się otworzyły. Nasz samochód zachwiał się i Deborah zahamowała – chyba nie była to najlepsza strategia, gdyż furgonetka w tej samej chwili przyspieszyła i tym razem walnęła w drzwi tak silnie, że odpadły i uderzyły mocno w okolice tylnego koła furgonetki, a potem odtoczyły się jak zdeformowane koło, krzesząc iskry.

Zobaczyłem, że furgonetka lekko się zachwiała, i usłyszałem miękkie grzechotanie płaskiej opony. Potem ściana bieli uderzyła kolejny raz. Nasz samochód szarpnął gwałtownie, runął w lewo, przeskoczył przez krawężnik i przerwał płot odgradzący boczną drogę od rampy prowadzącej w dół z I-95. Okręciliśmy się, jakby opony zrobione były z masła. Deborah walczyła z kierownicą, ukazując zęby, i prawie udało się nam przejechać na rampę. Ale ponieważ w tym tygodniu nie byłem w kościele, kiedy dwa przednie koła uderzyły w krawężnik po przeciwnej stronie rampy, wielka, czerwona terenówka rąbnęła nas w tylny zderzak. Kręcąc się, poleciliśmy na trawnik otaczający wielki staw przy skrzyżowaniu. Miałem tylko chwilę, żeby zauważyć, jak przycięta trawa zamienia się miejscami z nocnym niebem. Potem samochód twardo podskoczył i poduszka powietrzna eksplodowała mi w twarz. Czułem się, jakbym walczył na poduszki z Mike’em Tysonem; byłem jeszcze zamroczony, kiedy samochód ześliznął się na dachu do stawu i zaczął nabierać wody.

Nie wstydzę się przyznawać do moich skromnych talentów. Na przykład miło mi powiedzieć, że jestem niezły w wypowiedaniu ciętych uwag i mam dar zjednywania sobie ludzi. Ale żeby być uczciwym wobec siebie samego, zawsze jestem gotów wyznać swoje braki i szybko musiałem stwierdzić, że nigdy nie umiałem oddychać pod wodą. Kiedy oszołomiony zwisałem z pasa bezpieczeństwa i patrzyłem, jak woda napływa i wiruje wokół mojej głowy, ta drobna przywara stała się nagle ogromną wadą.

Ostatnie spojrzenie, które rzuciłem na Deborah, zanim woda zamknęła się nad jej głową, też nie było zachęcające. Zwisiała bez ruchu z pasów, oczy miała zamknięte, a usta otwarte, co pozostawało w całkowitej sprzeczności z jej normalnym stanem i chyba nie było dobrym znakiem. A potem woda zalała mi oczy i w ogóle już nic nie widziałem.

Lubię też myśleć o sobie, że dobrze reaguję na zdarzające się czasem niespodziewane stany awaryjne, jestem więc całkiem pewien, że oszołomienie i apatia były jedynie skutkiem objiania się o wóz, a potem ciosu, jaki zarobiłem od poduszki. Tak czy siak wisiałem oto do góry nogami w wodzie przez dłuższy czas i ze wstydem przyznaję, że przez większość tego czasu oplakiwałem swój zgon. Drogi Zmarły Dexter, taki potencjał, tylu kolegów Mrocznego Pasażera zostało mu do poszatkowania i to tragiczne, przedwczesne odejście, za młodu. Niestety, Mroczny Pasażerze, znałem go dobrze. A jeszcze ten biedaczyna miał się wreszcie żenić. Jakież to smutne - wyobraziłem sobie Ritę w bieli,

szlochającą przy ołtarzu i dwoje małych dzieci płaczących u jej stóp. Słodka, mała Astor z włosami upiętymi w okazały kok, w jasnozielonej sukni druhny zmoczonej teraz łzami. I cichy Cody w maleńkim smokingu wpatruje się w ścianę kościoła i czeka, myśląc o naszej ostatniej wyprawie na ryby, i zastanawia się, czy kiedykolwiek jeszcze wbije nóż i obróci go powoli, patrząc, jak jasna, czerwona krew spryskuje klingę, a on się uśmiecha, a potem...

Zwolnij, Dexterze. Skąd te myśli? Pytanie retoryczne, oczywiście, i nie potrzebowałem niskiego rechotu rozbawienia mojego starego, wewnętrznego przyjaciela, żeby znaleźć odpowiedź. Ale ta wewnętrzna sugestia pozwoliła mi złożyć rozproszone fragmenty w połowę układanki i zrozumieć, że Cody...

Czy to nie dziwne, co nam przychodzi do głowy, kiedy umieramy? Samochód osiadł na spłaszczonym dachu i tylko kołysał się z lekka, całkowicie zalany wodą tak gęstą i lepłą, że nie byłbym w stanie zobaczyć flary wystrzelonej tuż przed moim nosem. A jednak widziałem Cody'ego z całkowitą jasnością, jaśniej niż wtedy, gdy byliśmy ostatnim razem w pokoju, a za ostrym wyobrażeniem jego małej formy stał olbrzymi, mroczny cień, czarny kształt bez rysów i chyba się śmiał.

Czy to możliwe? Znowu pomyślałem o tym, jak radośnie wbijał nóż w rybę. Pomyślałem o jego dziwnej reakcji na zgubionego psa sąsiadki - bardzo podobną do mojej, kiedy zapytano mnie, jeszcze jako chłopca, o psa z sąsiedztwa, z którym sobie poeksperymentowałem. I pamiętam, że Cody, podobnie jak ja, miał za sobą traumatyczne doświadczenia, kiedy jego biologiczny ojciec napadał na niego i siostrę w przerażającym, narkotycznym szale i bił ich krzesłem.

Ta myśl była totalnie nie do pomyślenia. Dziwna myśl, ale wszystkie fragmenty złożyły się w całość. To miało

doskonały, poetyczny sens.

Miałem syna.

Kogoś takiego jak ja.

Ale brakowało mu mądrego ojczyma, który pokierowałby jego pierwszymi, dziecięcymi kroczkami w świecie cięcia i szatkowania; nie było wszytkowidzącego Harry'ego, który nauczyłby go, jak zostać tym, kim powinien, pomógłby w przemianie z bezmyślnego dzieciaka pałającego żądzą przypadkowego zabijania w zamaskowanego mściciela; nikogo, kto starannie i cierpliwie pokierowałby go między pułapkami w stronę lśniącej klingi noża przyszłości - Cody nie miałby nikogo, gdyby Dexter zginął tu i teraz.

Zabrzmiałoby to zbyt melodramatycznie jak na mnie, gdybym miał powiedzieć: „Ta myśl pobudziła mnie do szaleńczego działania”, a ja jestem melodramatyczny tylko celowo, kiedy mam widownię. Niemniej, kiedy zdałem sobie sprawę z prawdziwej natury Cody'ego, usłyszałem także, prawie jak echo, głęboki, odczłowieczony głos mówiący: „Odepnij pas bezpieczeństwa, Dexterze”. I jakoś udało mi się zmusić palce, które nagle stały się wielkie i niezgrabne, żeby zbliżyły się do zapięcia i pomajstrowały przy mechanizmie zwalniającym. Miałem wrażenie, jakbym chciał nawlec nitkę za pomocą szynki, ale dopóty dłubałem i popychałem, aż wreszcie poczułem, że coś ustępuje. Oczywiście, to znaczyło, że upadłem i twardo rąbnąłem głową o sufit, za twardo, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że byłem pod wodą. Ale wstrząs od uderzenia rozerwał trochę pajęczyn w mózgu, poprawiłem swoją pozycję i ruszyłem w stronę otworu po wyrwanych drzwiach. Udało mi się przejść głową do przodu i zaryłem twarzą w mule zalegającym dno stawu.

Następnie, silnie kopiąc, podpłynąłem ku powierzchni. Były to słabiutkie ruchy, ale wystarczyły, bo woda miała około metra głębokości. Kolejne kopnięcie postawiło mnie na kolana,

a potem chwiejnie się wyprostowałem. Stałem w wodzie przez chwilę, wymiotując i zasysając cudowne powietrze. Jakaż to wspaniała i niedoceniana rzecz, powietrze. Prawdą jest, że nie doceniamy rzeczy, dopóki nie musimy się bez nich obyć. Jakże straszliwe jest wyobrażenie sobie wszystkich tych biedaków na ziemi, którzy muszą obywać się bez powietrza, biedaków jak...

...Deborah?

Prawdziwa istota ludzka pomyślałaby pewnie o tonącej siostrze znacznie wcześniej, ale doprawdy, bądźmy uczciwi, czegoż można się spodziewać po podróbce człowieka, która tyle przeszła? Poza tym teraz naprawdę o niej pomyślałem i może nadal był czas, żeby zrobić coś sensownego. Ale chociaż nie miałem oporów, żeby rzucić się na ratunek, nie mogłem powstrzymać myśli, że dziś wieczór prosimy naszego Oddanego Dzielnego Dextera o troszkę zbyt wiele, prawda? Ledwie się wydobyłem, a już muszę tam wracać.

Niemniej rodzina to rodzina, a narzekanie nigdy nie przynosiło mi niczego dobrego. Nabrałem głęboko powietrza i wśliznąłem się z powrotem do mulistej wody, wymacując drogę przez otwór drzwiowy do siedzenia Deborah w jej stojącym na głowie samochodzie. Coś trzepnęło mnie w twarz, a potem brutalnie chwyciło za włosy - miałem nadzieję, że to Debs, gdyż cokolwiek innego, co poruszałoby się w wodzie, miałoby z pewnością znacznie ostrzejsze zęby. Sięgnąłem i spróbowałem podważyć jej palce. Było to dość trudne, jednocześnie wstrzymywać oddech i machać na oślep rękami, unikając zaimprovizowanego strzyżenia. Ale Deborah trzymała mocno - to był, na swój sposób, dobry znak, bo znaczyło to, że jeszcze żyje, ale sprawiało, że zastanawiałem się, co dłużej wytrzyma, moje włosy czy płuca. Dylemat pozostał nierozstrzygnięty, bo włączyłem do działania drugą rękę i udało mi się oderwać palce Deborah od mojej biednej,

delikatnej fryzurki. Potem wzdłuż ręki dotarłem do jej ramienia i macałem wzdłuż ciała, aż natknąłem się na pas bezpieczeństwa. Pojechałem dłonią wzdłuż pasa do zapięcia i nacisnąłem mechanizm zwalnający.

Oczywiście, był zablokowany. Przecież już wiedzieliśmy, że to jeden z tych dni, prawda? Jedno następowało po drugim i doprawdy byłoby przesadą żywić nadzieję, że choćby mała rzecz pójdzie jak trzeba. Dla podkreślenia pointy, do moich uszu dotarł dźwięk wypuszczanego powietrza, zrozumiałem, że Deborah skończył się czas i próbuje teraz szczęścia z oddychaniem wodą. Może poszłoby jej lepiej niż mnie, ale nie bardzo w to wierzyłem.

Ześliznąłem się niżej w wodzie i zapałem się kolanami o dach wozu, wpychając ramię pod plecy Deborah. Naparłem, żeby zmniejszyć nacisk jej ciała na pas. Potem wyciągnąłem, ile się dało poluzowanego pasa i wyszarpnąłem Deborah w stronę drzwi. Sama wydawała się poluzowana; być może moje heroiczne wysiłki przyszły za późno. Przecisnąłem się przez drzwi i pociągnąłem ją za sobą. Koszula zaczęła się o coś i rozdarła, ale i tak udało mi się przepchnąć i chwiejnie wyłonić na nocne powietrze.

Deborah była jak martwy ciężar na moich rękach, a z kącików jej ust spływały cieniutkie strumyki mulistej wody. Podniosłem ją na ramieniu i zacząłem brnąć przez muł do trawy. Błoto stawiało opór przy każdym kroku i straciłem lewy but, ledwie zrobiłem trzy kroki od wozu. Ale w końcu buty znacznie łatwiej zastąpić czymś nowym niż siostrę, nie poddawałem się więc, dopóki nie dotarłem do trawnika i nie rzuciłem Deborah plecami na ziemię.

Niedaleko zawyła syrena i prawie natychmiast dołączyła do niej druga. Radość i rozkosz: pomoc w drodze. Może nawet mają ręcznik. Nie byłem jednak pewien, czy dotrą na czas, żeby jakkolwiek pomóc Deborah. Rzuciłem się więc na kolana

obok niej, przewiesiłem ją twarzą do dołu przez kolano i wycisnąłem z niej tyle wody, ile się tylko dało. Potem przetoczyłem ją na wznak, wyciągnąłem jej palcem błoto z ust i zacząłem robić sztuczne oddychanie metodą usta-usta.

Z początku moją jedyną nagrodą był kolejny łyk mulistej wody, co nie uprzyjemniło mi roboty. Ale trzymałem się swego i wkrótce Debs konwulsyjnie się zatrzęsała i zwymiotowała ogromną ilością wody – niestety, głównie na mnie. Rozkaszała się strasznie, zaczerpnęła tchu, co zabrzmiało jak odgłos zardzewiałych zawiasów i powiedziała:

- Cholera...

Przynajmniej raz w pełni doceniłem jej cyniczną elokwencję.

- Witamy w domu – powiedziałem. Deborah przetoczyła się z trudem na twarz i próbowała podnieść się na czworaka. Ale znów upadła na twarz, dysząc z bólu.

- O Boże, o, cholera, coś jest złamane – jęknęła. Odwróciła głowę i podrzuciła ją trochę, wyginając grzbiet. Wciągała przy tym powietrze wielkimi, rżącymi haustami, na przemian oddychając i wymiotując. Patrzyłem na nią i przyznaję, czułem się z siebie zadowolony. Dexter Nurkujący Kaczor dokonał wielkiego czynu i uratował sytuację.

- Czyż wymioty nie są wspaniałe? – zapytałem. – Oczywiście, jeśli weźmie się pod uwagę inną możliwość. – Rzecz jasna, w tym stanie, biedna dziewczyna nie była zdolna do prawdziwie kąśliwej odpowiedzi, ale uradowało mnie, że przynajmniej wyszeptała:

- Pieprz się.

- Gdzie cię boli? – zapytałem.

- Cholera – odparła bardzo słabym głosem. – Nie mogę poruszać lewym ramieniem. Całe ramię... – Przerwała i próbowała poruszyć wspomnianym ramieniem. Widać było, że sprawiało jej to ogromny ból. Syknęła podczas wydechu

i znów zaczęła słabo pokasywać, a potem tylko przewróciła się na plecy i dyszała.

Uklęknąłem przy niej i łagodnie sprawdziłem ramię.

- Tutaj? - zapytałem. Pokręciła głową. Przesunąłem dłoń wyżej, na staw barkowy i kość obojczykową. Nie musiałem jej pytać, czy to tu. Sapnęła, powieki jej zadrżały i nawet przez błoto na twarzy zobaczyłem, że pobladła o kilka odcieni.

- Masz złamany obojczyk - zawyrokowałem.

- To niemożliwe - odparła słabym, chropawym głosem. - Muszę znaleźć Kyle'a.

- Nie - powiedziałem. - Musisz pojechać na ostry dyżur. Jeśli będziesz się pałętać w takim stanie, skończysz obok niego, związana i poklejona taśmą, a to nie doprowadzi do niczego dobrego.

- Muszę - upierała się.

- Deborah, właśnie wyciągnąłem cię z samochodu, spod wody, niszcząc sobie przy tym bardzo ładną koszulę. Czy naprawdę chcesz zepsuć moje heroiczne wysiłki?

Znów zakaszła i zajęczała z bólu, bo złamany obojczyk zaczął się poruszać w rytm spazmatycznego oddechu. Byłem pewien, że nie skończyła jeszcze sprzeczki, ale zaczynała przyjmować do wiadomości, że sprawia jej to wielki ból. A skoro nasza rozmowa do niczego nie prowadziła, dobrze się złożyło, że właśnie przybył Doakes, a za nim para sanitariuszy.

Dobry sierżant twardo na mnie spojrzał, jakbym to ja osobiście wepchnął samochód do stawu i wywrócił go do góry kołami.

- Zgubiliście ich, co? - zapytał. Wydało mi się to wielką niesprawiedliwością.

- Tak, śledzenie go, kiedy leżeliśmy w wodzie do góry kołami, okazało się znacznie trudniejsze, niż przypuszczałem -

powiedziałem. – Następnym razem pan spróbuje tego dokonać w ten sposób, a my będziemy stali i narzekali.

Doakes tylko rzucił na mnie złym wzrokiem i chrząknął. Potem klęknął obok Deborah i zapytał:

– Jesteś ranna?

– Obojczyk – poinformowała. – Jest złamany. – Szok szybko ustępował. Walczyła z bólem, przygryzając wargi i gwałtownie oddychając. Miałem nadzieję, że sanitariusze znajdą dla niej coś skuteczniejszego.

Doakes nic nie powiedział; tylko podniósł wzrok na mnie. Deborah wyciągnęła zdrową rękę i złapała go za ramię.

– Doakes – powiedziała, a on znów spojrzał na nią. – Znajdź go. – Tylko patrzył, jak zgrzytała zębami i dyszała ogarnięta kolejną falą bólu.

– Przejdziemy tędy – odezwał się jeden z sanitariuszy. Był to żyłasty młody facet o nastroszonej fryzurze. Razem ze starszym, grubszym partnerem przejechali wózkiem z noszami przez płot, w miejscu, w którym Deborah zrobiła dziurę. Doakes próbował wstać, żeby ich dopuścić, ale Deborah pociągnęła go za ramię ze zdumiewającą siłą.

– Znajdź go – powtórzyła. Doakes tylko skinął głową, ale to jej wystarczyło. Puściła go, a on wstał, żeby zrobić miejsce dla sanitariuszy. Nachylili się i obejrzeni Deborah fachowym okiem, potem przenieśli ją na nosze, podnieśli je i zaczęli toczyć w stronę czekającej na nich karetki. Patrzyłem za nią, zastanawiając się, co stało się z naszym drogim przyjacielem z białej furgonetki. Miał płaską oponę; jak daleko mógł zajechać? Wydawało się prawdopodobne, że będzie próbował raczej zmienić pojazd niż zatrzymać się i wezwać pomoc drogową, żeby zmieniła mu koło. Gdzieś w pobliżu powinniśmy zatem znaleźć porzuconą furgonetkę i usłyszeć o skradzionym samochodzie.

Powodowany niezmiernie wielkodusznym impulsem, jeśli wziąć pod uwagę stosunek Doakesa do mnie, podszedłem do niego, żeby podzielić się z nim moimi przemyśleniami. Ale ledwie zdążyłem zrobić półtora kroku w jego stronę, kiedy usłyszałem jakiś hałas zbliżający się do nas. Odwróciłem się, żeby zobaczyć, co to jest.

Z ulicy biegł do nas krępy facet w średnim wieku ubrany w same bokserki. Brzuch zwisał mu nad majtkami i trząsał się na wszystkie strony. Widać było, że facet nie ma szczególnej praktyki w biegach, a jeszcze utrudniał sobie to zadanie, machając rękami nad głową i krzycząc:

- Hej! Hej! Hej! - Zanim zdołał pokonać rampę prowadzącą z I-95 i dotrzeć do nas, brakowało mu tchu. Dyszał zbyt ciężko, żeby móc powiedzieć coś spójnego, ale ja się domyślałem, co ma do powiedzenia.

- Burgondka - wydyszał, a ja uświadomiłem sobie, że brak tchu i kubański akcent zlały się w jedno, a on chciał powiedzieć „furgonetka”.

- Biała furgonetka? Z płaską oponą? A pańskiego samochodu nie ma? - zapytałem. Doakes popatrzył na mnie.

Ale dyszący mężczyzna kiwał głową.

- Jasne, biała furgonetka. Słyszałem, jakby w środku był jakiś pies, jakby ranny - rzekł i przerwał, żeby zaczerpnąć głębiej tchu i we właściwy sposób oddać całą okropność tego, co zobaczył. - I wtedy...

Ale na darmo tracił cenny oddech. Wraz z Doakesem biegnęliśmy już sprintem w górę ulicy, w kierunku, z którego nadbiegł zdyszany mężczyzna.

Sierżant Doakes najwyraźniej zapomniał, że ma mnie śledzić, bo w biegu do furgonetki pobił mnie o dobrych dwadzieścia metrów. Oczywiście uzyskał wielką przewagę, bo miał oba buty, ale i tak biegał całkiem dobrze. Furgonetka stała na chodniku przed jasnopomarańczowym domem otoczonym murkiem z koralowca. Przedni zderzak rąbnął w narożny słup i przewrócił go, a tył wozu stał pod kątem do ulicy, widzieliśmy więc jaskrawożółte tablice rejestracyjne Wybierz życie.

Zanim doścignąłem Doakesa, zdążył już otworzyć tylne drzwi i usłyszałem miauczący głos dochodzący ze środka. Tym razem naprawdę nie przypominało to skowytu psa, a może już zaczynałem się do tego przyzwyczajać. Tonacja była trochę wyższa niż poprzednio, a nuta trochę bardziej szarpana, bardziej jak krzykliwy bulgot niż jodłowanie, ale nadal dało się w tym rozpoznać wołanie żywych zmarłych.

To było przytroczone do siedzenia bez pleców odwróconego w bok, tak, że biegło przez długość wozu. Oczy bez powiek obracały się dziko w tę i z powrotem, w górę i w dół, a usta, bez warg i zębów zamarły w okrągłym O. Wydobywało się z nich kwilenie niemowlęcia. Poza tym, bez rąk i nóg, to nie mogło się poruszać.

Doakes kucał nad tym, patrzył na pozostałości twarzy bez wyrazu.

- Frank - powiedział - a rzecz zatoczyła oczami w jego stronę. Wycie ustało na chwilę, a potem powróciło na wyższej nucie z nowym cierpieniem, jakby o coś błagającym.

- Rozpoznajesz go? - zapytałem.

Doakes skinął głową.

- Frank Aubrey - powiedział.

- Po czym poznasz? - zdziwiłem się. Bo doprawdy wszystkie te niegdyś istoty ludzkie w tym stanie były koszmarnie trudne do rozróżnienia. Jediną cechą indywidualną, którą zauważyłem, były zmarszczki na czole.

Doakes nie odrywał od tego wzroku, ale odchrząknął i skinął w stronę szyi.

- Tatuaż. To Frank. - Znów chrząknął, nachylając się do przodu i oderwał kawałek kartki do notatek przyklejony taśmą do ławy. Zajrzałem przez ramię, żeby zobaczyć: tym samym pajęczym charakterem, który widziałem przedtem, doktor Danco napisał honor.

- Zawołaj sanitariuszy - powiedział Doakes.

Pobiegłem z powrotem. Właśnie zamykali tylne drzwi karetki.

- Macie nosze na jeszcze jednego? - zapytałem. - Nie zabierze dużo miejsca, ale potrzebuje mocnego znieczulenia.

- W jakim jest stanie? - zapytał mnie ten z nastroszonymi włosami.

Było to bardzo dobre pytanie z punktu widzenia jego profesji, ale jedyna odpowiedź, która przychodziła mi do głowy wydawała się nieco niepoważna, po prostu powiedziałem więc:

- Wam chyba też przydałoby się mocne znieczulenie.

Popatrzyli na mnie, jakbym z nich żartował, i nie docenili powagi położenia. Potem spojrzeli po sobie i wzruszyli ramionami.

- W porządku, gościu - powiedział starszy. - Upchniemy go.
- Ten z rozczochranymi włosami pokręcił głową, ale odwrócił się, znów otworzył tylne drzwi karetki i zaczął wyciągać nosze na kółkach.

Kiedy udali się do rozbitego samochodu Danco, wsiadłem od tyłu do karetki, żeby zobaczyć, jak czuje się Debs. Miała zamknięte oczy i była bardzo blada, ale oddychała już lżej. Otworzyła jedno oko i spojrzała na mnie.

- Nie ruszamy - powiedziała.

- Doktor Danco rozbił furgonetkę.

Napięła mięśnie i usiłowała się podnieść z szeroko już otwartymi oczami.

- Macie go?

- Nie Debs. Tylko pasażera. Myślę, że chciał go dostarczyć, bo wszystko już było zrobione.

Wydawało mi się, że wcześniej była blada, ale teraz prawie się rozplynęła.

- Kyle? - zapytała.

- Nie - odparłem. - Doakes mówi, że to ktoś o imieniu Frank.

- Jesteś pewien?

- Tak. Ma tatuaż na szyi. To nie Kyle, siostrzyczko.

Deborah zamknęła oczy i znów opadła na pryczę, jak przekłuty balon.

- Dzięki Bogu - powiedziała.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko użyczeniu swojej taksówki Frankowi - dodałem.

Pokręciła głową.

- Nie mam - odparła i znów otworzyła oczy. - Dexter. Żadnych pierdołek z Doakesem. Pomożesz mi znaleźć Kyle'a? Proszę!

To chyba znieczulenie tak na nią podziało, bo do podliczenia jej błagalnych próśb wystarczyłby mi jeden palec.

- W porządku, Debs. Zrobię, co w mojej mocy - obiecałem, a ona z trzepotem rzęs opuściła powieki.

- Dziękuję - odpowiedziała.

Wróciłem do furgonetki Danco w porę, żeby zobaczyć, jak starszy sanitariusz prostuje się po wymiotach i odwraca, żeby porozmawiać z partnerem, który siedział na krawężniku i mamrotał, zagłuszając nieco odgłosy wydawane przez Franka w wozie.

- No chodź, Michaelu - powiedział starszy facet. - No chodź, koleś.

Michael wydawał się niezainteresowany propozycją i tylko kołysał się w przód i w tył, powtarzając:

- O Boże. O Jezu. O Boże.

Pomyślałem, że chyba nie potrzebuje zachęty z mojej strony, okrążyłem ich i podszedłem do drzwi od strony fotela kierowcy. Były otwarte, zajrzałem więc do środka.

Doktor Danco musiał się spieszyć, bo zostawił bardzo drogi, na oko, skaner, taki jakiego używają fani policji i dziennikarze goniący za sensacjami do monitorowania rozmów przez radiostacje wozów patrolowych. Bardzo mnie pocieszyło, że Danco śledził nas za pomocą tego urządzenia, a nie jakichś sił magicznych.

Poza tym furgonetka była czysta: żadnego charakterystycznego pudełka z zapalnikami, kawałka papieru z adresem albo zaszyfrowanym słowem po łacinie napisanym na odwrotnej stronie. Niczego, co mogłoby stanowić dla nas ślad. Może się okazać, że są odciski palców, ale skoro i tak już wiedzieliśmy, kto prowadził, nie wydawały się nazbyt użyteczne.

Podniosłem skaner i poszedłem na tył furgonetki. Doakes stał przy otwartych drzwiach, a starszemu sanitariuszowi udało się wreszcie skłonić partnera do wstania. Wręczyłem skaner Doakesowi.

- Był na przednim siedzeniu - powiedziałem. - On nas podsłuchiwał.

Doakes tylko zerknął i postawił go wewnątrz furgonetki. Ponieważ nie kwapił się do rozmowy, zapytałem:

- Ma pan jakieś pomysły co do naszych dalszych działań?

Spojrzał na mnie i nic nie powiedział, a ja patrzyłem wyczekująco i myślę, że moglibyśmy tak stać, aż w końcu gołębie zaczęłyby wic gniazda na naszych głowach, gdyby nie sanitariusze.

- W porządku, chłopaki - powiedział starszy, a my odsunęliśmy się, żeby dopuścić ich do Franka. Wyglądało na to, że krępy sanitariusz doszedł już do siebie i zachowywał się, jakby tu chodziło o założenie łupków chłopcu ze skrzyconą nogą. Jego partner był jednak nadal bardzo nieszczęśliwy i nawet z odległości dwóch metrów słyszałem jego oddech.

Stałem obok Doakesa i patrzyłem, jak kładą Franka na nosze, a potem odjeżdżają z nim. Kiedy przeniosłem wzrok na Doakesa, znów gapił się na mnie. Ponownie obdarzył mnie bardzo nieprzyjemnym uśmiechem.

- Teraz to spada na ciebie i na mnie - stwierdził. - A ja nic o tobie nie wiem. - Oparł się o poobijaną furgonetkę i skrzyżował ramiona. Usłyszałem, jak sanitariusze zatrzasną drzwi do karetki, a chwilę potem rozległa się syrena.

- Tylko ty i ja - powtórzył Doakes - i bez sędziego.

- Czy to kolejna porcja twoich wiejskich mądrości? - zapytałem, bo oto stałem tutaj, poświęciwszy uprzednio cały lewy but i bardzo ładną koszulę, nie mówiąc o moim hobby, obojczyku Deborah i bardzo dobrym wozie służbowym, a tam stał on, z ledwie przygniecioną koszulą i czynił tajemnicze, wrogie uwagi. Doprawdy, tego już było za wiele.

- Nie ufam ci - powiedział.

Pomyślałem, że to dobry znak, skoro sierżant Doakes otwiera się przede mną i dzieli swoimi wątpliwościami i uczuciami. Niemniej pomyślałem, że lepiej byłoby, gdyby się skoncentrował.

- To nie ma znaczenia. Czas nas goni - zwróciłem mu uwagę.
- Skoro Frank został dopracowany i dostawiony, Danco zabierze się teraz do Kyle'a.

Przechylił głowę na bok i pokręcił nią powoli.

- Tu nie chodzi o Kyle'a - powiedział. - Kyle doskonale wiedział, w co się pakuje. Chodzi o złapanie doktora.

- Mojej siostrze chodzi o Kyle'a - wyjaśniłem. - To jedyny powód, dla którego tutaj jestem.

Doakes pokiwał głową.

- Całkiem nieźle - stwierdził. - Prawie w to uwierzyłem.

Z jakiegoś powodu właśnie wtedy wpadłem na pomysł. Przyznaję, że Doakes był potwornie irytujący - i nie dlatego, że powstrzymywał mnie od moich ważnych, osobistych badań, chociaż samo to wydawało mi się już bardzo złe. Ale teraz krytykował moje działanie, co przekraczało wszelkie granice uprzejmości. Może to zatem irytacja jest matką wynalazku; nie brzmi to nazbyt poetycznie, ale tak to już jest. W każdym razie w przyćmionym mózgu Dextera otworzyły się drzwiczki i wystrzeliło z nich światelko; autentyczna aktywność umysłowa. Oczywiście, Doakes mógł mieć na ten temat inne zdanie, chyba że pomógłbym mu zrozumieć, jaki to dobry pomysł, rąbnąłem więc prosto z mostu. Czułem się troszeczkę jak królik Bugs próbujący namówić Elmera Fudda na coś śmiertelnie niebezpiecznego.

- Sierzancie - zwróciłem się do Doakesa. - Deborah jest moją jedyną krewną i nie jest w porządku z pańskiej strony kwestionowanie mojego poświęcenia. Szczególnie - dodałem i musiałem stłumić pokusę, żeby nie zacząć polerować sobie paznokci w stylu królika Bugsa - że jak do tej pory nic pan nie zrobił.

Kimkolwiek był, zimnym zabójcą i tak dalej, sierżant Doakes najwyraźniej nadal odczuwał emocje. Może na tym polegała ta wielka różnica między nami, powód, dla którego trzymał

fason i walczył przeciwko człowiekowi, który był przecież po jego stronie. Jakkolwiek sprawy się miały, zobaczyłem gniew na jego twarzy, a z głębin zaczął wydobywać się niemal słyszalny pomruk jego wewnętrznego cienia.

- Nic nie zrobiłem - powiedział. - To też dobre.

- Nic - powtórzyłem stanowczo. - Deborah i ja wykonaliśmy całą pracę mięśni i wzięliśmy na siebie całe ryzyko i pan o tym wie.

Zaledwie przez chwilę mięśnie na jego szczęce napięły się tak, jakby chciały skoczyć i udusić mnie, a stłumiony wewnętrzny pomruk przeszedł w ryk i dotarł echem do mojego Mrocznego Pasażera, który wyprostował się i odpowiedział. I staliśmy tak, a nasze dwa gigantyczne cienie mocowały się niewidzialnie między nami.

Całkiem możliwe, że na ulicy pojawiłyby się kawały mięsa i kałuże krwi, gdyby nie radiowóz, który wybrał sobie właśnie tę chwilę, żeby zatrzymać się przy nas z piskiem opon. Wskoczył młody gliniarz, a Doakes odruchowo wyjął odznakę i podniósł w jego stronę, nie odwracając ode mnie wzroku. Drugą ręką machnął w jego stronę, gliniarz wycofał się więc i wsadził głowę do radiowozu, żeby skonsultować się z partnerem.

- W porządku - powiedział do mnie sierżant Doakes. - Co ci przyszło do głowy?

To nie była doskonała zagrywka. Królik Bugs skłoniłby go do zastanowienia się nad sobą, ale i tak wystarczyło.

- Prawdę mówiąc - rzekłem - rzeczywiście mam pewien pomysł, ale jest trochę ryzykowny.

- Hm, hm - odparł. - Myślałem, że tak będzie.

- Jeśli to zbyt wiele dla ciebie, to obmyśl coś innego - zasugerowałem. - Ale sądzę, że to jest wszystko, co możemy zrobić.

Widziałem, że się zastanawia. A on wiedział, że go nęcę, ale w tym, co mu powiedziałem, było sporo prawdy, a jego tak przepełniały duma i gniew, że w końcu uznał, iż jest mu wszystko jedno.

- Dawaj - odezwał się wreszcie.

- Oscar uciekł.

- Na to wygląda.

- A to sprawia, że została nam tylko jedna osoba, co do której jesteśmy pewni, że zainteresuje doktora Danco - powiedziałem i wskazałem wprost na jego klatkę. - Ty.

Właściwie to się nie wzdrygnął, ale na jego czole coś się poruszyło i na kilka sekund zapomniał o oddychaniu. Potem powoli pokiwał głową i głęboko zaczerpnął tchu.

- Śliski skurwysyn - stwierdził.

- Taki już jestem - przyznałem. - Ale mam też rację.

Doakes podniósł skaner i przestawił go tak, żeby móc usiąść w otwartych tylnych drzwiach furgonetki.

- W porządku - rzekł. - Mów dalej.

- Po pierwsze, idę o zakład, że zdobędzie drugi skaner - powiedziałem, pokazując skinięciem głowy ten, obok którego siedział Doakes.

- Hm, hm.

- Skoro więc wiemy, że słucha, możemy mówić to, co chcemy, żeby usłyszał. A to znaczy - dodałem, przywołując najlepszy z moich uśmiechów - o tym kim jesteś i gdzie jesteś.

- A kim ja jestem? - zapytał. Nie spostrzegłem, żeby mój uśmiech wywarł na nim jakieś wrażenie.

- Ty jesteś facetem, który wydał go Kubańczykom - powiedziałem.

Przyglądał mi się uważnie przez chwilę, potem pokręcił głową.

- Ty naprawdę chcesz położyć mój łeb na pień, co?

- Absolutnie - odparłem. - Ale ty się nie boisz, prawda?

- Dostał Kyle'a bez problemu.

- Ty będziesz wiedział, że nadciąga - zauważyłem. - Kyle nie wiedział. Poza tym czy nie mówi się, że jesteś troszeczkę lepszy od Kyle'a w tego rodzaju sprawach?

To było bezwstydne, całkowicie przezroczyście, ale złapał się na to.

- Owszem, jestem - stwierdził. - Nieżył z ciebie wazeliniarz.

- Żadnej wazeliny - odparłem. - Tylko prosta, zwyczajna prawda.

Doakes popatrzył na stojący obok skaner. Potem spojrzął w dal, na autostradę. Światła uliczne sprawiały, że kropelka potu, która staczała mu się z czoła na oko, rozbłysła pomarańczowym kolorem. Wytarł ją nieświadomie, nadal zapatrzony w dal, na I-95. Wcześniej gapił się na mnie, bez mrugnięcia, tak długo, że przebywanie w jego obecności stawało się niepokojące, gdy spoglądał gdzie indziej. To było tak, jakby człowiek nagle robił się niewidzialny.

- W porządku - powiedział, gdy wreszcie spojrzął znowu na mnie. Teraz pomarańczowe światło zapłonęło mu w oku. - Do dzieła.

Sierżant Doakes podwiózł mnie z powrotem na komendę. Siedzenie tak blisko niego było przeżyciem dziwnym i niepokojącym, a niewiele mieliśmy sobie do powiedzenia. Złapałem się na tym, że kątem oka studiuję jego profil. Co działo się pod jego czaszką? Jak mógł być tym, o którym wiedziałem, kim jest, niczego z tym nie robiąc? Wstrzymywał mnie przed kolejną moją randką, czym szalenie mnie irytował, a jednak sam nie miał tego typu problemów. Możliwe, że całkowicie zaspokoił swoje apetyty w Salwadorze. Czy odczuwa się to inaczej, kiedy ma się oficjalne błogosławieństwo rządu? A może to jest po prostu łatwiejsze, bo nie musisz się martwić, że cię złapią?

Nie mogłem tego wiedzieć i oczywiście nie byłem nawet w stanie sobie wyobrazić, że go o to zapytam. Aby podkreślić pointę, zatrzymał się na czerwonym świetle i przekreślił się w bok, żeby popatrzeć na mnie. Udawałem, że nie widzę, gapiąc się na wprost, przez przednią szybę, a on wyprostował się, kiedy światło zmieniło się na zielone.

Pojechaliśmy prosto na parking i Doakes usadził mnie na przednim fotelu innego forda taurusa.

- Daj mi piętnaście minut - powiedział, wskazując radiostację. - Potem zadzwoni. Nie marnując więcej słów, wrócił do swojego wozu i odjechał.

Pozostawiony własnej przemyślności, zadumałem się nad ostatnimi, pełnymi niespodzianek, godzinami. Deborah w szpitalu, ja w jednej lidze z Doakesem - i moje odkrycie dotyczące Cody'ego w trakcie niemal śmiertelno

doświadczenia. Oczywiście, mogłem całkowicie mylić się co do tego chłopca. Mogło istnieć jakieś inne wyjaśnienie jego zachowania, gdy padły słowa o zaginionym psie, a gorliwość, z jaką wbijał nóż w rybę, mogła wynikać z całkowicie normalnego, dziecięcego okrucieństwa. Ale o dziwo, pomyślałem, że chcę, aby to była prawda. Chciałem żeby wyrósł na kogoś takiego jak ja – głównie dlatego, że chciałem ukształtować go i naprowadzić jego małe nóżki na Ścieżkę Harry’ego.

Czy było to podobną do ludzkiego popędu rozrodczego bezsensowną i potężną żądzą replikowania cudownego, niezastąpionego mnie, mimo że ten ja jest potworem, który doprawdy nie miał prawa egzystować między ludźmi? To z pewnością wyjaśniałoby, dlaczego dzień w dzień spotykam tak wielu monumentalnie nieprzyjemnych kretynów. W przeciwieństwie do nich miałem jednak całkowitą pewność, że świat beze mnie okazałby się znacznie lepszym miejscem – po prostu ważniejsze było dla mnie moje zdanie w tej materii niż to, co powiedzą ludzie. Ale oto chciałem się gorliwie mnożyć, jak Drakula tworzący nowego wampira, by stanął obok niego w mroku. Wiedziałem, że to niewłaściwe – ale jakież byłoby to zabawne!

I jakim okazałem się skończonym cymbałem! Czy interwał na sofie Rity rzeczywiście przekształcił mój potężny niegdyś intelekt w trzęsącą się kupkę sentymentalnych śmieci? Jak mogłem myśleć o takich absurdach? Dlaczego nie obmyśliłem planu, jak by tu uniknąć małżeństwa? Nic dziwnego, że nie potrafiłem wyrwać się spod przesłodzonej obserwacji Doakesa – wszystkie komórki mózgowe już wykorzystałem i teraz jechałem na pustym baku.

Spojrzałem na zegarek. Czternaście minut zmarnowanych na absurdalne umysłowe gładzenie. Zbliżał się termin: podniosłem mikrofon i wezwałem Doakesa.

- Sierżancie Doakes, jakie jest pańskie dwadzieścia?

Pauza, a potem trzaski.

- Hm, wolałbym teraz nie mówić.

- Proszę powtórzyć, sierżancie.

- Śledziłem sprawcę i obawiam się, że zrobił mnie w konia.

- Jakiego rodzaju sprawcę?

Znów pauza, jakby Doakes spodziewał się, że odwalę całą robotę za niego, i nie wymyślił, co ma powiedzieć.

- Faceta z czasów, kiedy służyłem w wojsku. Złapali go w Salwadorze i może teraz myśleć, że to moja wina. - Pauza.

- Jest niebezpieczny.

- Potrzebne panu wsparcie?

- Jeszcze nie. Spróbuję go wymanewrować.

- Dziesięć-cztery - rzekłem, czując lekkie podniecenie, że wreszcie udało mi się to powiedzieć.

Wymieniliśmy kilkakrotnie parę słów, żeby się upewnić, że dotrą do doktora Danco i za każdym razem musiałem mówić „dziesięć-cztery”. Była pierwsza w nocy, a ja czułem się spełniony i rozradowany. Może jutro wypróbuję, jak działa „przyjąłem”, a nawet „odbiór”. W końcu mam coś, na co warto czekać.

Znalazłem radiowóz jadący na południe i namówiłem gliniarza, żeby podrzucił mnie do Rity. Na miejscu zakradłem się na paluszkach do swojego samochodu, wsiadłem i pojechałem do domu.

Kiedy podszedłem do mojej maleńkiej pryczy i zobaczyłem, jak koszmarnie jest rozkopana, przypomniałem sobie, że powinna na niej leżeć Debs, ale trafiła do szpitala. Jutro pojedę ją odwiedzić. Miałem godny zapamiętania, ale wyczerpujący dzień; seryjny golarz kończyn wpędził mnie do stawu, przeżyłem wypadek drogowy tylko po to, żeby prawie się utopić, straciłem doskonały but, a do tego wszystkiego,

jakby tamto nie było wystarczającym koszmarem, zmuszono mnie do zakolegowania się z sierżantem Doakesem. Biedny Wypruty Dexter. Nic dziwnego, że czułem się taki zmęczony. Padłem na łóżko i natychmiast zasnąłem.

Rankiem następnego dnia Doakes zatrzymał swój samochód na służbowym parkingu tuż obok mojego. Wysiadł, trzymając w ręku nylonową torbę sportową, którą postawił na masce mojego wozu.

- Przyniosłeś pranie? - zapytałem uprzejmie. Mój beztroski dobry nastrój znów go ścisnął za gardło.

- Jeśli to zadziała, to albo on mnie dopadnie, albo ja jego - odparł. Otworzył zamek błyskawiczny torby. - Jeśli to ja jego, sprawa jest skończona. Jeśli on mnie... - Wyjął odbiornik GPS i położył go na masce. - Jeśli on mnie, ty jesteś moim wsparciem. - Pokazał mi swoje olśniewające zęby. - Pomyśl, jak dobrze się z tym czuję. - Wyjął telefon komórkowy i położył go obok zestawu GPS. - To moje zabezpieczenie.

Popatrzyłem na dwa małe przedmioty leżące na masce wozu. Nie wyglądały bardzo groźnie, ale może mógłbym rzucić jednym, a drugim uderzyć kogoś w głowę.

- Nie masz bazooki? - zapytałem.

- Nie potrzebuję. Tylko to - powiedział. Sięgnął do torby po raz kolejny. - I to - rzekł, wyjmując mały notesik do stenografii otwarty na pierwszej stronie. Widniał tam rząderek jakichś cyfr i liter, a w spiralkę spinającą kartki wsunięty był tani długopis.

- Pióro jest silniejsze od miecza - powiedziałem.

- To tak - rzekł. - Górna linia to numer telefonu. Niżej znajduje się kod dostępu.

- Czego dostępuję?

- Nie musisz wiedzieć - odparł. - Po prostu dzwonicz, wybijas kod i dajesz im mój numer telefonu. Oni podają ci namiary GPS mojej komórki. Przyjeżdżasz po mnie.

- Brzmi prosto - stwierdziłem, zastanawiając się, czy rzeczywiście tak jest w istocie.

- Nawet dla ciebie.

- Z kim będę rozmawiał?

Doakes tylko pokręcił głową.

- Ktoś jest mi winien przysługę - wyjaśnił i wyciągnął z torby ręczną radiostację policyjną. - Teraz łatwiejsza część - powiedział. Wręczył mi radiostację i wsiadł do swojego samochodu.

Skoro już zarzuciliśmy haczyk na doktora Danco, należało zrobić drugi krok i sprowadzić go w określone miejsce we właściwym czasie, a szczęśliwy zbieg okoliczności z przyjęciem u Vince'a Masuoki był zbyt doskonały, żeby go zignorować. Przez następnych kilka godzin jeździliśmy po mieście, każdy w swoim samochodzie i dla pewności przekazywaliśmy sobie kilkakrotnie tę samą informację z lekkimi wariacjami. Zamustrowaliśmy też parę załóg radiowozów, o których Doakes powiedział, że być może nie spieprzą sprawy. Uznałem, że to objaw jego niedocenianego poczucia humoru, ale gliniarze, o których mowa, zdaje się nie zrozumieli dowcipu i chociaż nie dostali drzączki, to trochę przesadnie i nerwowo zaczęli zapewniać sierżanta Doakesa, że w istocie jej nie spieprzą. Cudowne było pracować z człowiekiem, który potrafił wzbudzać taką lojalność.

Resztę dnia nasz zespół spędził, wypełniając eter pogwarkami o moim przyjęciu zaręczynowym, podając namiary domu Vince'a i przypominając ludziom o terminie rozpoczęcia zabawy. A po lunchu miał miejsce nasz cios ostateczny. Siedząc w swoim samochodzie przed Wendy's, korzystając z ręcznej radiostacji, połączyłem się z sierżantem Doakesem po raz

ostatni, żeby przeprowadzić starannie wyreżyserowaną rozmowę.

- Sierżant Doakes, tu Dexter, odbiór.

- Tu Doakes - odpowiedział po krótkiej pauzie.

- Byłbym niezmiernie zobowiązany, gdyby zechciał pan przyjść na moje przyjęcie zaręczynowe dziś wieczór.

- Nigdzie nie mogę się wybrać - odparł. - Ten facet jest zbyt niebezpieczny.

- Tylko jeden drink. Na jednej nodze - nakłaniałem go.

- Widział pan, co zrobił Manniemu. A Manny był tylko tępem. To ja wydałem tamtego faceta pewnym złym ludziom. Jak mnie dopadnie, to co mi zrobi?

- Żenię się, sierżanciku kochany - powiedziałem. Podobała mi się ta aura wprost z komiksu, kiedy nazywałem go sierżancikiem. - To nie zdarza się codziennie. A on niczego nie zdołał, skoro wokół będzie tyle glin.

Zapadła długa, dramatyczna cisza. Wiedziałem, że Doakes liczy do siedmiu tak, jak to ustaliliśmy. Potem radio znów zachrypiało.

- W porządku. Wpadnę około dziewiątej.

- Dzięki, sierżanciku - odparłem uszczęśliwiony, że mogę to powiedzieć jeszcze raz, a dla pełni szczęścia dodałem: - To naprawdę wiele dla mnie znaczy. Dziesięć-cztery.

- Dziesięć-cztery - odparł.

Miałem nadzieję, że gdzieś w mieście ten maleńki radiowy dramat rozgrywał się w przytomności ściganego przez nas faceta. Czy myjąc się przed operacją chirurgiczną, nachyli głowę i zacznie się przysłuchiwać? Kiedy jego skaner zachrypi pięknym, aksamitnym głosem sierżanta Doakesa, może odłożyć piłę do kości, wytrze ręce i zapisze adres na skrawku papieru. A potem radośnie wróci do pracy - na Kyle'u Chutskym? -

z wewnętrznym spokojem człowieka, który ma robotę do wykonania i notesik pełen zaproszeń po dniu pracy.

Dla absolutnej pewności nasi przyjaciele z radiowozu dostaną zadyszki, powtarzając informację kilka razy, bez pieprzenia sprawy, że sierżant Doakes, we własnej osobie, stawi się na party dziś wieczór około dziewiątej.

Ja zaś, po ukończeniu zadania miałem kilka wolnych godzin, pojechałem więc do Jackson Memorial Hospital, żeby zajrzeć do mojego ulubionego ptaszka ze złamanym skrzydełkiem.

Deborah, której górna część ciała była zapakowana w gips, siedziała na łóżku w sali na szóstym piętrze z cudownym widokiem na autostradę i chociaż miałem pewność, że dali jej jakiś środek przeciwbólowy, to wcale nie wyglądała rozkosznie, kiedy wmaszerowałem.

- Do cholery, Dexter - powitała mnie - powiedz im, żeby mnie puścili, do wszystkich diabłów. A przynajmniej daj mi ubranie, żeby mogła stąd wyjść.

- Miło mi, że lepiej się czujesz, siostrzyczko - odparłem. - Zaraz będziesz mogła wstać.

- Wstanę natychmiast, kiedy dadzą mi moje cholerne ciuchy - oświadczyła. - Co się tam u was, do diabła, dzieje? Co robiliście?

- Razem z Doakesem zastawiliśmy całkiem zgrabną pułapkę, a Doakes jest przynętą - powiedziałem. - Jeśli doktor Danco się na nią złapie, będziemy go mieli dziś wieczór, na moim, hm, przyjęciu. Na przyjęciu u Vince'a - dodałem i zdałem sobie sprawę, że w ten sposób chciałem zdystansować się od tego całego pomysłu z zaręczynami i że sposób jest głupi, ale i tak lepiej się poczułem, co najwyraźniej nie pocieszyło Debs.

- Twoje przyjęcie zaręczynowe - powiedziała, a potem warknęła: - Cholera. Udało ci się z Doakesem. Podstawi się za ciebie. - I muszę przyznać, że w jej słowach była jakaś

elegancja, ale nie chciałem, żeby myślała o takich sprawach; ludzie nieszczęśliwi dłużej dochodzą do zdrowia.

- Nie, Deborah, poważnie - zapewniłem najbardziej kojącym głosem, na jaki potrafiłem się zdobyć. - Robimy to, żeby złapać doktora Danco.

Patrzyła na mnie gniewnie przez dłuższą chwilę, a potem, o dziwo, zaszlochała i powstrzymała łzy.

- Muszę ci ufać - przyznała. - Ale nienawidzę tej bezradności. Mogę myśleć tylko o tym, co on robi Kyle'owi.

- To poskutkuje, Debs. Odzyskamy Kyle'a. - A ponieważ była w końcu moją siostrą, nie dodałem: „a przynajmniej sporą jego część”.

- Chryste, cholera mnie bierze, że tutaj utknęłam - narzekwała. - Potrzebujesz mnie, żebym ci dawała wsparcie.

- Damy sobie z tym radę, siostrzyczko. Na party przyjdzie tuzin policjantów, wszyscy uzbrojeni i niebezpieczni. I ja tam też będę - powiedziałem, trochę dotknięty, że tak nie docenia mojej obecności.

Ale ona nadal trwała przy swoim.

- Tak. A jak Doakes złapie Danco, odzyskamy Kyle'a. Jeśli Danco dorwie Doakesa, urywasz się sierżantowi z haczyka. Naprawdę zręcznie, Dexter. Jakkolwiek się stanie, wygrasz.

- Nawet o tym nie pomyślałem - skłamałem. - Moim jedynym motywem jest służba większemu dobru. Ponadto Doakes jest ponoć bardzo doświadczony w tego rodzaju sprawach. I zna Danco.

- Cholera, Dex, to mnie dobija. A jeśli... - Przerwała i przygryzła wargę. - Lepiej, żeby się udało. On już za długo ma Kyle'a.

- Zadziała, Deborah - obiecałem. Ale żadne z nas nie uwierzyło mi.

Lekarze bardzo stanowczo nalegali, żeby zatrzymać Deborah przez całą dobę na obserwacji. Po serdecznym „hej!” pod adresem siostry pogalopowałem więc w stronę zachodu słońca, a stamtąd do mojego mieszkania, żeby wziąć prysznic i zmienić ubranie. Co włożyć? Nie byłem w stanie wymyślić, co w tym sezonie nosi się na wymuszone na cześć niechcianych zaręczyn przyjęcia, które mogą się zamienić w starcie z żądnym zemsty maniakiem. Brązowe buty, oczywiście, odpadały, ale poza tym nie wiedziałem nic. Po starannym rozważeniu sprawy postanowiłem, żeby kierował mną dobry smak, i wybrałem żółtozieloną hawajską koszulę ozdobioną czerwonymi elektrycznymi gitarami i różowymi samochodami z podrasowanym silnikiem. Proste, ale eleganckie. Spodnie khaki i jakieś buty do biegania. Byłem gotów na bal.

Ale została jeszcze godzina do rozpoczęcia, a ja stwierdziłem, że znów wracam myślami do Cody’ego. Czy miałem rację co do niego? Jeśli tak, jak sobie poradzi z budzącym się w nim jego własnym Pasażerem? Potrzebował mojego wsparcia, a ja spostrzegłem, że jestem bardzo chętny, by mu go udzielić.

Wyszedłem z mieszkania i pojechałem na południe, a nie na północ, do domu Vince’a. Nie minął kwadrans, kiedy pukałem do drzwi Rity i gapiłem się na drugą stronę ulicy, gdzie świeciło pustką miejsce wcześniej zajmowane przez sierżanta Doakesa w rdzawoczerwonym taurusie. Dziś wieczorem był bez wątpienia w domu, przygotowywał się, obwiązywał lędźwie na bój i polerował kule. Czy spróbuje zabić doktora Danco z pełnym spokojem i gwarancją, że ma na to pozwolenie? Ile czasu minęło, odkąd zabił po raz ostatni? Czy mu tego brakuje? Czy Potrzeba nadlatuje na niego jak huragan, zdmuchując wszelką logikę i więzy moralne?

Drzwi się otworzyły. Rita rozpromieniła się, rzuciła się na mnie, objęła mnie, uściskała i wycalowała po twarzy.

- Cześć, przystojniaku - powiedziała. - Wchodź.

Króciutko odwzajemniłem uścisk dla formy, a potem wyplątałem się z jej ramion.

- Nie mogę zostać długo - oznajmiłem.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Wiem - potaknęła. - Vince zadzwonił i powiedział mi. Jest taki miłutki. Obiecał, że będzie miał na ciebie oko, żebyś za bardzo nie narozrabiał. Wejdz - zaprosiła i pociągnęła mnie za ramię. - Słuchaj, Dexterze. Chcę, żebyś wiedział, że nie jestem typem zazdrośnicy i ufam ci. Idź i się baw.

- Zabawię się, dziękuję - odparłem, chociaż w to wątpiłem. I zastanawiałem się, co takiego powiedział jej Vince, że wyobraziła sobie party jako jakąś niebezpieczną jamę pełną pokus i grzechu. Jeśli o to chodzi, to mogło okazać się całkiem możliwe. Ponieważ Vince był w głównej mierze syntetyczny, potrafił zachowywać się nieprzewidywalnie w sytuacjach towarzyskich, czego dowodziły dziwaczne pojedynki z moją siostrą na insynuacje seksualne.

- Jakie to słodkie, że wstąpiłeś tutaj przed przyjęciem - cieszyła się Rita prowadząc mnie do kanapy, na której ostatnio spędziłem taki kawał życia. - Dzieci chcą wiedzieć, dlaczego nie mogą pójść.

- Porozmawiam z nimi - obiecałem, chcąc zobaczyć Cody'ego i spróbować sprawdzić, czy się nie myliłem.

Rita uśmiechnęła się, jakby podniecił ją fakt, że będę rozmawiał z Codym i Astor.

- Są na podwórku za domem. Wyjdę po nie - zaproponowała.

- Nie, zostań - zaprotestowałem. - Ja wyjdę.

Cody i Astor byli na podwórku z Nickiem, tym gburowatym pacanem z sąsiedztwa, który chciał zobaczyć Astor nago. Podnieśli wzrok, kiedy otworzyłem drzwi, a Nicky odwrócił się i uciekł na swoje podwórko. Astor podbiegła do mnie i uściskała

mnie, a Cody przytruchtał za nią. Na jego twarzy nie dostrzegłem żadnych uczuć.

- Cześć - przywitał się cichutko.

- Pozdrowienia i saluty, młodzi obywatele - powiedziałem. - Czy powinniśmy włożyć odświętne togi? Cezar wzywa nas do senatu.

Astor przechyliła głowę na bok i spojrzała na mnie, jakby właśnie zobaczyła, że pożeram żywcem kota.

- Co? - Cody zapytał bardzo cichym głosem.

- Dexter - powiedziała Astor - dlaczego nie możemy pójść z tobą na przyjęcie?

- Po pierwsze - odparłem - to wieczorek szkolny. A po drugie, obawiam się, że to party dla dorosłych.

- Czy to znaczy, że będą tam nagie dziewczyny? - zapytała.

- Za kogo ty mnie uważasz? - odparłem zasepiony. - Czy myślisz, że naprawdę poszedłbym na party z gołymi dziewczynami?

- Hm - mruknęła, a Cody wyszeptał:

- Ha.

- Ale co ważniejsze, będą tam też głupie tańce i obrzydliwe koszule, a tego nie powinniście widzieć. Stracilibyście cały szacunek dla dorosłych.

- Jaki szacunek? - zapytał Cody, a ja uściśnięm mu rękę.

- Dobrze powiedziane - rzekłem. - Teraz idźcie do swojego pokoju.

Astor wreszcie zachichotała.

- Ale my chcemy iść na przyjęcie - zaprotestowała.

- Obawiam się, że nic z tego - odparłem. - Ale przyniosłem wam skarby, żebyście nie uciekli. - I wręczyłem jej paczkę wafelków necco, naszą tajną walutę. Podzieli się nimi później pół na pół z Codym, kiedy nikt nie będzie widział. - A zatem, moje dzieci... - powiedziałem. Popatrzyli na mnie

z wyczekiwaniem. Ale na tym się zaciąłem, cały drżałem z zapału, żeby poznać odpowiedź, ale nawet nie wiedziałem, jak zacząć pytać. Nie byłoby najlepiej, gdybym powiedział: „Przy okazji, Cody, zastanawiałem się, czy lubisz zabijać” oczywiście, właśnie to chciałem wiedzieć, ale takich rzeczy raczej nie należy mówić dzieciom – szczególnie Cody’emu, który zazwyczaj był równie rozmowny jak orzech kokosowy.

Jego siostra, Astor, często mówiła za niego. Napięcia związane z faktem, że wczesne dzieciństwo spędzili z agresywnym ogrem, który udawał ich ojca, wytworzyły symbiotyczny związek tak bliski, że kiedy on pił napój gazowany, ona bekała. Cokolwiek zachodziło we wnętrzu Cody’ego, Astor potrafiła to wyrazić.

- Czy mogę zapytać o coś bardzo poważnego? - powiedziałem, a oni wymienili spojrzenie, w którym była cała rozmowa, ale się nie odezwali. Potem skinęli pod moim adresem głowami, jakby ich głowy połączone były prętem z gatunku tych, których używa się do gry w piłkarzyki. - Pies sąsiadów - rzekłem.

- Mówiłem ci - odparł Cody.

- Zawsze przewracał pojemnik na śmieci - powiedziała Astor. - I robił kupę na naszym podwórku. A Nicky chciał, żeby nas gryzł.

- Cody więc się nim zajął? - zapytałem.

- On jest chłopcem - odparła Astor. - On to lubi. Ja tylko patrzyłam. Powiesz mamie?

Byłem w domu. „On to lubi”. Popatrzyłem na nich dwoje. Spoglądali na mnie z nie większym zaniepokojeniem, niż gdyby właśnie powiedzieli, że bardziej od truskawkowych lubią lody waniliowe.

- Nie powiem waszej mamie - obiecałem. - Ale nie wolno wam o tym mówić nikomu na całym świecie. Nigdy. Tylko my troje, nikt poza tym. Zrozumiano?

- Dobrze - zgodziła się Astor, zerkając na brata. - Ale dlaczego, Dexterze?

- Większość ludzi nie zrozumiałaby - wyjaśniłem. - Nawet wasza mama.

- Ty rozumiesz - powiedział Cody chrypliwym szeptem.

- Tak - odparłem. - I mogę ci pomóc. - Zaczerpnąłem głęboko tchu i poczułem echo toczące się przez kości, powracające do lat Harry'ego, tak odległych od tej chwili, kiedy Harry pod tym samym nocnym niebem Florydy stał i wypowiadał do mnie te same słowa. - Musimy tobą pokierować - rzekłem, a Cody popatrzył na mnie wielkimi, nieruchomymi oczami i kiwnął głową.

- Dobrze.

Vince Masuoka miał mały domek na północy Miami, na końcu ślepej uliczki odchodzącej od Sto Dwudziestej Piątej NE. Pomalowany był na bladożółto z pastelowym, purpurowym wykończeniem, co sprawiło, że doprawdy, musiałem postawić pod znakiem zapytania smak moich współpracowników. Na frontowym podwórku rosło kilka bardzo ładnie przyciętych krzaków, a przy drzwiach był ogródek kaktusowy. Wykładany brukowcami podjazd oświetlały lampy na baterie słoneczne.

Już raz gościłem u niego, trochę ponad rok temu, kiedy Vince postanowił urządzić bal kostiumowy. Zabrałem Ritę, gdyż cała zabawa z przebraniem polega na tym, żeby było widać, że się je ma. Przyszła jako Piotruś Pan, a ja jako Zorro, oczywiście: Mroczny Mściciel z ostrzem gotowym do użycia. Vince otworzył drzwi w przylegającym do ciała satynowym body i z koszykiem owoców na głowie.

- J. Edgar Hoover? - zapytałem.

- Blisko. Carmen Miranda - wyjaśnił i poprowadził nas do fontanny ze śmiercionośnym ponczem owocowym. Skosztowałem łyżek i postanowiłem zadowolić się napojami gazowanymi, ale oczywiście było to przed moją przemianą w żłopiącego piwo krwistego samca. Towarzyszył nam nieustanny podkład muzyczny monotonnej muzyki techno-pop podkreślony do poziomu wywołującego ochotę na dobrowolną, przeprowadzoną własnoręcznie operację mózgu. Party było ponadprzeciętnie głośnie i wesołe.

Od tamtego czasu Vince nie organizował zabaw, przynajmniej na taką skalę. Niemniej pamięć najwyraźniej

została i nie miał problemu z zebraniem w ciągu zaledwie doby rozentuzjarmowanego tłumu, który miał być świadkiem mojego upokorzenia. Zgodnie z jego słowami na kilku monitorach wideo, rozstawionych po całym domu, nawet na patio, puszczano świńskie filmy. I, oczywiście, wróciła fontanna z ponczem owocowym.

Ponieważ plotki na temat tamtego przyjęcia nadal kursowały pocztą pantoflową, dom zatłoczony był hałaśliwymi gośćmi, przede wszystkim mężczyznami. Zaatakowali fontannę ponczową, jakby gdzieś usłyszeli, że pierwszego, który dozna stałych uszkodzeń mózgu, czeka nagroda. Nawet znałem kilku uczestników party. Angel Batista bez krewnych przyjechał z pracy razem z Camillą Figg, garścią laboratoryjnych maniaków komputerowych i kilkoma znanymi mi gliniarzami, włączając w to czterech, którzy mieli nie spieprzyć sprawy dla sierżanta Doakesa. Reszta tłumu została, zdaje się, ściągnięta dość przypadkowo z South Beach. Wybrano ich ze względu na umiejętność wydawania głośnych, piskliwych okrzyków, kiedy zmieniała się muzyka albo na monitorze ukazywało się coś wyjątkowo niegodnego.

Nie zajęło wiele czasu, zanim party przekształciło się w coś, czego wszyscy długo będziemy żałowali. Do kwadrans po dziewiątej byłem jedynym, który nadal potrafił utrzymać postawę pionową. Większość gliniarzy obozowała przy fontannie w ponurej płataninie gwałtownie zginających się łokci. Angel bez krewnych leżał pod stołem i słodko spał z uśmiechem na twarzy. Nie miał spodni i ktoś wygolił mu łysy pas na środku głowy.

Wszystko jest w normie, pomyślałem i uznałem, że to idealny czas, żeby się wymknąć i zobaczyć, czy przybył już sierżant Doakes. Jak się jednak okazało, byłem w błędzie. Ledwie zrobiłem dwa kroki w stronę drzwi, gdy coś bardzo

ciężkiego rzuciło mi się na plecy. Szybko się odwróciłem i stwierdziłem, że to Camilla Figg próbuje się na mnie uwiesić.

- Cześć - powiedziała z bardzo radosnym, choć trochę rozmazanym uśmiechem.

- Witaj - odparłem radośnie. - Mogę ci przynieść drinka?

Zmarszczyła brwi.

- Nie potrzebuję drinka. Po prostu chciałam powiedzieć: cześć. - Nachmurzyła się jeszcze bardziej. - Jezusie, ale ty jesteś słodziutki - oznajmiła. - Zawsze chciałam ci to powiedzieć.

Hm, biedactwo było najwyraźniej pijane, ale nawet mimo to... Słodziutki? Ja? Myślę, że nadmiar alkoholu może zamącić obraz, ale darujcie, co może być słodziutkiego w kimś, kto chętniej rozpruły wam brzuchy, niż podał rękę? W każdym razie, z jedną Ritą przekroczyłem już swój limit na kobiety. Jeśli dobrze pamiętałem, nie wymienialiśmy z Camillą więcej niż trzy słowa podczas spotkań. Nigdy wcześniej nie wspomniała o mojej domniemanej słodyczy. Raczej mnie unikała, wolała się czerwienić i odwracać wzrok niż powiedzieć zwyczajne dzień dobry. A teraz prawie mnie gwałciła. Czy to ma sens?

W każdym razie nie miałem czasu na odszyfrowywanie ludzkich zachowań.

- Dziękuję bardzo - odparłem, próbując zdjąć Camillę z siebie i nie spowodować poważnych obrażeń u żadnego z nas. Zaciśnęła ręce wokół mojej szyi. Próbowałem je rozerwać, ale przyczepiła się jak rzep.

- Myślę, że przydałoby ci się trochę świeżego powietrza, Camillo - powiedziałem z nadzieją, że zrozumie aluzję i pójdzie na tylne podwórko. Tymczasem ona przyłgnęła jeszcze bardziej, rozgniatając twarz na mojej twarzy, podczas gdy ja rozpaczliwie się cofałem.

- Tutaj zaczerpnę świeżego powietrza - oświadczyła. Wydeła wargi i dopóty mnie popychała, dopóki nie potknąłem się o krzesło i mało się nie przewróciłem.

- Ach... zechcesz może usiąść? - zapytałem z nadzieją.

- Nie - odparła, przyciągając mnie do swojej twarzy z siłą dwakroć większą niż jej ciężar. - Chcę się pieprzyć.

- Hm, cóż - zająknąłem się pokonany szokującą beczelnością i bezsensem tego, co się działo. Czy wszystkie kobiety rodzaju ludzkiego są szalone? Nie mam tu na myśli, że mężczyźni są cokolwiek lepsi. Przyjęcie, które rozgrywało się wokół mnie, wyglądało, jakby zaaranżował je Hieronim Bosch, a Camilla gotowa była zaciągnąć mnie za fontannę z ponczem, gdzie niewątpliwie czekała zgraja z ptasimi dziobami, żeby pomóc jej mnie zniewolić. Dotarło do mnie jednak, że mam doskonałą wymówkę, aby uniknąć zniewolenia.

- Wiesz, mam się żenić. - Trudno było to wyznać, ale świetnie nadawało się na taką chwilę.

- Drań - mruknęła. - Piękny drań. - Nagle zwiotczała, a jej ramiona zsunęły się z mojej szyi. Ledwie udało mi się ją złapać i nie dopuścić, żeby upadła na podłogę.

- Piękny drań - powtórzyła i zamknęła oczy.

Zawsze miło się dowiedzieć, że koledzy z pracy mają o nas dobre zdanie, ale ta romantyczna przygoda zajęła mi parę dobrych minut i naprawdę już musiałem wyjść przed dom, żeby sprawdzić, czy jest sierżant Doakes. Zostawiłem więc Camillę jej słodkim snom pośród mokrych marzeń o miłości i znów ruszyłem ku drzwiom.

I tym razem zostałem zatrzymany. Vince osobiście chwycił mnie za biceps i odciągnął od drzwi z powrotem w sam środek surrealizmu.

- Hej! - zajodłował. - Hej, chłopaczku! Dokąd to się wybierasz?

- Chyba zostawiłem kluczyki w samochodzie - powiedziałem, próbując uwolnić się od jego śmiertelnego uścisku. Ale on tylko poprawił chwyt.

- Nie, nie, nie - zaprotestował, ciągnąc mnie ku fontannie. - To twoje przyjęcie i nigdzie nie pójdziesz.

- To cudowne party, Vince. Ale ja naprawdę muszę...

- Pij - rzekł, podstawiając kubek pod fontannę. Pchnął go w moją stronę i zachlapał mi koszulę. - Tego właśnie potrzebujesz. Banzai! - Uniósł wysoko własny kubek, a potem go osuszył. Na szczęście, drink wywołał u niego napad kaszlu i kiedy zgiął się wpół, łapiąc powietrze, udało mi się wymknąć.

Wyszedłem już z domu i byłem w połowie podjazdu, zanim pojawił się w drzwiach.

- Hej! - ryknął do mnie. - Nie możesz jeszcze wychodzić, striptizerki przybywają!

- Zaraz przyjdę z powrotem! - zawołałem. - Zrób mi jeszcze jednego drinka!

- Jasne! - powiedział ze sztucznym uśmiechem. - Ha! Banzai! - I wrócił na party, radośnie wymachując rękami. Odwróciłem się, żeby poszukać Doakesa.

Jak do tej pory, gdziekolwiek bym był, od tak dawna parkowałem po drugiej stronie ulicy, że powinienem natychmiast go zauważyć, ale nie zauważyłem. Kiedy wreszcie spostrzegłem znajomego rdzawoczerwonego taurusa, zrozumiałem, jak sprytną sztuczką się posłużył. Zatrzymał się w górze ulicy, pod wielkim drzewem, które przesłaniało światła latarni. Coś takiego mógł zrobić człowiek, który próbował się ukryć, ale jednocześnie dawałoby to doktorowi Danco poczucie, że może podkraść się niezauważenie.

Podszedłem do samochodu, a kiedy się zbliżyłem, szyba zjechała w dół.

- Jeszcze go tu nie ma - oświadczył Doakes.

- Miałeś wstąpić na drinka - powiedziałem.

- Nie piję.

- Najwyraźniej nie chodzisz na przyjęcia, bo inaczej wiedziałbyś, że nie można w nich uczestniczyć, jednocześnie siedząc w wozie po przeciwnej stronie ulicy.

Sierżant Doakes nic nie odpowiedział, ale okno podniosło się, potem otworzyły się drzwi i wysiadł.

- Co zamierzasz zrobić, gdyby przyszedł teraz? - zapytał.

- Liczyłbym na to, że uratuje mnie wdzięk osobisty - odparłem. - Teraz chodź, wejdziemy, póki jest tam jeszcze ktoś trzeźwy.

Razem przeszliśmy ulicę i choć nie trzymaliśmy się za ręce, w tych okolicznościach wyglądało to tak dziwacznie, że z powodzeniem mogliśmy to robić. W połowie drogi, zza rogu, wyjechał samochód i zbliżył się do nas. Chciałem uciec i zanurkować w szpaler oleandrów, ale ponieważ byłem bardzo dumny ze swojej żelaznej samokontroli, ledwie raczyłem się obejrzeć, żeby spojrzeć na nadjeżdżający pojazd. Toczył się powoli i razem z Doakesem zdążyliśmy już zejść z jezdni, kiedy się z nami zrównał.

Doakes odwrócił się, żeby przyjrzeć się samochodowi. Ja też to zrobiłem. Patrzył na nas rząd pięciu ponurych twarzy nastolatków. Jeden z nich odwrócił głowę i powiedział coś, na co pozostali się roześmiali. Samochód pojechał dalej.

- Lepiej wejdźmy - zaproponowałem. Wyglądali groźnie.

Doakes nie odpowiedział. Popatrzył, jak samochód zakręca przy końcu uliczki, i dopiero potem ruszył w stronę domu Vince'a. Poszedłem za nim i zdążyłem go dopędzić na czas, żeby otworzyć przed nim drzwi.

Byłem na zewnątrz tylko kilka minut, a tymczasem liczba ofiar zdążyła imponująco wzrosnąć. Dwóch gliniarzy przy fontannie leżało na podłodze, a jeden z uciekinierów z South

Beach wymiotował do pojemnika, w którym kilka minut temu była sałatka. Muzyka grzmiała jeszcze głośniejsze, a z kuchni dobiegł mnie krzyk Vince'a wrzeszczącego banzai! wsparty nierównym chórkim innych głosów.

- Porzuć wszelką nadzieję - powiedziałem do sierżanta Doakesa, a on wymamrotał coś, co brzmiało jak „zwariowane skurwysyny”. Pokręcił głową i poszedł dalej.

Doakes nie pił i nie tańczył. Znalazł kącik niezajęty przez żadne nieprzytomne ciało i tylko stał. Wyglądał jak Ponury Kosiarz z przeceny na zabawie korporacji studenckiej. Zastanawiałem się, czy nie pomóc mu w zrozumieniu ducha imprezy. Może powinienem wysłać Camillę Figg, żeby go uwiodła.

Patrzyłem, jak dobry sierżant stoi w kącie i rozgląda się, i zastanawiałem się, co myśli. To była rozkoszna metafora: Doakes stoi samotnie i w milczeniu w kącie, a ludzkie życie szaleje buntowniczo wokół niego. Prawdopodobnie poczułbym, jak wrze we mnie gejzer sympatii do niego, gdybym tylko umiał odczuwać sympatię. Wydawało się, że cała impreza nie ma na niego w ogóle wpływu. Nie zareagował nawet, kiedy dwoje z bandy South Beach przebiegło obok niego nago. Jego oczy spoczęły na najbliższym monitorze, na którym przedstawiano raczej zaskakujące i oryginalne sceny z udziałem zwierząt. Doakes popatrzył na to bez zainteresowania i jakichkolwiek emocji; po prostu spojrzął, potem przeniósł wzrok na gliniarzy leżących na podłodze, Angela pod stołem i Vince'a wyprowadzającego taneczny korowód z kuchni. Jego wzrok powędrował ku mnie. Przyglądał mi się z takim samym brakiem wyrazu. Przeszedł przez pokój i stanął przede mną.

- Jak długo musimy zostać? - zapytał.

Uśmiechnąłem się do niego tak ładnie, jak tylko umiałem.

- Trochę tego za dużo, prawda? Cała ta radość i zabawa; musi cię to denerwować.

- Mam ochotę umyć ręce. Zaczekam na zewnątrz.

- Czy to aby na pewno dobry pomysł?

Zwrócił głowę w stronę korowodu Vince'a, który runął na podłogę w spazmach wesołości.

- Czy aby na pewno? - powtórzył. I oczywiście miał rację, chociaż w kategorii czystego, śmiertelnego bólu i przerażenia korowód na podłodze nie mógł doprawdy konkurować z doktorem Danco. Niemniej, jak sądzę, należało brać pod uwagę ludzką godność, jeśli ona naprawdę gdzieś istnieje. Bo teraz, kiedy popatrzyło się na pokój, wydawało się, że to niemożliwe.

Drzwi otworzyły się na oścież. Razem z Doakesem odwróciliśmy się, żeby zobaczyć, co się dzieje, skoncentrowani do granic możliwości i dobrze, że byliśmy przygotowani na niebezpieczeństwo, bo inaczej moglibyśmy zostać zaskoczeni przez dwie półnagie kobiety niosące odtwarzacz.

- Co słyszać? - zawołały. Odpowiedział im nierówny, piskliwy okrzyk „Uaaaaa!” ze strony korowodu leżącego na podłodze. Vince wygramolił się spod stosu ciał i chwiejnie stanął na nogach.

- Cześć! - krzyknął - Hej, ludzie! Przyszły striptizerki! Banzai! - Rozległo się jeszcze głośniejsze „Uaaaaa!” i jeden z gliniarzy z podłogi z trudem uniósł się na kolana. Gapił się, utrzymując chwiejną równowagę. Wymamrotał jedno słowo:

- Striptizerki...

Doakes rozejrzał się po pokoju, potem spojrzał na mnie.

- Będę na dworze - stwierdził i odwrócił się do drzwi.

- Doakes - powiedziałem. Uważałem, że to naprawdę nie jest dobry pomysł. Ale nie zdążyłem zrobić za nim nawet jednego kroku, kiedy wpadłem w pułapkę.

- Mam cię! - ryknął Vince, obejmując mnie niezdarnym, niedźwiedzim uściskiem.

- Vince, puść mnie - poprosiłem.

- Nie ma mowy - wybełkotał. - Hej, słuchajcie! Pomóżcie mi z wstydliwym narzeczonym! - Wśród leżących na podłodze uczestników korowodu zrobił się rejwach, do którego dołączył ostatni trzymający się na nogach gliniarz przy fontannie, i nagle znalazłem się w centrum tłumu takiego, jakie spotyka się na koncertach rockowych pod estradą. Nacisk ciał poniósł mnie w stronę krzesła, na którym zemdląła Camilla Figg, a teraz stoczyła się na podłogę. Walczyłem, żeby się wyrwać, ale byłem bez szans. Było ich zbyt wielu i zatankowali sok rakietowy produkcji Vince'a. Nie mogłem nic zrobić. Tylko patrzyłem, jak sierżant Doakes, rzucając ostatnie gniewne spojrzenie pełne kipiącej lawy, wychodzi przez drzwi i rozplywa się w nocy.

Posadzili mnie na krześle i stanęli wokół, w ciasnym półkolu. Stało się jasne, że nigdzie się nie wyrwę. Miałem nadzieję, że Doakes jest tak dobry, jak myślał, bo przez dłuższy czas będzie się teraz musiał zdać tylko na siebie.

Muzyka ustała, a ja usłyszałem znajomy dźwięk, który sprawił, że zjeżyły mi się włoski na ramionach: był to grzechot taśmy izolacyjnej rozwijanej z bębna, moje ulubione preludium do Concerto na Ostrze Noża. Ktoś przytrzymał mnie za ramiona, a Vince opasał mnie trzema wielkimi pętłami taśmy, unieruchamiając na krześle. Nie była na tyle ciasna, żeby mnie powstrzymać, ale spowolniłaby mnie z pewnością wystarczająco, żeby tłumek zdążył mnie dopaść.

- W porządeczku! - zawołał Vince, a jedna ze striptizerek włączyła odtwarzacz i przedstawienie się zaczęło. Pierwsza striptizerka, ponura czarna kobieta, zaczęła się wic przede mną, zdejmując kilka niepotrzebnych fragmentów odzieży. Kiedy była prawie naga, usiadła mi na kolanach

i zaczęła lizać mnie w ucho, jednocześnie kręcąc tyłkiem. Potem siłą wepchnęła moją głowę między swoje piersi, wygięła plecy i odskoczyła do tyłu, a druga striptizerka, kobieta o azjatyckich rysach i blond włosach, podeszła, żeby powtórzyć całą procedurę. Kiedy wiała mi się na kolanach, dołączyła do niej ta pierwsza i usiadły razem, każda na jednym kolanie. Potem nachyliły się tak, że ich piersi ocierały się o moją twarz i zaczęły się całować.

W tym momencie drogi Vince przyniósł im po wielkiej szklance swojego morderczego ponczu, a one wypily, nadal wierząc się rytmicznie. Jedna z nich zamruczała:

- Uch. Dobry poncz. - Nie wiem, która to powiedziała, ale obie zdawały się co do tego zgodne. Teraz zaczęły się więc znacznie intensywniej, a tłumek wokół mnie wył, jakby dostał wściekliczny podczas pełni księżyca. Oczywiście, pole widzenia miałem nieco przesłonięte dwiema parami bardzo wielkich i nienaturalnie twardych piersi, ale przynajmniej wyglądało na to, że wszyscy poza mną doskonale się bawią.

Czasem można się zastanawiać, czy naszym wszechświatem nie rządzi jakaś zła siła o zбочonym poczuciu humoru. Wiem wystarczająco dużo o samcach rodzaju ludzkiego, żeby domyślać się, że większość z nich z radością pozbyłaby się paru zbędnych części ciała, by znaleźć się w moim położeniu. A jednak, ja sam myślałem o tym, że byłbym równie zadowolony, gdybym mógł oddać jedną, dwie kończyny, żeby wydostać się z tego krzesła i znaleźć z dala od dwóch wijących się kobiet. Oczywiście, wolałbym, żeby to była cudza część ciała, ale z radością przyjąłbym takie poświęcenie.

Nie ma sprawiedliwości; dwie striptizerki siedziały mi na kolanach, podskakiwały w rytm muzyki, pociły się na moją piękną koszulę i nawzajem na siebie, a wokół nas szalała zabawa. Po tym, wydawało się, wiecznym pobycie w czystcu, przerwany tylko przez Vince'a, który przyniósł

dwa nowe drinki, obie wijące się kobiety wreszcie zeszły mi z kolan i zaczęły tańczyć wśród tłumku. Dotykały twarzy, popijały drinki uczestników zabawy i od czasu do czasu łąpały ich za krocza. Wykorzystałem chwilę rozproszenia, żeby oswobodzić ręce i zdjąć taśmę izolacyjną. Dopiero wtedy zauważyłem, że nikt nie zwraca uwagi na Dextera z Dołeczkiem w Brodzie, teoretycznie Człowieka Wieczoru. Szybki rzut oka powiedział mi dlaczego: wszyscy w pokoju stali w ciasnym kręgu, patrząc na tańczące striptizerki, teraz już całkowicie nagie, lśniące od potu i rozlanych drinków. Vince wyglądał jak postać z kreskówki, kiedy tak stał z oczami prawie na zewnątrz głowy, ale znalazł się w dobrej kompanii. Wszyscy, jeszcze przytomni, przybrali podobną pozę. Gapili się bez tchu, kołysząc się lekko na boki. Mógłbym przetoczyć się przez pokój w ognistym kole i nikt nie zwróciłby na mnie uwagi.

Wstałem, ostrożnie okrążyłem tłum i wymknąłem się za drzwi. Myślałem, że sierżant Doakes będzie czekał gdzieś blisko domu, ale nigdzie go nie dostrzegłem. Przeszedłem przez ulicę i zajrzałem do jego samochodu. Był pusty. Rozejrzałem się po ulicy - to samo. Nie było po nim śladu.

Sierżant Doakes zniknął.

Jest wiele aspektów ludzkiej egzystencji, których nigdy nie zrozumieję, i nie chodzi mi o rozumienie w sensie intelektualnym. Mam na myśli brak umiejętności wczuwania się w czyjąś sytuację oraz odczuwania emocji. Nie uważam tego za wielką stratę, ale sprawia to, że wiele obszarów zwyczajnych ludzkich doświadczeń pozostaje poza zasięgiem mojego zrozumienia.

Niemniej jest jedno niezwykle powszechne ludzkie doświadczenie, które mocno odczuwam, a jest nim pokusa. I kiedy patrzyłem na pustą ulicę przed domem Vince'a Masuoki i dochodziło do mojej świadomości, że doktor Danco jakoś podszedł i porwał Doakesa, poczułem, jak zalewa mnie ona oszłamiającymi, niemal duszącymi falami. Byłem wolny. Ta myśl obskakiwała mnie i boksowała z elegancką i całkowicie uzasadnioną prostotą. Najłatwiej w świecie mógłbym po prostu odejść. Niech Doakes połączy się po latach z doktorem, rano złożę raport i będę udawał, że za dużo wypięłem - w końcu uczestniczyłem w przyjęciu zaręczynowym! - i nie bardzo wiedziałem, co stało się z naszym dobrym sierżantem. I kto temu zaprzeczy? Z pewnością nikt w środku nie mógłby powiedzieć z całą pewnością, że przez cały czas nie oglądałem z nimi fotoplastykonu.

Doakes zniknął. Poniosło go na wieki w finalne opary odciętych kończyn i szaleństwa. I nigdy już nie zaświeci u moich mrocznych drzwi. Wolność dla Dextera, wolność pozostawiania mną i niczego w tym celu nie musiałem robić. Nawet ja mogłem sobie z tym uczuciem poradzić.

Dlaczego więc nie odejść? A jeśli o tym mowa, to dlaczego nie zrobić dłuższego spaceru do Kokosowego Gaju, gdzie pewien fotograf dzieci nazbyt już długo czekał na wyrazy zainteresowania z mojej strony. Takie to proste, takie bezpieczne - dlaczego więc nie? Doskonała noc na mroczną rozkosz z powściągliwym fotografem, a księżyc prawie w pełni, a maleńki, brakujący brzeżek dodaje całości swobody i prywatności. Nagłące szepty wyraziły zgodę, wznosząc się do natarczywego chóru.

Wszystko było na miejscu. Czas, cel i prawie cały księżyc, i nawet alibi, a presja narastała od tak dawna, że mógłbym zamknąć oczy i pozwolić, żeby to stało się samo, przejść przez to szczęśliwe wydarzenie z autopilotem. A wtedy znów ta słodka ulga, poświęta maślanych, sflaczałych mięśni, szczęśliwy, niezakłócony sen, pierwszy od tak dawna. A rano, wypoczęty i odprężony powiedziałbym Deborah...

Och. Deborah. To było to, prawda?

Powiedziałbym Deborah, że wykorzystałem niespodziewaną okazję, którą dawała mi niedoakesowa pora, i rzuciłem się dzielnie w mroki z Potrzebą i Nożem, kiedy ostatnie palce jej chłopaka trafiały na kupę śmieci? Jakoś, mimo nawet moich wewnętrznych cheerleaderek twierdzących, że wszystko będzie w porządku, nie sądzę, żeby to zaakceptowała. Mogłoby to sprawić, że w moich stosunkach z siostrą pojawiłoby się coś ostatecznego, pomyłka w osądzie, może i niewielka, ale ona by jej nie darowała i chociaż nie jestem zdolny do uczuć i prawdziwej miłości, naprawdę chcę, żeby Debs czuła się ze mną względnie szczęśliwa.

I tak oto znów musiałem się zdać na cnotliwą cierpliwość i poddać się poczuciu od dawna cierpianej prawości. Posępny Służbisty Dexter. „To nadejdzie”, mówiłem mojemu drugiemu ja. „Wcześniej czy później nadejdzie. Musi nadejść; nie będzie czekać w nieskończoność, ale najpierw obowiązek”.

Oczywiście, było trochę zrzędzenia, bo to nie nadchodziło już od dawna, ale ułagodziłem pomruki, stuknąłem raz w przęty radosnym okrzykiem i wyjąłem telefon komórkowy.

Wystukałem numer, który dał mi Doakes. Po chwili odezwał się sygnał, a potem nic, tylko słabe syknięcie. Wstukałem długi kod dostępu, usłyszałem trzask, a potem neutralny kobiecy głos powiedział.

- Numer. - Podałem głosowi numer komórki Doakesa. Zapadła cisza, potem głos odczytał jakieś koordynaty. W pośpiechu zapisałem je w notatniku. Głos umilkł, potem dodał:

- Porusza się na zachód, dziewięćdziesiąt pięć kilometrów na godzinę. - Połączenie się urwało.

Nigdy nie twierdziłem, że jestem doświadczonym nawigatorem, ale mam mały zestaw GPS, z którego korzystam na łodzi. Jest przydatny do oznaczania dobrych łowisk. Udało mi się więc wprowadzić koordynaty bez tłuczenia się w głowę i powodowania eksplozji. Zestaw, który dał mi Doakes, był nowocześniejszy niż mój i miał mapę na ekranie. Koordynaty na mapie wskazały międzystanową Siedemdziesiątą Piątą, biegnącą do Alei Aligatorów, korytarza na zachodnie wybrzeże Florydy.

Byłem trochę zaskoczony. Większa część terytorium pomiędzy Miami a Naples to Everglades, bagno upstrzone małymi łatkami półsuchego łądu. Pełno tam węży, aligatorów i kasyn indiańskich i nie wyglądało to na miejsce, gdzie można odprężyć się i czerpać radość ze spokojnego ćwiartowania. Ale GPS nie mógł kłamać, podobnie jak głos w telefonie. Jeśli koordynaty były fałszywe, to tylko z winy Doakesa i wtedy, tak czy siak, był stracony. Nie miałem wyboru. Czułem się trochę winny, że opuszczam przyjęcie, nie dziękując gospodarzowi, ale wsiadłem do samochodu i pojechałem na I-75.

W kilka minut znalazłem się na międzystanowej, potem szybko skręciłem na północ, do I-75. Kiedy zmierza się Siedemdziesiątą Piątą na zachód, miasto stopniowo rzednieje. Potem jest ostatnia szaleńcza eksplozja centrów handlowych i domów mieszkalnych przed punktem pobierania opłat za jazdę Aleją Aligatorów. Obok punktu zatrzymałem się i znów wystukałem tamten numer. Ten sam neutralny kobiecy głos podał mi współrzędne i połączenie się urwało. Pomyślałem, że już się zatrzymali.

Według mapy sierżant Doakes i doktor Danco spoczęli teraz wygodnie pośrodku nieoznaczonej na mapie wodnej głuszy jakieś sześćdziesiąt pięć kilometrów przede mną. Nie wiedziałem, jak to jest z Danco, ale uznałem, że Doakes nie będzie dobrze unosił się na powierzchni. Może GPS kłamał? Tak czy siak musiałem coś zrobić, wróciłem więc na szosę, zapłaciłem i pojechałem dalej na zachód.

W miejscu równoległym do wskazania GPS na prawo odchodziła mała droga dojazdowa. W mroku była prawie niewidoczna, szczególnie że jechałem z szybkością powyżej stu dziesięciu kilometrów na godzinę. Ale kiedy zobaczyłem, jak przemyka obok, zahamowałem na poboczu i cofnąłem się, żeby na nią zerknąć. Była to jednopasmowa droga gruntowa biegnąca najpierw po rozchwierutany mostku, a potem prosto, jak strzała w ciemności Everglades. W reflektorach przejeżdżających samochodów widziałem ją tylko na pięćdziesiąt metrów i właściwie nie było tam niczego do oglądania. Kępka wysokich po kolana chwastów rosnących pośrodku drogi między dwiema głębokimi koleinami i grupa niskich drzew przy drodze, na skraju ciemności. To było wszystko.

Pomyślałem, że należałoby wysiąść i poszukać jakichś śladów, ale dotarło do mnie, jaki byłem głupi. Czy mi się wydawało, że jestem Tonto, wierny indiański przewodnik?

Nie potrafiłbym spojrzeć na zgiętą gałązkę i powiedzieć, ilu białych przejeżdżało tędy przed godziną. A może posłuszny, ale nie genialny mózg Dextera wyobrażał go sobie jako Sherlocka Holmesa, zdolnego do zbadania śladów kół i wydedukowania, że leworęczny garbus o rudych włosach, utykając na jedną nogę, szedł tą drogą z kubańskim cygarem i ukulele? Nie znalazłbym żadnych śladów, chociaż to nie miało znaczenia. Smutna prawda była taka, że albo to tutaj, albo zostałem załatwiony na całą noc, a sierżant Doakes na znacznie dłużej.

Tylko, żeby się upewnić - a przynajmniej pozbyć się poczucia winy - znów wywołałem ściśle tajny numer telefonu, który podał mi Doakes. Głos podał mi te same koordynaty i się rozłączył. Gdziekolwiek byli, nadal znajdowali się tutaj, przy tej ciemnej wiejskiej drodze.

Najwyraźniej nie miałem wyboru. Obowiązek wzywał i Dexter musiał odpowiedzieć na zew. Ostro zakręciłem kierownicą i zjechałem na drogę.

Według GPS miałem jakieś dziewięć kilometrów do przejechania, zanim dojadę do tego, co na mnie czeka. Włączyłem światła mijania i jechałem powoli, skrupulatnie przyglądając się drodze. To sprawiło, że miałem mnóstwo czasu na myślenie, co nie zawsze jest dobre. Zastanawiałem się nad tym, co znajdę na końcu drogi i co zrobię, jak tam dotrę. I chociaż to nie najlepszy czas na wyciąganie takich wniosków, zdałem sobie sprawę, że jeśli nawet na końcu drogi znajdę doktora Danco, nie będę wiedział, co z tym fantem zrobić. „Przyjeżdżasz po mnie” - powiedział Doakes i brzmiało to dość prosto, chyba że jechało się w głąb Everglades, w ciemną noc z podkładką do notatek zamiast broni. A doktorowi Danco najwyraźniej nie sprawiło wiele kłopotu uporanie się z innymi, których dopadł, mimo że byli to twardzi, dobrze uzbrojeni

goście. I jak biedny, bezradny Potulny Dexter pokrzyżuje mu plany, skoro Potężny Dexter tak szybko zasnął?

I co zrobię, kiedy mnie złapie? Nie byłby ze mnie dobry jodłujący kartofel. Nie sądziłem też, żebym mógł zwariować, gdyż większość autorytetów powiedziałyby, że to stało się już dawno. A może jednak oklapnę i bełkocząc, odejdę od zmysłów, żeby przenieść się do krainy wiecznego wrzasku? A może, ze względu na to, kim jestem, pozostanę świadom tego, co się ze mną dzieje? I wtedy pozostanie Ja, kochane Ja, przytroczone do stołu, krytycznie analizujące technikę ćwiartowania? Gdybym znał odpowiedź, wiedziałbym znacznie więcej o tym, kim jestem, ale pomyślałem, że aż tak bardzo mi na niej nie zależy. Sama myśl sprawiła, że niemal doznałem prawdziwego uczucia, ale nie z rodzaju tych pożądanых.

Noc zapadła wokół mnie, ale to nie było dobre. Dexter to chłopak z miasta przyzwyczajony do jaskrawych świateł, które dają mroczne cienie. Im dalej posuwałem się drogą, tym ciemniej się robiło, a im ciemniej się robiło, tym bardziej cała sprawa zaczynała wyglądać na beznadziejną, samobójczą eskapadę. Ta sytuacja najwyraźniej wymagała plutonu marines, a nie przypadkowego maniaka komputerowego z laboratorium kryminalistycznego wydziału zabójstw. Za kogo ja się uważałem? Za sir Dextera Śmiałego, galopującego na ratunek? Co mógłbym ewentualnie zrobić? Jeśli już o to chodzi, to co można w ogóle było zrobić, chyba tylko się pomodlić.

Oczywiście, nie modlę się. Do czego ktoś taki, jak ja miałby się modlić i czy To chciałoby mnie wysłuchać? A jeślibym znalazł Coś, czymkolwiek by było, jak To powstrzymałoby się od śmiechu albo od ciśnięcia piorunu prosto w moje gardło? Byłoby wielkim pocieszeniem, gdyby można powierzyć się jakiejś wyższej sile, ale oczywiście ja znałem tylko jedną wyższą siłę. I mimo że była zdecydowana, szybka i mądra, i bardzo

dobra w cichych podchodach po nocy, to czy nawet sam Mroczny Pasażer wystarczy?

Według zestawu GPS znajdowałem się o jakieś czterysta metrów od sierżanta Doakesa, a przynajmniej od jego telefonu komórkowego. Wtedy właśnie dotarłem do bramy. Była to jedna z tych szerokich aluminiowych bram, używanych na farmach mlecznych, żeby krowy się nie rozłaziły. Ale to nie była farma mleczna. Tabliczka na bramie głosiła:

Farma aligatorów Blalock. Intruzi zostaną zjedzeni.

To bardzo dobre miejsce na farmę aligatorów, co niekoniecznie sprawiało, że było to właśnie miejsce, w którym chciałbym przebywać. Ze wstydem przyznaję, że chociaż całe życie spędziłem w Miami, wiem bardzo niewiele na temat farm aligatorów. Czy te zwierzęta włóczą się swobodnie po swoich wodnistych pastwiskach, czy są może trzymane gdzieś w zagrodzie? A w tym momencie było to bardzo ważne pytanie. Czy aligatory widzą w ciemności? I czy zazwyczaj są głodne? Same dobre, istotne pytania.

Wyłączyłem reflektory, zatrzymałem wóz i wysiadłem. W nagłej ciszy słyszałem szum silnika, bzyczenie moskitów, a w oddali muzykę dobiegającą z małego głośnika. Jakby kubańską. Możliwe, że Tito Puente.

Doktor był u siebie.

Podszedłem do bramy. Droga po jej drugiej stronie nadal biegła prosto, do starego drewnianego mostu, a potem zagłębiała się w zagajnik. Przez gałęzie widziałem światło. Nie dostrzegłem aligatorów wygrzewających się w świetle księżyca.

Hm, Dexter, no to się zaczyna. Na co masz ochotę dziś wieczór? W tej chwili dom Rity nie wydawał się takim złym miejscem. Szczególnie w porównaniu z tą dziczą w nocy. Po drugiej stronie bramy znajdowali się maniackalny wiwisekjonista, hordy drapieźnych gadów i człowiek, którego

miałem uratować, mimo że chciał mnie zabić. A w tym narożniku, w czarnych spodenkach, Potężny Dexter.

Coś mi się zdaje, że ostatnio bardzo często zadaję to pytanie, ale dlaczego to zawsze ja? Naprawdę. Ja, a nie kto inny, spośród wszystkich ludzi idę, żeby popisać się dzielnością i uratować sierżanta Doakesa. Hej? Czy w tym obrazku naprawdę wszystko się zgadza? Na przykład fakt, że ja w nim występuję?

Mniejsza o to, byłem tam i powinienem przecież jakoś sobie z tym poradzić. Przelazłem przez bramę i poszedłem w stronę światła.

Zwyczajne odgłosy nocy zaczęły powracać, po kilka naraz. Przynajmniej ja tak założyłem, że są zwyczajne, jak na pierwotną, dziką dżunglę. Były mlaski i pomruki oraz brzęczenie naszych przyjaciół owadów, a także żalobny krzyk, który – miałem ogromną nadzieję – wydawała jakaś sowa; byle mała, proszę. Coś zagrzecotało w poszyciu po mojej prawej stronie, a potem kompletnie ucichło. Na szczęście dla mnie, zamiast denerwować się i bać, jak na istotę ludzką przystało, zacząłem przechodzić na tryb nocnego łowcy. Dźwięki zrobiły się cichsze, ruchy wokół mnie powolniejsze, a wszystkie moje zmysły ożyły. Ciemność nieco pojaśniała, w pole widzenia nagle wskoczyły szczegóły nocnego krajobrazu, a powolny, zimny, ostrożny chichot zaczął narastać tuż pod powierzchnią mojej świadomości. Czy biedny, nierozumiany Dexter wychodził z siebie i stawał na głowie? Potem pozwolił Pasażerowi przejąć kierownicę. On będzie wiedział, co zrobić i zrobi to.

A dlaczego nie? Za mostem, na końcu drogi czekał na nas doktor Danco. Od dawna chciałem się z nim spotkać i teraz to nastąpi. Harry zaaprobowałby wszystko, co z nim zrobię, nawet Doakes musiałby przyznać, że Danco kara się należy – prawdopodobnie podziękuje mi za to. To mnie oszołomiło, tym

razem miałem przyzwolenie. A nawet lepiej: dostrzegłem w tym poezję. Od tak dawna Doakes trzymał mojego dzina zamkniętego w butelce. Będzie w tym doza sprawiedliwości, jeśli przychodząc sierżantowi na ratunek, wypuszczę Pasażera na wolność. A ja go uratuję, na pewno mi się uda. A potem...

Ale najpierw.

Przeszedłem przez drewniany most. W połowie drogi zatrzeszczała deska, a ja zamarłem na moment. Odgłosy nocy zmieniły się, a z przodu słyszałem, jak Tito Puente powiedział „Aaaach, uch!”, zanim wrócił do śpiewu. Ruszyłem naprzód.

Po drugiej stronie mostu droga rozszerzała się do rozmiarów parkingu. Po lewej stronie stał płot z siatki, a na wprost mały, jednopiętrowy budynek. W oknie dostrzegłem światło. Domek był stary, podniszczony i domagał się malowania, ale może doktor Danco nie zwracał zbytniej uwagi na pozory. Po prawej stronie, nad kanałem, gnął w cichości kurnik. Kawałki dachu z liści palmy zwisały z niego jak postrzępione, stare ubranie. Do rozwalonego pomostu wystającego w kanał była przycumowana łódź latająca.

Wśliznąłem się w cień rzucany przez rząd drzew i poczułem, jak zimna pewność siebie drapieżnika przejmuje kontrolę nad moimi zmysłami. Ostrożnie, z lewej strony, wzdłuż płotu, okrążyłem parking. Coś warknęło i wpadło z pluskiem do wody, ale było po tamtej stronie siatki, zignorowałem to więc i poszedłem dalej. Mroczny Pasażer kierował, a jego takie rzeczy nie były w stanie zatrzymać.

Ogrodzenie kończyło się pod kątem prostym i odchodziło od domu. Pozostał ostatni kawałek pustki, nie dłuższy niż piętnaście metrów i ostatnia kępa drzew. Podeszedłem do ostatniego drzewa, żeby móc dobrze i długo przyjrzeć się domowi, ale kiedy zatrzymałem się i położyłem rękę na pniu, coś trzasnęło i zatrzepotało w gałęziach nad moją głową,

a po nocy rozległ się koszmarnie głośno wywrzeszczany hejnał. Odskokczyłem, kiedy to coś spadło przez listowie na ziemię.

Stałem naprzeciwko mnie, nadal wydając dźwięki przypominające zwariowaną, hałaśliwą trąbę. To był wielki ptak, większy od indyka, a z tego, jak syczał i pohukiwał, wywnioskowałem, że jest na mnie rozzłoszczony. Zrobił krok do przodu, zamiatając ziemię wielkim ogonem. Wtedy zdałem sobie sprawę, że to paw. Zwierzęta mnie nie lubią, ale ten musiał żywić do mnie skrajną i gwałtowną nienawiść. Nie rozumiał zapewne, że jestem znacznie większy i niebezpieczniejszy od niego. Miał chyba zamiar mnie zjeść albo przegonić, a ponieważ chciałem, żeby ten ohydny miauczący wrzask ustał jak najszybciej, zadowolilem ptaka, wycofując się z godnością wzdłuż siatki do cienia przy moście. Kiedy już bezpiecznie stałem w cichej kałuży mroku, odwróciłem się, żeby popatrzeć na dom.

Muzyka ustała, a światło zgasło.

Stałem w ciemnościach jak skamieniały przez kilka minut. Nic się nie działo, tyle że paw przestał wrzeszczeć i z ostatnim złośliwym pomrukiem pod moim adresem podfrunął z powrotem na drzewo. Wróciły odgłosy nocy, cykanie i bzyczenie owadów oraz parskanie i pluski aligatorów. Ale nie było już Tito Puente. Wiedziałem, że doktor Danco patrzył i nasłuchiwał tak jak ja, że obaj czekaliśmy, aż ten drugi wykona jakiś ruch. Ja jednak nie mogłem dłużej czekać. On nie miał pojęcia, co mogło czaić się w ciemnościach – czy pluton policji do zadań specjalnych, czy studenckie towarzystwo śpiewacze – a ja wiedziałem, że tam jest tylko on. Ja wiedziałem, gdzie on jest, a on nie wiedział, czy ktoś zaczął się na dachu albo czy domek jest otoczony. Musiał więc zrobić coś pierwszy, a wybór był tylko jeden. Albo zaatakuję, albo...

Z drugiej strony domu rozległ się niespodziewany ryk silnika i kiedy nieświadomie napiąłem mięśnie, łódź latająca oderwała

się od pomostu. Silnik zawył na wyższych obrotach i łódź popędziła kanałem. W niecałą minutę znikła za zakrętem i rozplynęła się w ciemnościach, a wraz z nią ulotnił się doktor Danco.

Przez kilka minut tylko stałem i obserwowałem dom, trochę dlatego że jestem ostrożny. Właściwie to nie widziałem, kto kierował łodzią, a istniała możliwość, że doktor nadal czai się w środku i czeka, żeby zobaczyć, co się stanie. I żeby być uczciwym, nie miałem też życzenia, żeby znowu zaatakowały mnie jakieś jarmarczne kurczaki-drapieżniki.

Ale po kilku minutach, kiedy nic się nie działo, zrozumiałem, że powinienem wejść do środka i się rozejrzeć. A zatem, okrążając z daleka drzewo, na którym siedział złowrogi ptak, zbliżyłem się do domu.

W środku było ciemno, ale nie było cicho. Stałem na zewnątrz, przed pogiętymi drzwiami z siatki, które wychodziły na parking. Usłyszałem coś jakby ciche miotanie się dochodzące z wnętrza. Po nim nastąpiło rytmiczne chrząkanie i co jakiś czas kwilenie. Takich dźwięków nie wydaje ktoś, kto czai się w śmiercionośnej pułapce. Na odwrót, były to raczej odgłosy wydawane przez kogoś związanego, kto próbował uciec. Czyżby doktor Danco musiał tak szybko uciekać, że zostawił sierżanta Doakesa?

I znów stwierdziłem, że piwnice mojego mózgu zalewa ekstatyczna pokusa. Sierżant Doakes, moja Nemezis, związany wewnątrz, opakowany jak prezent i dostarczony mi w niezwykle sprzyjających okolicznościach. Wszystkie narzędzia i zapasy, których mógłbym potrzebować, wokół całej kilometry pustkowia - kiedy bym skończył, mógłbym powiedzieć: „Przepraszam, przybyłem za późno. Patrzcie, co ten okropny doktor Danco zrobił biednemu, staremu

sierzantowi Doakesowi". Pomysł był upojny i chyba chwiałem się trochę, kiedy go smakowałem. Oczywiście, to była tylko myśl i z pewnością nigdy bym czegoś podobnego nie zrobił, prawda? Prawda, że nie? Dexter? Hejże! Dlaczego się ślinisz, drogi chłopcze?

Z pewnością nie, nie ja. Przecież byłem drogowskazem moralnym na duchowej pustyni południowej Florydy. I to prawie zawsze. Trzymałem się prosto, golilem dokładnie i galopowałem na Czarnym Rumaku. Sir Dexter Cnotliwy spieszący na ratunek. A przynajmniej z nadzieją, że uda mu się zdążyć. Chyba jakoś tak, jeśli wszystko rozważyć. Otworzyłem drzwi i wszedłem.

Wewnątrz natychmiast rozpląsałem się przy ścianie, jedynie z ostrożności i zacząłem szukać włącznika światła. Znalazłem go po prawej stronie, tam gdzie powinien się znajdować, i pstryknąłem.

Podobnie jak pierwsze gniazdo nieprawości doktora Danco, pomieszczenie było skąpo umeblowane. I znów głównym akcentem okazał się wielki stół pośrodku pokoju. Na przeciwległej ścianie wisiało lustro. Po prawej stronie otwór bez drzwi prowadził do czegoś, co wyglądało jak kuchnia, a po lewej były zamknięte drzwi wiodące prawdopodobnie do sypialni albo łazienki. Dokładnie na wprost mnie znajdowały się drugie drzwi z siatki prowadzące na zewnątrz. Prawdopodobnie tędy wiodła trasa ucieczki doktora Danco.

A na stole, szamocąc się teraz gwałtowniej, leżało coś ubranego w jasnopomarańczowy kombinezon. Wyglądało mniej więcej na formę ludzką, nawet z drugiego końca pokoju.

- Tutaj, proszę, pomóż mi, pomóż mi - mówiło, podszedłem więc i uklęknałem obok.

Ręce i nogi miał związane oczywiście taśmą izolacyjną. Tak zrobiłby każdy doświadczony, wytrawny potwór. Przeciąłem

taśmę i zbadałem go. Słyszałem, ale puszczałem mimo uszu jego nieustanne szlochanie.

- Och, dzięki Bogu, och proszę, och Boże, uwolnij mnie, koleś, spiesz się, spiesz się na litość Boską. Och, Chryste, co tak długo? Jezu, dziękuję, wiedziałem, że przyjdiesz... - Czy jakoś tak. Czaszkę miał kompletnie ogoloną, nawet brwi. Ale ten męski podbródek i ozdabiające twarz blizny nie pozostawiały wątpliwości. To był Kyle Chutsky.

Przynajmniej jego większa część.

Kiedy taśmy opadły i Chutsky był w stanie przyjąć pozycję siedzącą, okazało się, że brakuje mu lewego ramienia do łokcia i prawej nogi do kolana. Kikuty zostały obandażowane czystą, białą gazą, przez którą nic nie przeciekało; znów bardzo ładna robota, chociaż nie sądzę, żeby Chutsky docenił staranność, z jaką Danco odjął mu rękę i nogę. Nie było też jasne, ile umysłu mu ubyło, chociaż jego ciągle, wilgotne biadolenie nie przekonywało mnie, że byłby gotów zasiąść za sterami pasażerskiego odrzutowca.

- O Boże, koleś - powiedział. - O Jezu. O, dzięki Bogu, że przyszedłeś. - Oparł głowę na moim ramieniu i zaszlochał. Ponieważ ostatnio miałem z czymś takim trochę do czynienia, wiedziałem, co zrobić. Poklepałem go po plecach i pocieszałem:

- No, już dobrze. - Było to jeszcze bardziej dziwaczne, niż kiedy pocieszałem Deborah, bo przez cały czas objął mnie kikutem lewej ręki, a to znacznie utrudniało mi udawanie współczucia.

Napad płaczu trwał tylko chwilę i Chutsky wreszcie się ode mnie odkleił, żeby z trudem się wyprostować. Moja piękna hawajska koszula była cała przemoczona. Pociągnął głośno nosem, trochę za późno dla mojej koszuli.

- Gdzie jest Debbie? - zapytał.

- Złamała sobie obojczyk - poinformowałem. - Jest w szpitalu.

- Och - rzekł i znów pociągnął nosem. Był to długi, mokry dźwięk, który zdawał się odbijać echem gdzieś, w jego wnętrzu. Potem szybko się obejrzał i spróbował stanąć.

- Lepiej stąd chodźmy. On może wrócić.

Nie wpadło mi do głowy, że Danco może wrócić, ale było to możliwe. To uświęcona tradycją sztuczka drapieżników, żeby uciec, zrobić nawrót i sprawdzić, kto obwąchuje ich tropy. Jeśli Danco to zrobi, znajdzie dwa łatwe cele.

- W porządku - uspokoilem Chutsky'ego. - Niech się trochę rozejrzę.

Wyciągnął rękę - prawą, oczywiście - i złapał mnie za ramię.

- Proszę - powiedział. - Nie zostawiaj mnie.

- To zajmie tylko chwilę - odparłem, próbując się wyrwać. Ale on wzmocnił uścisk, który nadal był zaskakująco silny, jeśli uwzględnić przez co przeszedł.

- Proszę - powtórzył. - Przynajmniej daj mi swój pistolet.

- Nie mam pistoletu - powiedziałem, a jemu oczy zrobiły się wielkie.

- O Boże, co się tobie, do diabła, wydaje? Chryste, musimy się stąd wydostać. - W jego głosie słychać było panikę, jakby w każdej chwili znów miał wybuchnąć płaczem.

- W porządku - zgodziłem się. - Spróbujemy postawić cię hm, na nogi. - Miałem nadzieję, że nie zauważył mojej gafy, nie chciałem wyjść na nieczułego drania, ale ten brak kończył sprawiał, że trzeba było zredefiniować całe słownictwo. Chutsky nic nie powiedział, tylko wyciągnął ramię. Pomogłem mu wstać, a on oparł się o stół.

- Daj mi tylko kilka sekund, żebym mógł sprawdzić pozostałe pokoje - poprosiłem. Popatrzył na mnie wilgotnym, błagalnym wzrokiem, ale nic nie powiedział, a ja pospiesznie przeszedłem się po domku.

W dużym pokoju, gdzie był Chutsky, nie znalazłem nic ciekawego poza narzędziami doktora Danco. Miał kilka bardzo ładnych instrumentów do cięcia i po starannym rozważeniu implikacji etycznych, wziąłem sobie najładniejszy z nich, piękne ostrze zaprojektowane do przecinania najbardziej włóknistych mięśni. Było tam kilka rzędów pojemników z prochami; ich nazwy niewiele mi powiedziały, nie licząc kilku butelek z barbituranami. Nie znalazłem żadnych wskazówek ani pogiętych pudełek po zapałkach z zapisanymi numerami telefonów, ani chusteczek higienicznych. W ogóle nic.

Kuchnia była w istocie duplikatem kuchni z pierwszego domu. Stały w niej mała, poobijana lodówka, kuchenka elektryczna i stół z jednym składanym krzesłem. Na blacie leżało opróżnione do połowy pudełko z fistaszki, a wielki karaluch przeżuwał w nim orzeszka. Popatrzył na mnie, jakbym mu go chciał wyrwać, zostawiłem go więc.

Wróciłem do dużego pokoju, Chutsky nadal leżał na stole.

- Pospiesz się - popędzał mnie. - Na litość boską, chodźmy.

- Jeszcze jeden pokój - powiedziałem. Przeszedłem przez pomieszczenie i otworzyłem drzwi naprzeciwko kuchni. Tak, jak się spodziewałem, była to sypialnia. W rogu stała prycza, a na niej leżał stos ubrań i telefon komórkowy. Koszula wyglądała znajomo i domyśliłem się, skąd się tu wzięła. Wyciągnąłem własną komórkę i wystukałem numer sierżanta Doakesa. Telefon na stosie ubrań zaczął dzwonić.

- Hm, cóż - mruknąłem. Rozłączyłem się i poszedłem po Chutsky'ego.

Był tam, gdzie go zostawiłem, chociaż miał taką minę, jakby chciał uciec w każdej chwili, gdyby tylko mógł.

- Chodźmy, na Boga, pospieszmy się - ponaglał. - Jezu, ja już czuję jego oddech na karku. - Odwrócił głowę w stronę tylnych drzwi, potem w stronę kuchni i kiedy sięgnąłem,

żeby go podeprzeć, odwrócił się, a jego wzrok trafił na lustro zwisające ze ściany.

Przez dłuższą chwilę przyglądał się własnemu odbiciu, a potem zapadł się w siebie, jakby wyjęto z niego wszystkie kości.

- Jezu - jęknął. - O Jezu.

- No, dalej - powiedziałem. - Idziemy.

Chutsky zadygotał i pokręcił głową.

- Nie mogłem nawet się ruszać, tylko leżałem i nasłuchiwałem, co robił z Frankiem. Był taki uszczęśliwiony... „Jak myślisz, co to będzie? Nie wiesz? No dobrze, zatem... ramię”. A potem odgłos piły i...

- Chutsky. - Chciałem mu przerwać.

- A kiedy mnie tutaj położył, powiedział „siedem” i „jak myślisz, co to będzie?” A potem...

To zawsze interesujące posłuchać o technikach, z których korzystają inni, ale wyglądało na to, że Chutsky straci resztki panowania nad sobą, a ja nie chciałem, żeby wycierał nos o moją koszulę. Podszedłem więc bliżej i złapałem go za całe ramię.

- Chutsky. Idziemy. Wynosimy się stąd.

Popatrzył na mnie szeroko otwartymi oczami, jakby nie wiedział, gdzie jest, i odwrócił się w stronę lustra.

- O Jezu - powtórzył. Potem nierówno zaczerpnął tchu i wstał, jakby odpowiadał na sygnał wymaganej trąbki.

- Nie jest tak źle - powiedział. - Żyję.

- Owszem, żyjesz - odparłem. - A jeśli stąd wyjdziemy, to obaj będziemy żyli.

- Zgadza się. - Zdecydowanym ruchem odwrócił głowę od lustra i założył mi zdrową rękę na bark. - Idziemy.

Chutsky najwyraźniej nie miał wiele doświadczenia w chodzeniu na jednej nodze, ale sapał, ciężko tupał

i jednak szedł, opierając się na mnie między jednym a drugim susem. Mimo brakujących części nadal był wielkim mężczyzną. I było mi z nim ciężko. Tuż przed mostkiem zatrzymał się na chwilę i spojrzał za płot z siatki.

- Tam wyrzucił moją nogę. - Aligatorom. Postarał się, żebym to widział. Podniósł ją wysoko, żebym zobaczył, a potem rzucił i woda zaczęła wrzeć jak... - Usłyszałem w jego głosie wznoszącą się nutkę hysterii, ale on też ją usłyszał i przestał. Drżąc, zaczerpnął tchu i odezwał się twardszym już głosem: - W porządku. Zabierajmy się stąd.

Dotarliśmy do bramy, nie czyniąc po drodze kolejnych wycieczek po ścieżkach pamięci, i Chutsky oparł się o siatkę, kiedy ja otwierałem wrota. Potem pomogłem mu dojść do fotela dla pasażera, usiadłem za kierownicą i włączyłem silnik. Kiedy zaświeciły reflektory, Chutsky położył się na oparciu i zamknął oczy.

- Dzięki, koleś - rzekł. - Należy ci się chwała. Dziękuję.

- Proszę bardzo - odparłem, zwróciłem wóz i pojechałem z powrotem do Alei Aligatorów. Myślałem, że Chutsky zasnął, ale w połowie wiejskiej drogi zaczął mówić.

- Cieszę się, że twojej siostry tu nie było - powiedział. - Gdyby mnie zobaczyła w takim stanie... Słuchaj, ja naprawdę muszę zebrać się do kupy zanim... - urwał nagle i przez pół minuty nic nie mówił. Trzęśliśmy się na drodze w milczeniu. Cisza stanowiła miłą odmianę. Zastanawiałem się, gdzie jest Doakes i co robi. Myślałem też o Reikerze i o tym, kiedy zabiorę go w jakieś spokojne miejsce, gdzie będę mógł oddać się kontemplacji i spokojnej pracy. Zastanawiałem się, ile kosztowałby wynajem farmy aligatorów Blalock.

- Może to dobry pomysł, żebym już więcej się z nią nie spotykał - powiedział nagle Chutsky i musiała minąć chwila, zanim zorientowałem się, że mówi o Deborah. -

Nie będzie chciała mieć ze mną nic wspólnego, skoro jestem w takim stanie, a mnie nie jest potrzebna niczyja litość.

- Nie ma się czym martwić - zapewniłem. - Deborah nie zna litości.

- Powiedz jej, że ze mną wszystko w porządku i że wróciłem do Waszyngtonu - poprosił. - Tak będzie lepiej.

- Może dla ciebie będzie lepiej - odparłem. - Ale ona mnie zabije.

- Nie rozumiesz - rzekł.

- Nie, to ty nie rozumiesz. Powiedziała, żebym cię przywiózł. Jest zdecydowana na wszystko, a ja nie śmiem jej nie posłuchać. Bije bardzo mocno.

Przez chwilę milczał. Potem usłyszałem, że ciężko wzdycha.

- Po prostu nie wiem, czy sobie z tym poradzę - powiedział.

- Mogę cię zawieźć z powrotem na farmę aligatorów - zaproponowałem radośnie.

Po tym, co usłyszał, już nic nie mówił, a ja wjechałem w Aleję Aligatorów, zawróciłem i ruszyłem w stronę pomarańczowej poświaty na horyzoncie, którą było Miami.

Jechaliśmy w milczeniu do pierwszych oznak cywilizacji – osiedla i rzędu sklepów po prawej stronie, kilka kilometrów za punktem uiszczania opłat za korzystanie z autostrady. Potem Chutsky wyprostował się i zaczął patrzeć na światła i budynki.

- Muszę zatelefonować – oznajmił.

- Możesz skorzystać z mojego telefonu, jeśli zapłacisz za roaming – powiedziałem.

- Potrzebny mi telefon stacjonarny – odparł. - Automat wrzutowy.

- Straciłeś kontakt z epoką – powiedziałem. - Trochę trudno będzie znaleźć automat wrzutowy. Nikt z nich nie korzysta.

- Zjedź tutaj – poprosił i chociaż nie przybliżyło mnie to do zasłużonego nocnego wypoczynku, zjechałem z rampy. Półtora kilometra dalej znaleźliśmy minicentrum handlowe, w którym nadal był automat wrzutowy zawieszony na ścianie przy wejściu. Pomogłem Chutsky'emu dotrzeć susami do telefonu. Oparł się o osłonę aparatu i podniósł słuchawkę. Spojrzał na mnie i powiedział:

- Zaczekaj tam. - Było to chyba trochę zbyt władcze jak na kogoś, kto nie mógł nawet chodzić bez pomocy, ale wróciłem do samochodu i usiadłem na masce, kiedy Chutsky sobie gaworzył.

Obok mnie zatrzymał się stary buick. Grupa niskich, ciemnoskórych mężczyzn w brudnych ubraniach wysiadła z niego i poszła w kierunku sklepu. Gapili się na Chutsky'ego stojącego na jednej nodze z ogoloną głową, ale byli zbyt uprzejmi, żeby to skomentować. Weszli, a szklane drzwi

zasunęły się za nimi. Poczułem ciężar całego dnia; byłem zmęczony, mięśnie miałem zeszywniałe i nie udało mi się niczego upolować. Czułem się parszywie, chciałem wrócić do domu i położyć się do łóżka.

Zastanawiałem się, dokąd doktor Danco zabrał Doakesa. Nie było to takie ważne, ot, zwyczajna ciekawość. Ale kiedy myślałem, że w istocie musiał go gdzieś zabrać i wkrótce zacznie z sierżantem wyprawiać rzeczy, które będą miały nieodwracalne skutki, zrozumiałem, że to pierwsza dobra wiadomość, jaka dotarła do mnie od dłuższego czasu, i poczułem, jak po całym moim ciele rozchodzi się miłe ciepło. Ja byłem wolny. Doakes zniknął. Kawałek po kawałku opuszczał moje życie, uwalniając mnie od niechcianej pańszczyzny na kanapie Rity. Znów mogłem żyć.

- Hej, koleś! - zawołał Chutsky. Pomachał do mnie kikutem ramienia. Wstałem i podszedłem do niego. - W porządku - powiedział. - Jedziemy.

- Oczywiście - rzekłem. - Ale dokąd?

Popatrzył w dal, a ja zauważyłem, jak napinają mu się mięśnie twarzy. Lampy parkingu oświetlały jego kombinezon i odbijały się od głowy. To zadziwiające jak inaczej wygląda twarz, kiedy zgoli się brwi. Jest w niej coś dziwnego, jak w makijażu do niskobudżetowego filmu SF. A Chutsky, chociaż przybrał pozę upartego twardziela, wpatrując się z zaciśniętymi zębami w horyzont, wyglądał raczej, jakby czekał na mrozący krew w żyłach rozkaz od Minga Bezlitosnego. Powiedział jednak tylko:

- Zawieź mnie do hotelu, koleś. Mam robotę.

- A może szpital? - zapytałem, sądząc, że raczej nie uda mu się wyciąć laski z twardego drewna cisowego i pokuśtykać szlakiem. Ale on pokręcił głową.

- Ze mną wszystko w porządku - zapewnił. - Będzie dobrze.

Popatrzyłem wymownie na dwie łaty białej gazy, gdzie wcześniej znajdowały się jego przedramię i podudzie, i uniosłem brwi. W końcu rany były dość świeże i należałoby zmienić bandażę, a przynajmniej Chutsky musiał czuć się bardzo słabo.

Spojrzał na swoje kikuty i trochę go wzięło, bo jakby zmałał odrobinę.

- Będzie dobrze - powtórzył i ponownie się wyprostował. - Jedziemy.

Był tak zmęczony i smutny, że pozostało mi powiedzieć jedynie:

- W porządku.

Wsparty na moim ramieniu dotarł skokami do drzwi od strony fotela dla pasażera. Kiedy pomagałem mu usiąść, załoga ze starego buicka wyszła ze sklepu, niosąc piwo i krążki wieprzowe. Kierowca uśmiechnął się i skinął w moją stronę głową. Odwzajemniłem uśmiech i zamknąłem drzwi.

- Crocodilios - powiedziałem, wskazując na Chutsky'ego.

- Ach - odparł kierowca. - Lo siento. - Usiadł za kierownicą swojego samochodu, a ja wsiadłem do swojego.

Chutsky nie miał nic do powiedzenia prawie przez całą drogę. Jednak zaraz po wjeździe na I-95 zaczął się strasznie trząść.

- O, cholera - zaklął, kiedy na niego spojrzałem. - Znieczulenie. Przestaje działać. - Zęby zaczęły mu dzwonić, zacisnął więc szczęki. Oddychał ze świstem, na łysej twarzy zaczął mu się zbierać pot.

- Może jednak zdecydujesz się na szpital? - zaproponowałem.

- Masz coś do picia? - zapytał, dość niespodziewanie zmieniając temat rozmowy.

- Z tyłu leży chyba butelka wody - powiedziałem, chcąc mu pomóc.

- Alkohol - rzekł. - Wódka albo whisky.

- Zazwyczaj nie wożę tego ze sobą - oświadczyłem.

- Cholera - powtórzył. - Po prostu zawieź mnie do hotelu.

Zrobiłem to. Z powodów znanych tylko jemu Chutsky zatrzymał się w Mutiny w Kokosowym Gaju. Był to jeden z najbardziej luksusowych hoteli w okolicy i kiedyś zatrzymywali się w nim modelki, dyrektorzy, handlarze narkotyków i inne sławne osobistości. Nadal był bardzo ładny, ale trochę stracił na uroku, kiedy w rustykalnym Gaju wyrosły luksusowe wieżowce. Może Chutsky znał to miejsce z czasów jego świetności i zatrzymał się tu z powodów sentymentalnych. Jeśli chodzi o mężczyznę, który nosił pierścionek z różowym oczkiem, to naprawdę można go podejrzewać o sentymentalizm.

Z Dziewięćdziesiątej Piątej zjechaliśmy na Dixie Highway i skręciliśmy w lewo, w Unity i dotoczyliśmy się do Bayshore. Mutiny stał trochę z przodu, na lewo. Podjechałem pod hotel.

- Wyrzuć mnie tutaj - powiedział Chutsky.

Popatrzyłem na niego. Być może znieczulenie poczyniło mu szkody w mózgu.

- Nie chcesz, żebym ci pomógł dojść do pokoju?

- Czuję się dobrze - stwierdził. Zabrzmiało to jak nowa mantra, ale on nie wyglądał dobrze. Mocno się pocił, a ja nie wyobrażałem sobie, jak dotrze do pokoju. Nie należę jednak do ludzi, którzy narzucają się z niechcianą pomocą, powiedziałem więc tylko:

- W porządku. - A potem patrzyłem, jak otwiera drzwi i wysiada. Trzymając się dachu wozu, stał niepewnie na jednej nodze przez minutę, zanim zobaczył go odźwierny. Zmarszczył się na widok pomarańczowego kombinezonu i lśniącej czaszki.

- Cześć, Benny - odezwał się Chutsky. - Pomóż mi, koleś.

- Pan Chutsky? - zapytał tamten ze zwątpieniem w głosie, a potem otworzył usta ze zdumienia, kiedy spostrzegł, że Chutsky'emu brakuje paru części.

- O Boże - powiedział. Trzy razy klasnął w ręce i z holu wypadł boy hotelowy.

Chutsky odwrócił się do mnie.

- Czuję się dobrze - zapewnił.

Doprawdy, kiedy nie jest się pożądanym w towarzystwie, nie pozostaje nic innego, jak je opuścić, co też uczyniłem. Widziałem jeszcze, jak Chutsky opiera się na odźwiernym, a boy hotelowy pcha w jego kierunku wózek inwalidzki.

Było jeszcze przed północą, kiedy pojechałem do domu, w co trudno było uwierzyć, jeśli wziąć pod uwagę wszystko, co wydarzyło się tego wieczoru. Miałem wrażenie, jakby przyjęcie u Vince'a odbyło się kilka tygodni temu, chociaż pewnie jeszcze nie odłączył fontanny z ponczem owocowym. Pomiędzy sądem bożym dokonany za pomocą striptizerek a uratowaniem Chutsky'ego z farmy aligatorów zasłużyłem na nocny wypoczynek i przyznaję, że prawie wyłącznie myślałem o wpełznięciu do łóżka i zarzuceniu kołdry na głowę.

Ale oczywiście nie ma spoczynku dla nikczemników, a takim z pewnością jestem. Kiedy skręciłem w lewo, w ulicę Douglasa, zadzwoniła komórka. Bardzo mało ludzi do mnie dzwoni, szczególnie o tak późnej porze. Spojrzałem na telefon; to była Deborah.

- Witaj, siostrzyczko kochana - powiedziałem.

- Ty dupku, obiecywałeś, że zadzwonisz! - odparła.

- Zdaje się, że jest dość późno - rzekłem.

- Czy ty, do cholery, myślisz, że ja naprawdę mogę spać?! - ryknęła wystarczająco głośno, żeby wywołać ból u ludzi w przejeżdżających obok samochodach. - Co się stało?

- Odzyskałem Chutsky'ego - powiedziałem. - Ale doktor Danco uciekł. Z Doakesem.

- Gdzie jest?

- Nie wiem, Debs. Uciekł łodzią latającą i...

- Kyle, ty idioto. Gdzie jest Kyle? Co z nim?

- Podrzuciłem go do Mutiny. Jest, hm... jest prawie cały.

- Co to ma znaczyć?! - wrzasnęła na mnie i musiałem przyłożyć telefon do drugiego ucha.

- Deborah, on wyzdrowieje. Tylko... stracił połowę lewej ręki i połowę prawej nogi. I wszystkie włosy - powiedziałem. Przez kilka sekund była cicho.

- Przywieź mi jakieś ubrania - poprosiła w końcu.

- On czuje się bardzo niepewnie, Debs. Nie sądzę, żeby chciał...

- Ubrania, Dexter. Natychmiast - zażądała i się rozłączyła.

Jak mówiłem: nie ma spoczynku dla nikczemników. Ciężko westchnąłem na tę niesprawiedliwość, ale zastosowałem się do jej polecenia. Byłem prawie pod domem, a Deborah zostawiła u mnie trochę swoich rzeczy. Wbiegłem więc, zatrzymałem się na chwilę, żeby tęsknie popatrzeć na łóżko, zabrałem dla niej ubranie i pojechałem do szpitala.

Deborah siedziała na brzegu łóżka i tupiała niecierpliwie, kiedy do niej wszedłem. Ręką wystającą z gipsu trzymała szpitalny szlafrok, a w drugiej ścisnęła pistolet i odznakę. Wyglądała jak mściwa furia po wypadku.

- Jezu Chryste, gdzieś ty był? Pomóż mi się ubrać. - Rzuciła szlafrok i wstała.

Naciągnąłem jej przez głowę bluzkę polo, układając ją niezręcznie na gipsie. Ledwie bluzka się ułożyła jako tako, kiedy do sali wpadła korpulentna kobieta w fartuchu pielęgniarki.

- Co wy tu wyprawiacie? - zapytała z ciężkim bahamskim akcentem.

- Wychodzimy - odparła Deborah.

- Niech pani wraca do łóżka, bo wezwę doktora - zagroziła pielęgniarka.

- Niech go pani wzywa - powiedziała Deborah, skacząc na jednej nodze, bo właśnie walczyła ze spodniami.

- Nie wyjdzie pani - upierała się pielęgniarka. - Niech pani wraca do łóżka.

Deborah podniosła odznakę.

- To pilna interwencja policji. Jeśli będzie mi pani przeszkadzać, mam prawo panią zatrzymać za utrudnianie czynności.

Pielęgniarka już chciała odpowiedzieć coś nieprzyjemnego, ale tylko otworzyła usta, popatrzyła na odznakę, na Deborah i zmieniła zdanie.

- Będę musiała powiadomić lekarza.

- Niech pani robi, co pani chce - zakończyła Deborah. - Dexter, pomóż mi zapiąć spodnie. - Pielęgniarka patrzyła z dezaprobatą jeszcze przez kilka sekund, potem odwróciła się i odeszła korytarzem.

- Doprawdy, Debs - zdumiałem się. - Utrudnianie czynności?

- Idziemy - rozkazała i wyszła za drzwi. Poszedłem posłusznie w jej ślady.

W drodze do Mutiny Deborah była na przemian spięta albo zła. Przygryzała dolną wargę i psioczyła na mnie, żebym się pospieszył, ale potem, kiedy byliśmy już bardzo blisko hotelu, zrobiła się bardzo cicha. Wreszcie wyjrzała przez okno i zapytała:

- Jak on wygląda, Dex? Czy jest bardzo źle?

- Ma bardzo brzydką fryzurę, Debs. Dziwaczna... Chyba się przyzwyczajają. Nie chce, żebyś się nad nim litowała. -

Popatrzyła na mnie, znów przygryzając wargę. – Tak powiedział – stwierdziłem. – Woli wrócić do Waszyngtonu niż zмагаć się z twoją litością.

– Nie chce być ciężarem – powiedziała. – Znam go. Lubi płacić za siebie. – Znów wyjrzała przez okno. – Nawet nie mogę sobie wyobrazić, jak tam było. Dla mężczyzny takiego, jak Kyle leżeć bezradnie jak... – Powoli pokręciła głową, a po policzku spłynęła jej jedna łza.

Prawdę mówiąc, mogłem sobie doskonale wyobrazić, jak to jest, bo przecież już tyle razy to robiłem. Jeśli miałem z czymś problem, to z nowym obliczem Deborah. Płakała na pogrzebie matki i ojca, ale to był, jeśli dobrze pamiętam, ostatni raz. A teraz zalewała mi samochód czymś, co wyglądało na zauroczenie prostackim facetem. Nawet gorzej, teraz był kalekim prostakiem, a to znaczyło, że osoba myśląca logicznie powinna przejść obok niego i poszukać sobie kogoś innego ze wszystkimi częściami na miejscu. Ale Deborah zdawała się jeszcze bardziej zainteresowana Chutskym teraz, kiedy został trwale uszkodzony. Czyżby to była miłość? Deborah zakochana? To nie wydawało się możliwe. Wiedziałem, oczywiście, że teoretycznie jest do tego zdolna, ale... hm, w końcu była moją siostrą.

Nie ma sensu się dziwić. Nic nie wiedziałem o miłości i nigdy się nie dowiem. Nie wydawało mi się to jakimś koszmarnym brakiem, chociaż sprawiało, że trudno było mi zrozumieć muzykę popularną.

Ponieważ nic więcej na ten temat nie mógłbym zapewne powiedzieć, zmieniłem temat.

– Czy mam zadzwonić do kapitana Matthews'a i powiedzieć mu, że Doakes zniknął? – zapytałem.

Deborah starła łzę z policzka koniuszkiem palca i pokręciła niepewnie głową.

– O tym zadecyduje Kyle – powiedziała.

- Tak, oczywiście, ale w tych okolicznościach...

Rąbnęła pięścią o swoje udo, co było równie bezsensowne, jak zapewne bolesne.

- Do cholery, Dexter, nie chcę go stracić!

Co jakiś czas czuję się, jakbym odbierał tylko jedną ścieżkę z zapisu stereo i teraz trafił mi się taki przypadek. Nie miałem pojęcia co... hm, żeby być uczciwym, powiem że nie miałem nawet pojęcia, jak można mieć o tym pojęcie. O co jej chodziło? Co to miało wspólnego z tym, co powiedziałem, i dlaczego tak gwałtownie zareagowała? I dlaczego tak często grube kobiety myślą, że do twarzy im w za krótkiej koszulce?

Wydaje mi się, że zmieszanie musiało się jakoś odbić na mojej twarzy, bo Deborah rozluźniła pięść i głęboko odetchnęła.

- Kyle musi się teraz skoncentrować na pracy. Albo to opanuje, albo to go wykończy.

- Skąd możesz wiedzieć?

Pokręciła głową.

- Zawsze był najlepszy w tym, co robił. W tym on jest... to jest cały on. Jeśli zacznie się zastanawiać, co mu zrobił Danco... - Przygryzła wargę i kolejna łza stoczyła się jej po policzku. - Musi zostać tym, kim jest, Dexterze. Albo go stracę.

- W porządku - powiedziałem.

- Nie mogę go stracić, Dexterze - powtórzyła.

W Mutiny miał zmianę inny odźwierny, ale chyba rozpoznał Deborah, bo skinął jej głową, otwierając drzwi. Poszliśmy w milczeniu do windy i pojechaliśmy na dwunaste piętro.

W Kokosowym Gaju przeżyłem całe życie, z egzaltowanych ogłoszeń gazetowych wiedziałem więc, że pokój Chutsky'ego został urządzony w brytyjskim stylu kolonialnym. Nigdy nie rozumiałem dlaczego, ale hotel zdecydował, że brytyjski

kolonialny doskonale wyraża atmosferę Kokosowego Gaju, chociaż nigdy tu nie było brytyjskiej kolonii. Cały hotel urządzono zatem brytyjsko i kolonialnie. Ale trudno mi uwierzyć, żeby dekorator wnętrz albo którykolwiek z kolonialnych Brytyjczyków byli w stanie wyobrazić sobie coś takiego jak Chutsky leżący bezwładnie na królewskich rozmiarów łożu w luksusowym apartamencie, do którego zaprowadziła mnie Deborah.

Przez ostatnią godzinę włosy mu nie odrosły, ale przynajmniej zmienił pomarańczowy kombinezon na biały szlafrok frotté i leżał oto na środku łoża roztrzęsiony, mocno spocony z opróżnioną do połowy butelką sky vodka u boku. Deborah nawet nie zwolniła w drzwiach. Rażno podeszła do łóżka i usiadła przy Kyle'u, biorąc go za jedyną rękę. Miłość wśród ruin.

- Debbie? - zapytał roztrzęsionym głosem starca.

- Jestem tutaj - odparła. - Śpij.

- Chyba nie jestem taki dobry, jak mi się wydawało - powiedział.

- Śpij - powtórzyła, trzymając go za rękę. Po czym ułożyła się obok niego.

Tak ich zostawiłem.

Następnego dnia spałem do późna. W końcu chyba na to zasłużyłem? I chociaż przyszedłem do pracy około dziesiątej, to i tak byłem sporo przed Vincem, Camillą czy Angelem bez krewnych, którzy zapewne śmiertelnie się rozchorowali. Godzinę i czterdzieści pięć minut później wreszcie pojawił się Vince. Był zielony i wyglądał bardzo staro.

- Vince! - przywitałem go radośnie, a on skrzywił się i oparł o ścianę zamykając oczy. - Chcę ci podziękować za naprawdę wspaniałe przyjęcie.

- Dziękuj ciszej - wychrypiał.

- Dziękuję - wyszeptalem.

- Ależ proszę - odpowiedział szeptem i pokuśtykał do swojego pokoiku.

Dzień był nadzwyczaj spokojny, przez co rozumiem, że oprócz braku nowych spraw w laboratorium było cicho jak w grobie i tylko od czasu do czasu jasnozielony duch przepływał obok w milczącym cierpieniu. Na szczęście miałem mało pracy. Do piątej zakończyłem papierkową robotę i ułożyłem wszystkie ołówki. W porze lunchu zadzwoniła Rita i zaprosiła mnie na obiad. Myślę, że chciała się upewnić, czy nie porwała mnie striptizerka, zgodziłem się więc przyjść do niej po pracy. Debs się nie odezwała, ale naprawdę nie musiała. Byłem całkowicie pewien, że spędzała czas z Chutskym, w jego luksusowym apartamencie. Trochę się jednak niepokoiłem, bo doktor Danco wiedział, gdzie ich znaleźć, i mógł przyjść, żeby zająć się swoim niedokończonym projektem. Z drugiej strony, ma sierżanta Doakesa do zabawy,

co powinno dać mu zajęcie i szczęście przez kilka następnych dni.

Niemniej, dla pewności, zadzwoniłem pod numer Deborah. Odpowiedziała po czwartym dzwonku.

- Co?

- Pamiętasz, że doktor Danco nie miał problemu z dostaniem się tam za pierwszym razem? - zapytałem.

- Mnie tu nie było za pierwszym razem - odparła. W jej głosie usłyszałem tyle wściekłości, że mogłem mieć tylko nadzieję, iż nie zastrzelili nikogo z obsługi.

- W porządku - wycofałem się. - Miej tylko oczy otwarte.

- Nie martw się - stwierdziła. Usłyszałem, jak w tle Chutsky mruczy coś zbzikowanego.

- Muszę iść. Zadzwonię później. - Rozłączyła się.

Wieczorny szczyt był w pełnym rozkwicie, kiedy jechałem na południe, do domu Rity. Mruczałem sobie wesolutko, kiedy facet o czerwonej twarzy, kierowca pikapa, zajechał mi drogę i pokazał palec. To nie było tylko zwyczajne uczucie przynależności, wynikające z uczestnictwa w zabójczym ruchu ulicznym Miami. Czułem się tak, jakby zdjęto mi z ramion ciężkie brzemię. I tak w istocie było. Jadę do Rity, a tam nie ma rdzawoczerwonego taurusa zaparkowanego po drugiej stronie ulicy. Mogę wrócić do mieszkania wolny od łażącego za mną wszędzie cienia. A co ważniejsze, mogę wziąć w obroty Mrocznego Pasażera i pobyć z nim, na co od tak dawna czekałem. Sierżanta Doakesa nie było, wypadł z mojego życia - a wkrótce, prawdopodobnie, wypadnie także ze swojego.

Czułem zawrót głowy, kiedy z South Dixie skręcałem w stronę domu Rity. Byłem wolny - także od zobowiązań, bo doprawdy zdziwiłbym się, gdyby Chutsky i Deborah nie chcieli dłuższą chwilę odpocząć, żeby odnowić siły. Jeśli chodzi o doktora Danco - prawda, miałem ochotę się z nim spotkać i nawet teraz zarezerwowałbym kilka chwil z mojego

burzliwego życia towarzyskiego, żeby spędzić z nim parę naprawdę miłych godzin. Miałem jednak pewność, że tajemnicza, waszyngtońska agencja Chutsky'ego przyśle kogoś innego, żeby zajął się doktorem, i na pewno nie będą chcieli, żebym się ich czepiał i narzucał z radami. Po skreśleniu tej możliwości, bez Doakesa w tle, wróciłem do planu A, żeby pomóc Reikerowi przejść na wcześniejszą emeryturę. Tym, komu przyjdzie się teraz zmagać z problemem doktora Danco, na pewno nie będzie Szczęśliwie Zdymisjonowany Dexter.

Czułem się tak szczęśliwy, że pocałowałem Ritę, kiedy otworzyła drzwi, mimo że nikt nie patrzył. A po kolacji, kiedy Rita sprzątała, poszedłem na tylne podwórko, żeby znów pokopać puszkę z dzieciakami z sąsiedztwa. Tym razem jednak, mała tajemnica, którą dzieliłem z Codym i Astor, dodawała temu zajęciu szczególnego smaczku. To było prawie śmieszne patrzeć, jak skradają się do innych dzieci podczas treningu moje własne drapieżniki.

Po pół godzinie podkradania się i naskakiwania okazało się jednak, że przewagę liczebną mają nad nami jeszcze skrytsi drapieżcy - moskity, parę miliardów obrzydliwych małych wampirów żarłocznych i głodnych. W końcu, osłabieni utratą krwi, Cody, Astor i ja pokuśtykaliśmy do domu i znów zasiedliśmy przy stole na sesję wisielca.

- Ja pierwsza - oznajmiła Astor. - Tak czy siak moja kolej.

- Moja - zaprotestował Cody, robiąc gniewną minę.

- Nie, nie. Ja coś mam - powiedziała. - Pięć liter.

- C - zgadywał Cody.

- Nie! Głowa! Ha! - zawyła triumfalnie i narysowała małą, okrągłą główkę.

- Najpierw powinienesz pytać o samogłoski - przypomniałem Cody'emu.

- Co? - zapytał cichutko.

- A, e, i, o, u lub y - wyjaśniła Astor. - Wszyscy to wiedzą.
- Czy tam jest e? - zapytałem ją i trochę jej mina zrzędła.
- Tak - odparła ponuro i napisała e pośrodku linijki.
- Ha - rzekł Cody.

Graliśmy prawie przez godzinę, aż przyszła pora wybierania się do łóżka. Mój magiczny wieczór trochę za szybko zbliżył się ku końcowi i znów znalazłem się na kanapie z Ritą. Ale tym razem, wolny od szpiegujących mnie oczu, bez trudu wyplątałem się z jej macek i pojechałem do domu, do mojego łóżeczka. Miałem dobrą wymówkę, że za ostro zabawiłem się u Vince'a wczoraj, a jutro mam mnóstwo pracy. A potem znalazłem się poza wszystkim, samotny w nocy, tylko moje echo, mój cień i ja. Do pełni pozostały dwie noce i sprawię, że będzie ona warta tak długiego wyczekiwania. Tę pełnię spędzę nie z millerem jasnym, ale z firmą Reiker. Fotografie. Za dwie noce wreszcie uwolnię Pasażera, wśliznę się w moje prawdziwe ja i rzucę splamiony potem kostium Kochanego Oddanego Dextera na kupę śmieci.

Oczywiście musiałem najpierw znaleźć dowód, ale byłem pewien, że mi się to uda. W końcu mam na to cały dzień, a kiedy pracuję razem z Mrocznym Pasażerem, wszystko pasuje do siebie jak ulał.

Przepełniony takimi radosnymi myślami o mrocznych rozkoszach dojechałem do mojego komfortowego mieszkanca i poszedłem do łóżka, żeby zasnąć głębokim, spokojnym snem sprawiedliwego.

Następnego dnia nadal byłem w chamsko radosnym nastroju. Kiedy po drodze do pracy zatrzymałem się, żeby kupić pączki, uległem impulsowi i nabyłem ich cały tuzin, w tym kilka z kremem i czekoladową polewą, co było naprawdę ekstrawaganckim gestem docenionym przez Vince'a, który wreszcie wrócił do zdrowia.

- Ojej - powiedział, unosząc brwi. - Dzielnie się spisałeś, o potężny łowco.

- Bogowie lasu uśmiechnęli się do nas - oznajmiłem.

- Z kremem czy z dżemem malinowym?

- Z kremem, oczywiście - odparłem.

Dzień minął szybko, z jedną tylko wycieczką na miejsce zabójstwa, rutynowe ćwiartowanie za pomocą sprzętu ogrodniczego. Całkowicie amatorska robota; ten idiota próbował użyć elektrycznej przycinarki do żywopłotów i udało mu się tylko dodać mi roboty. Potem wykończył żonę, używając do tego nożyc do przycinania pędów. Zostawił naprawdę niesmaczny bałagan i dobrze mu tak, że złapali go na lotnisku. Sprawnie przeprowadzone ćwiartowanie jest przede wszystkim eleganckie, a przynajmniej ja tak zawsze twierdziłem. Nie ma tych kałuż krwi ani zeschniętego mięsa na ścianach. Coś takiego, jak tutaj, wskazuje na kompletny brak klasy.

Skończyłem pracę na miejscu zabójstwa w samą porę, żeby jeszcze wrócić do mojego kochanego pokoiku przy laboratorium i zostawić notatki na biurku. Dokończę raport w poniedziałek, nie ma pośpiechu. Ani zabójca, ani ofiara nigdzie się nie wybierają.

I oto wyszedłem za drzwi, na parking, wsiadłem do samochodu i mogłem włóczyć się do woli. Nikt mnie nie będzie śledził ani poił piwem, ani zmuszał do robienia rzeczy, których wolałbym uniknąć. Nikogo, żeby poświecił niechcianym światłem w mrokach Dextera. Mogłem znów być sobą, Dexterem Spuszczonym z Łańcucha i oszołomiło mnie to znacznie bardziej niż całe to piwo i sympatia Rity. Już za długo żyłem w taki sposób i obiecałem sobie, że nigdy więcej nie uznam tego za coś niezmiennego.

Na rogu Douglasa i Grand palił się samochód, a mały, ale rozentuzjasmowany tłum zgromadził się, żeby popatrzeć.

Podzielałem ich dobry humor, jadąc do domu w korku spowodowanym przez wozy ratownicze.

W domu zamówiłem pizzę i sporządziłem kilka starannych notatek dotyczących Reikera: gdzie szukać dowodów, jakiego rodzaju wskazówki wystarczą - czerwone kowbojskie buty z pewnością byłyby dobre na początek. Byłem prawie pewien, że to on; pedofile drapieżcy znajdują sposób, żeby łączyć interesy z przyjemnością, a fotografie dzieci to doskonała ilustracja tej tezy. Ale „prawie” to za mało. Ułożyłem zatem myśli w elegancką teczkę - nic, co by mnie obciążało, zresztą i tak zniszczę to przed zabawą z Reikerem. Do poniedziałku rano nie pozostanie nawet ślad po tym, co zrobiłem, nie licząc nowego szkieleka w pudełku na półce. Spędziłem szczęśliwą godzinę, planując i jedząc wielką pizzę z anchois, a potem, kiedy prawie pełny księżyc zaczął pomrukiwać przez szybę, stałem się niespokojny. Czułem, jak głaszczą mnie lodowate palce księżycowego światła, jak łaskoczą mnie po kręgosłupie, wypędzają mnie w noc, bym napiął mięśnie drapieżnika, który zbyt długo już drzemał.

A czemu nie? Przecież nikomu nie stanie się krzywda, jeśli wymknę się w rozchichotany wieczór i zerknę ukradkiem tu i tam. Skradać się, patrzeć, samemu nie będąc widzianym, iść na kocich łapach po śladach zwierzyny - Reikera, wachać wiatr - będzie to zarówno roztropne, jak i zabawne. Mroczny Zwiadowca Dexter musi być przygotowany. Ponadto był to piątkowy wieczór. Reiker mógł z dużym prawdopodobieństwem wyjść z domu, żeby udzielać się towarzysko - jakaś wizyta w sklepie z zabawkami, na przykład. Jeśli go nie było w domu, mógłbym się tam zakraść i rozejrzeć.

Ubrałem się zatem w moje najlepsze czarne ciuchy nocnego tropiciela i wybrałem się na krótką przejażdżkę z domu, wzdłuż Main Highway, przez Grove do Tigertail Avenue, a potem do skromnego domku, w którym mieszkał Reiker. Była

to okolica zabudowana małymi domami z betonowych elementów, a jego dom niczym się nie wyróżniał, oddalony od jezdni w sam raz, żeby można było zbudować krótki podjazd. Na podjeździe stał jego samochód, mała, czerwona kia, co dodało mi nadziei. Czerwona jak buty; to jego kolor, znak, że jestem na dobrym tropie.

Dwa razy przejechałem obok domu. Za drugim razem światelko wewnątrz wozu Reikera było włączone, a ja zjawiłem się w porę, żeby zerknąć na jego twarz, kiedy wsiadał do samochodu. Ta twarz nie robiła wielkiego wrażenia: szczupła, niemal bez podbródka i częściowo ukryta pod równo przyciętą grzywką i okularami w szerokiej oprawie. Nie widziałem, co miał na nogach, ale z tego, co zobaczyłem, wynikało, że nosi kowbojskie buty, pewnie po to, żeby dodać sobie wzrostu. Wsiadł do samochodu i zamknął drzwi, a ja przejechałem obok i skręciłem w przecznice.

Kiedy znów zawróciłem, jego samochodu nie było. Zaparkowałem o kilka przecznic dalej, w małej, bocznej uliczce i wróciłem, powoli oblekając się po drodze w moją nocną skórę. Światła w domu sąsiadów były wyłączone, a ja ruszyłem przez podwórko. Za domem Reikera znajdował się mały domek dla gości, a Mroczny Pasażer wyszeptał mi w wewnętrzne ucho: „Studio”. To naprawdę doskonałe miejsce dla fotografa, gdzie można będzie zapewne znaleźć obciążające fotografie. Ponieważ Pasażer rzadko się myli, otworzyłem zamek i wszedłem.

Wszystkie okna zostały zasłonięte od wewnątrz deskami, ale w poświacie dochodzącej z uchylonych drzwi mogłem zobaczyć zarysy wyposażenia ciemni. Pasażer miał rację. Zamknąłem drzwi i pstryknąłem przełącznikiem. Ponure czerwone światło zalało pomieszczenie w sam raz tyle, żeby móc wszystko widzieć. Nad zlewem stały, jak to u fotografa, tace i butelki z chemikaliami, a po lewej

stronie było bardzo ładne stanowisko komputerowe ze sprzętem cyfrowym. Szafka na akta z czterema szufladami znajdowała się przy drugiej ścianie. Od niej postanowiłem zacząć.

Po dziesięciu minutach przerzucania zdjęć i negatywów nie znalazłem niczego bardziej obciążającego niż kilka tuzinów nagich niemowlaków upozowanych na białym futrze. Takie obrazki uważane są zazwyczaj za „słodziutki” nawet przez ludzi, którzy twierdzą, że kaznodzieja telewizyjny, Pat Robertson, jest zbyt liberalny. W szafce nie znalazłem żadnych schowków, nie widziałem też innego oczywistego miejsca, gdzie można by ukryć zdjęcia.

Czasu miałem coraz mniej; nie chciałem ryzykować, bo Reiker mógł przecież pojechać do sklepu, żeby kupić butelkę mleka. W każdej chwili mógł wrócić i postanowić pogrzebać w zdjęciach, żeby nacieszyć się widokiem dziesiątki milusich skrzatów, które uwiecznił na kliszy. Przeszedłem do komputera.

Obok monitora znajdował się stojak na płyty CD, przejrzałem je pojedynczo. Po garści dysków programowych i innych opisanych ręcznie jako: Greenfield albo Lopez znalazłem to, czego szukałem.

To było jaskrawą, różową szkatułką na klejnoty. Na wierzchu biegly bardzo staranne litery: Nambla 9/04.

Możliwe, że NAMBLA to bardzo rzadkie hiszpańskie imię, ale jest to także skrótowiec od North American Man/Boy Love Association (Północnoamerykańskie Stowarzyszenie Miłości Mężczyzn i Chłopców), ciepłej i kosmatej grupy wsparcia, która pomaga pedofilom osiągnąć pozytywne wyobrażenie o sobie, zapewniając ich, że to, co robią, jest całkowicie zgodne z naturą. Hm, oczywiście, że jest - tak samo jak kanibalizm i gwałt, ale doprawdy nie wolno.

Zabrałem CD, wyłączyłem światło i wymknąłem się w mrok.

W mieszkaniu zaledwie kilka minut zajęło mi odkrycie, że dysk był narzędziem komercji, prawdopodobnie zabieranym na jakieś zebrania NAMBLA w celu przedstawienia wybranej grupie wybrednych ogrów. Zdjęcia były uporządkowane w miniaturowe serie fotografii, prawie jak karty z obrazkami oglądane przez wiktoriańskich starych świntuchów. Każde zdjęcie było strategicznie nieostre tak, że pozostawiało pole wyobraźni, ale nie widziało się wszystkich detali.

I, och, tak: kilka zdjęć okazało się profesjonalnymi kadrami tych, które znalazłem na łodzi MacGregora. Chociaż nie znalazłem czerwonych kowbojskich butów, miałem dosyć dowodów, żeby zadośćuczynić kodeksowi Harry'ego. Reiker sporządził listę zapasową. Z pieśnią w sercu i uśmiechem na ustach potruchtałem do łóżka z radosnymi myślami o tym, co z Reikerem będziemy wyprawiali jutro wieczorem.

Następnego ranka, w sobotę, wstałem trochę później i poszedłem pobiegać po okolicy. Wziąłem prysznic, zjadłem solidne śniadanko i wyszedłem kupić kilka niezbędnych rzeczy - nową rolkę taśmy izolacyjnej, ostry jak brzytwa nóż do filetowania, tylko to, co najbardziej potrzebne. A ponieważ Mroczny Pasażer przeciągał się i gotował do akcji, zatrzymałem się w jadłodajni ze stekami na późny lunch. Zjadłem porządny stek nowojorski, oczywiście dobrze wysmażony, nie było w nim więc ani kropelki krwi. Potem znowu przejechałem się obok domu Reikera, żeby zobaczyć jego mieszkanie za dnia. Reiker we własnej osobie strzygł trawnik. Nosił stare trampki, a nie czerwone buty. Nie włożył koszuli, był bardzo wymizerowany, wyglądał anemicznie i blado. Nie szkodzi: wkrótce przydam mu trochę rumieńców.

Dzień okazał się bardzo satysfakcjonujący i produktywny, mój Dzień Przed. Siedziałem spokojnie w mieszkaniu otulony cnotliwymi myślami, kiedy zadzwonił telefon.

- Dobry wieczór - powiedziałem do słuchawki.

- Możesz tu przyjechać? - zapytała Deborah. - Musimy zakończyć pewną robotę.

- Jaką robotę?

- Nie bądź cymbałem - rzuciła. - Przyjeżdżaj. - I odłożyła słuchawkę. To było dość irytujące. Po pierwsze, nic nie wiem o jakiejś niedokończonej robocie, a po drugie, nie byłem świadom, że jestem cymbałem - potworem owszem, z pewnością, ale ogólnie rzecz biorąc, bardzo miłym i dobrze ułożonym potworem. A na domiar wszystkiego rozłączyła się w taki sposób, jakby założyła, że skoro ją usłyszałem, to zdrzę i okażę posłuszeństwo. Taki ma styl. Siostra czy nie, złośliwe kuksańce czy nie, ja nie drzę przed nikim.

Niemniej byłem posłuszny. Przejechanie krótkiego odcinka do Mutiny zajęło mi więcej czasu niż zazwyczaj, gdyż sobotnie popołudnie to okres, kiedy ulice w Zagajniku zalewają ludzie łąjący bez celu. Powoli lawirowałem w tłumie, żałując, że nie mogę po prostu wcisnąć pedału gazu i wbić się w wędrujące hordy. Deborah zepsuła mój doskonały nastrój.

Nie poprawiła go ani o jotę, kiedy zapukałem do apartamentu w Mutiny, a ona otworzyła drzwi z miną mówiącą: „Jestem na służbie w sytuacji kryzysowej”, tą która sprawia, że wygląda jak ryba w złym humorze.

- Właż - powiedziała.

- Tak, pani - odparłem.

Chutsky siedział na kanapie. Nadal nie wyglądał brytyjsko i kolonialnie - może to ten brak brwi - ale przynajmniej miał taką minę, jakby postanowił jednak żyć, najwyraźniej więc zadziałał projekt rekonstrukcji ułożony przez Deborah. Obok niego stało oparte o ścianę metalowe szczudło, a on popijał kawę. Talerz ciastek z owocami stał na stole obok niego.

- Hej, koleś! - zawołał, machając kikutem. - Łap za krzesło.

Wziąłem brytyjskie kolonialne krzesło i usiadłem, ale najpierw sprzątnąłem mu sprzed nosa parę ciastek. Chutsky poparzył na mnie, jakby chciał zaprotestować, ale doprawdy, przynajmniej to mogli dla mnie zrobić. W końcu brodziłem między mięsożernymi aligatorami, przeszedłem obok bojowego pawia, żeby go uratować, a teraz rezygnowałem z sobotniego, kto wie jak straszliwego mozołu. Należało mi się całe ciastko.

- W porządku - powiedział Chutsky. - Musimy odkryć kryjówkę Henkera i to szybko.

- Czyją? - spytałem. - Masz na myśli doktora Danco?

- Tak się nazywa. Henker - odparł. - Martin Henker.

- I my mamy go znaleźć? - zapytałem pełen koszmarnie złych przeczuć. Bo niby dlaczego patrzyli na mnie i mówili „my”?

Chutsky parsknął, jakby pomyślał, że żartuję i zrozumiał żart.

- Tak, zgadza się - powiedział. - A zatem, koleś, jak myślisz, gdzie on może być?

- Właściwie to w ogóle o tym nie myślę - odparłem.

- Dexter - odezwała się ostrzegawczym tonem Deborah.

Chutsky się nachmurzył. To bardzo dziwny wyraz twarzy, jeśli nie ma się brwi.

- Co chciałeś przez to powiedzieć? - zapytał.

- Tylko tyle, że to nie mój problem. Nie rozumiem dlaczego ja, a nawet my mielibyśmy go znaleźć. Dostał to, czego chciał; czy nie skończy i nie pojedzie do domu?

- Czy on żartuje? - Chutsky zapytał Deborah i gdyby miał brwi, toby je uniósł.

- On nie lubi Doakesa - wyjaśniła Deborah.

- W porządku, ale Doakes jest jednym z naszych chłopaków - zwrócił się do mnie Chutsky.

- Ale nie moich - odparłem.

Chutsky pokręcił głową.

- Zgoda, to twój problem - przyznał. - Ale i tak musimy znaleźć tego faceta. Ta sprawa ma podtekst polityczny i wpadniemy w gówno po uszy, jeśli go nie dorwiemy.

- Dobrze - rzekłem. - Ale dlaczego to jest mój problem? - Pytanie wydawało mi się bardzo racjonalne, ale gdybyście zobaczyli jego reakcję, pomyślelibyście, że chciałem odpalić bombę w szkole podstawowej.

- Jezu Chryste - jęknął i pokręcił głową, robiąc szyderczą minę. - Z tobą to dopiero trzeba się napracować, koleś.

- Dexter - powiedziała Deborah. - Popatrz na nas. - Popatrzyłem na Deb w gipsie i Chutsky'ego z bliźniaczymi kikutami. Uczciwie mówiąc, nie wyglądali nazbyt dziarsko. - Potrzebujemy twojej pomocy - rzekła.

- Ale Debs, doprawdy.

- Proszę, Dexter - powtórzyła, wiedząc doskonale, jak trudno jest mi jej odmówić, kiedy używa tego słowa.

- Debs, daj spokój - odparłem. - Wam potrzebny jest bohater akcji, ktoś, kto kopniakiem wywali drzwi i wpadnie z ziejącymi ogniem spluwami. Ja jestem tylko łagodnym laborantem kryminalistyki.

Przeszła przez pokój i stanęła kilka centymetrów przede mną.

- Wiem, kim jesteś, Dexter - powiedziała łagodnie. - Pamiętasz? I wiem, że będziesz potrafił to zrobić. - Położyła rękę na moim ramieniu i zniżyła głos prawie do szeptu. - Kyle tego potrzebuje, Dex. On musi złapać Danco. Albo nigdy już nie poczuje się jak mężczyzna. To jest ważne dla mnie. Proszę, Dexterze?

W końcu, co zrobić, kiedy wytaczana jest ciężka artyleria? Można tylko zebrać wszystkie zapasy dobrej woli i pomachać wdzięcznie białą flagą.

- W porządku, Debs - zgodziłem się w końcu.
Wolność to taka krucha, ulotna sprawa, prawda?

Chociaż niechętnie, ale dałem słowo, że pomogę, i tak oto, biedny Służbisty Dexter natychmiast zaatakował problem wszelkimi pomysłowymi metodami swojego potężnego umysłu. Ale smutna prawda była taka, że mój mózg się wyłączył; choćbym nie wiem jak pospiesznie wpisywał poszlaki, nic nie wpadało do skrzynki: poczta przychodząca.

Oczywiście problem mógł polegać na tym, że potrzebowałem więcej paliwa, żeby funkcjonować na najwyższych obrotach, nakłoniłem więc Deborah, żeby zamówiła więcej ciastek. Kiedy dzwoniła do obsługi, Chutsky popatrzył na mnie nieco szklistym wzrokiem i powiedział z uśmiechem:

- Weźmy się do roboty, dobrze, koleś? - Ponieważ tak ładnie prosił, zgodziłem się, poza tym musiałem mieć jakieś zajęcie, czekając na ciastko.

Utrata dwóch kończyn usunęła jakąś psychiczną blokadę z Chutsky'ego. Mimo że osłabł, stał się znacznie bardziej otwarty i przyjacielski i z pewną dozą gorliwości chciał się dzielić informacjami, co byłoby nie do pomyślenia w przypadku Chutsky'ego z kompletem kończyn i w drogich okularach przeciwsłonecznych. Z czystej chęci porządnego załatwienia sprawy i poznania największej liczby szczegółów, wykorzystałem więc jego dobre samopoczucie i wyciągnąłem nazwiska ludzi z zespołu, który był w Salwadorze.

Siedział z żółtą podkładką chyboczącą mu niebezpiecznie na kolanie, przytrzymywał ją nadgarstkiem i spisywał nazwiska prawą, a zarazem jedyną ręką.

- O Mannim Borgesie już wiesz - rzekł.

- Pierwsza ofiara - stwierdziłem.

- Aha - potaknął Chutsky, nie podnosząc wzroku, i przekreślił nazwisko. - A potem był Frank Aubrey? - Nachmurzył się i wystawił czubek języka. Zapisał nazwisko i przekreślił je. - Nie złapał Oscara Acosty. Bóg wie, gdzie on teraz jest. - Mimo wszystko napisał nazwisko ze znakiem zapytania. - Wendell Ingraham. Mieszka przy North Shore Drive, za Miami Beach. - Podkładka spadła na podłogę, kiedy zapisywał to nazwisko. Próbował ją złapać w locie, ale chybił. Przez chwilę gapił się na leżącą podkładkę, potem pochylił się i podniósł ją. Kropla potu spłynęła mu z bezwłosej głowy na podłogę. - Pieprzone znieczulenie - powiedział. - W głowie mi się kręci

- Wendell Ingraham - powtórzyłem.

- Zgadza się. - Dopisał resztę nazwiska i bezzwłocznie kontynuował. - Andy Lyle. Teraz sprzedaje samochody, w Davie. - Po czym w szaleńczym przypływie energii triumfalnie dopisał ostatnie nazwisko. - Dwóch kolejnych gości nie żyje, jeden nadal działa w polu. To cały zespół.

- Czy któryś z nich wie, że Danco jest w mieście?

Pokręcił głową. Poleciała kolejna kropla potu i niemal trafiła we mnie.

- Trzymamy to w ścisłej tajemnicy. Wiedzą tylko ci, którzy muszą.

- To oni nie muszą wiedzieć, że ktoś chce ich przemienić w popiskujące poduszki?

- Nie, nie muszą - oznajmił, zaciskając szczęki. Wyglądał, jakby znów chciał powiedzieć coś ostrego, może zaproponować, żeby spuścić za nimi wodę. Ale popatrzył na mnie i się powstrzymał.

- Czy moglibyśmy przynajmniej sprawdzić, którego z nich brakuje? - zapytałem bez szczególnej nadziei.

Chutsky zaczął kręcić głową, zanim skończyłem mówić. Spadły dwie kolejne krople potu na lewo i na prawo.

- Nie. Nie ma mowy. Oni zawsze bardzo uważali. Jak ktoś zacznie o nich wypytywać, dowiedzą się natychmiast. A ja nie mogę ryzykować, że uciekną. Tak jak Oscar.

- No to jak znajdziemy doktora Danco?

- To właśnie masz obmyślić - powiedział.

- A co z domem przy Monte di Spazzatura? Tym, który sprawdzałeś z podkładką do dokumentów w ręku?

- Debbie wysłała tam wóz patrolowy. Wprowadziła się jakaś rodzina. Nie - powiedział. - Stawiamy na ciebie, koleś. Wpadniesz na jakiś pomysł.

Debs wróciła, zanim zdążyłem obmyślić cokolwiek sensownego, ale doprawdy byłem zbyt zaskoczony oficjalnym stosunkiem Chutsky'ego do jego dawnych towarzyszy. Czy nie byłoby ładnie dać starym przyjaciołom fory? Ja nie udaję, że jestem wzorcem uprzejmej cnoty, ale gdyby jakiś zboczony chirurg wziął się, na przykład, na Vince'a Masuokę, myślę, że znalazłbym sposób, żeby podczas zwyczajnej rozmowy, przy automacie do kawy, podrzucić mu jakąś aluzję. „Podaj cukier, proszę. A przy okazji: pewien lekarz maniak ściga cię, żeby ci odciąć wszystkie kończyny. Masz ochotę na śmietankę?”

Ale najwyraźniej faceci o wielkich, męskich podbródkach inaczej rozgrywali tę grę, a przynajmniej inaczej robił to ich przedstawiciel, Kyle Chutsky. Nie szkodzi. Mam przynajmniej listę nazwisk i mam od czego zacząć, chociaż to wszystko, czym muszę się zadowolić. Nie miałem pojęcia, jak zamienić punkt startowy w jakąś pomocną informację, a Kyle nie był równie kreatywny, jak chętny w dzieleniu się wiedzą. Deborah niewiele mogła pomóc. Całkowicie pochłonęło ją poprawianie poduszki Kyle'a, wycieranie jego rozgorączkowanego czoła i sprawdzanie, czy wziął pigułki. Myślałem, że takie matczyne

zachowanie leży poza zasięgiem jej możliwości, ale widać było inaczej.

Stało się jasne, że niewiele zdziałamy tutaj, w apartamencie hotelowym. Mogłem tylko zaproponować, że wrócę do swojego komputera i zobaczę, co się da z niego wyciągnąć. I tak, po wyrwaniu ostatnich dwóch ciastek z jedynej ręki Kyle'a, pojechałem do domu, do mojego kochanego komputerka. Nie było gwarancji, że cokolwiek znajdę, ale musiałem chociaż spróbować. Zrobię wszystko, co w mojej mocy i pogrzebię w tym przez parę godzin z nadzieją, że ktoś owinie kamień kartką z tajną wiadomością i ciśnie nim w moje okno. Może gdyby kamień uderzył mnie w głowę, wykrzesałbym jakiś pomysł.

Mieszkanie było w takim stanie, w jakim je zostawiłem, co już stanowiło jakieś pocieszenie. Łóżko zasłane, bo Deborah już tu nie przemieszkiwała. Wkrótce mój komputer zaczął mruzczyć i poszukiwania się rozpoczęły. Najpierw sprawdziłem bazę danych nieruchomości, ale nie znalazłem nowych zakupów, które pasowałyby do wcześniejszych wzorów. Ale oczywiste było, że doktor Danco musiał gdzieś się zatrzymać. Wypędziliśmy go z kryjówki, a jednak miałem całkowitą pewność, że nie będzie czekał na rozprawę z Doakesem i kim tam jeszcze z listy Chutsky'ego, kto przyciągnął jego uwagę.

Przy okazji, według jakiego klucza ustawia porządek swoich ofiar? Według starszeństwa? Według tego, który bardziej go wkurzył? A może zdawał się na przypadek? Gdybym to wiedział, łatwiej byłoby mi go znaleźć. Musiał gdzieś się zaszyć, bo takich operacji nie mógł przeprowadzać w pokoju hotelowym. Dokąd zatem się udał?

To nie kamień wpadł przez okno i uderzył mnie w głowę, ale maleńki pomysł zaczął tykać na podłodze dexterowego mózgu. Danco musiał się gdzieś zaszyć, żeby popracować

nad Doakesem. To oczywiste. I nie miał czasu, żeby przygotować sobie kolejny bezpieczny dom. Dokądkolwiek się udał, musiało to być w granicach Miami, w pobliżu jego ofiar, a on nie mógł ryzykować, wybierając miejsce na chybił trafił. Na pozór pusty dom mógł nagle zostać nawiedzony przez ewentualnych nabywców, a gdyby zagnieździł się w jakimś zamieszkanym miejscu, nie mógłby przewidzieć, kiedy kuzyn Enrico wpadnie z wizytą. Dlaczego zatem nie wykorzystać po prostu domu kolejnej ofiary? Musiał sądzić, że Chutsky, jedyny, który znał całą listę, wypadł z gry na dłuższy czas i nie będzie go ścigał. Wprowadzając się do kolejnego człowieka z listy, uciałby dwie kończyny jednym skalpelem, korzystając z domu następnej ofiary, żeby dokończyć Doakesa, a potem spokojnie zająć się szczęśliwym właścicielem domu.

To ma sens i lepiej wygląda jako punkt startowy niż lista nazwisk. Ale jeśli nawet się nie myliłem, który okaże się następny?

Na dworze zagrzmiało. Znów spojrzałem na listę nazwisk i westchnąłem. Dlaczego nie mogłem być gdzie indziej? Nawet gra w szubieniczkę z Codym i Astor wydawała mi się czymś lepszym niż ta frustrująca harówka. Muszę nauczyć Cody'ego, żeby najpierw szukał samogłosek. Potem zacznie się pojawiać reszta słowa. A kiedy to opanuje, zacznę uczyć go innych, bardziej interesujących rzeczy. To bardzo dziwne, kiedy ma się ochotę uczyć dzieci, a ja chciałem z nim zacząć jak najszybciej. Szkoda, że już zdążył się zająć psem sąsiada - to byłby doskonały sposób, żeby nauczyć go zasad bezpieczeństwa jak również techniki. Mały nicpoń musi się jeszcze wiele nauczyć. Wszystkie lekcje starego Harry'ego zostaną przekazane młodemu pokoleniu.

Kiedy myślałem o kształceniu Cody'ego, przypomniałem sobie, że w cenę włączone są moje zaręczyny z Ritą. Czy dam

sobie z tym radę? Odrzucić beztrioskie życie kawalera i osiąść w domowym szczęściu? Dość dziwne, ale pomyślałem, że jakoś to będzie. Dzieci z pewnością warte są tej niewielkiej ofiary, a uczynienie z Rity stałego maskowania pomoże mi nie rzucać się w oczy. Szczęśliwi małżonkowie nie są skłonni do robienia rzeczy, dla których żyłem.

Może mi się uda. Zobaczymy. Ale przecież zajmowanie się sprawami Chutsky'ego to była zwłoka i nie przybliżyło mnie do wieczornego spotkania z Reikerem ani do odszukania Danco. Zebrałem rozproszone myśli i spojrzałem na listę nazwisk: Borges i Aubrey załatwieni. Acosta, Ingraham i Lyle nadal nieruszeni. Nadal nieświadomi, że czeka ich spotkanie z doktorem Danco. Dwóch zatopionych, trzech jeszcze nietrafionych, nie włączając w to Doakesa, który właśnie teraz musi czuć ostrze wrzynające się w rytm muzyczki tanecznej Tito Puente przygrywającej w tle, gdy doktor pochyla się nad nim ze świetlistym skalpelem, żeby poprowadzić sierżanta w taniec ćwiartowania. Zatańcz ze mną, Doakes. Baila conmigo, amigo, jak ująłby to Tito Puente. Trochę trudno jest tańczyć bez nóg, oczywiście, ale warto spróbować.

A tymczasem ja tutaj kręciłem się w kółko, jakby nasz dobry doktor już obciął mi jedną nogę

W porządku: założmy, że doktor Danco znajdował się w domu kolejnej ofiary, nie licząc Doakesa. Nie wiedziałem, rzecz jasna, kto to mógłby być. Co mi zatem pozostaje? Kiedy wyeliminuje się badanie naukowe, pozostaje szczęśliwy traf. Elementarne, drogi Dexterze. Entliczki, pentliczki, czerwone stoliczki...

Mój palec wylądował na nazwisku Ingrahama. A zatem, znaleźliśmy, prawda? Jasne, że tak. A ja jestem król Olaf z Norwegii.

Wstałem i podszedłem do okna, z którego tak często widywałem sierżanta Doakesa parkującego po przeciwnej

stronie ulicy w rdzawoczerwonym taurusie. Nie było go tam. Wkrótce w ogóle go nie będzie, chyba że go znajdę. Chciał, żebym umarł albo poszedł do więzienia, a ja czułbym się szczęśliwszy, gdyby on w ogóle zniknął – kawałek po kawałku albo za jednym zamachem, to nie sprawiało mi różnicy. A jednak pracowałem w nadgodzinach, zmuszałem potężną maszynierię mentalną Dextera do sążnistych susów, żeby go uratować – żeby on mógł mnie zabić albo uwięzić. I co tu się dziwić, że uważam, iż cała idea życia jest przeceniana?

Prawie doskonały księżyc, poruszony być może tą ironią, wychynął spośród drzew. A im dłużej się gapiłem, tym bardziej odczuwałem ciężar tego starego, nikczemnego księżyca bełkoczącego z cicha tuż pod horyzontem i już czułem, jak dmucha mi gorącym i zimnym w kręgosłup, pili mnie do działania, aż przyłapałem się na tym, że biorę kluczyki do samochodu i idę do drzwi. W końcu dlaczego nie sprawdzić? Nie zajmie mi to więcej niż godzinę i nie będę musiał wyjaśniać, jak to obmyśliłem, ani Debs, ani Chutsky'emu.

Zrozumiałem, że ten pomysł spodobał mi się po trosze dlatego, że był szybki i łatwy i jeśli się opłaci, to zwróci mi ciężko wywalczoną wolność na czas, żebym zdążył na jutrzejszą wieczorną randkę z Reikerem – a nawet więcej, zacząłem mieć ochotę na przekąskę. Dlaczego nie rozgrzać się trochę z Danco? Kto mnie obwini, że zrobiłem z nim to, co on, jakże gorliwie, robił z innymi? Jeśli jednak muszę uratować Doakesa, żeby dopaść Danco? Cóż, życie nie jest idealne.

I oto jechałem na północ, po Dixie Highway, a potem I-95 do Siedemdziesiątej Dziewiątej ulicy na grobli, a stamtąd prosto do obszaru Normandy Shores w Miami Beach, gdzie mieszkał Ingraham. Kiedy skręciłem, żeby przejechać powoli obok jego domu, była już noc. Na podjeździe parkowała ciemnozielona furgonetka bardzo podobna do tej białej, którą

Danco rozbił kilka dni temu. Stała obok nowego mercedesa i wyglądała bardzo nie na miejscu w tej eleganckiej okolicy. Otóż to, pomyślałem. Mroczny Pasażer zaczął pomrukiwać słowa zachęty, ale ja pojechałem dalej, pokonałem zakręt za domem i zatrzymałem dopiero przy pustej działce tuż za rogiem.

Ta zielona furgonetka nie pasowała tutaj, sądząc po okolicy. Oczywiście, Ingraham mógł mieć w domu jakiś remont i robotnicy postanowili zostać, dopóki nie dokończą pracy. Ale wcale tak nie sądziłem i Mroczny Pasażer też był innego zdania. Wyjąłem komórkę i zadzwoniłem do Deborah.

- Chyba coś znalazłem - powiedziałem, kiedy odebrała.

- Co ci zajęło tyle czasu? - zapytała.

- Myślę, że doktor Danco pracuje w domu Ingrahama w Miami Beach - rzekłem.

Krótką przerwę, a ja prawie widziałem, jak Deborah ściąga brwi.

- Dlaczego tak sądzisz?

Myśl, że mam jej wyjaśniać, że to tylko domysł, nie wyglądała szczególnie kusząco, po prostu więc powiedziałem:

- To długa historia, siostrzyczko. Ale myślę, że mam rację.

- Myślisz. Ale nie jesteś pewien.

- Za kilka minut będę. Zaparkowałem za rogiem, niedaleko tego domu. Przed nim stoi furgonetka, która w tej okolicy wygląda trochę nie na miejscu.

- Nie ruszaj się stamtąd - powiedziała. - Oddzwonię. - Rozłączyła się, a ja zostałem, żeby pooglądać sobie dom. Nie stałem pod dobrym kątem do przeprowadzenia obserwacji. Nie mogłem przyjrzeć się dokładnie, nie nadwerężając sobie karku. Odwróciłem więc samochód i zaparkowałem przodem do ulicy, gdzie stał ten dom i sztychł ze mnie... i oto pojawił się

on. Wystawił nalaną głowę zza drzew, wylewał nabrzmiałe strumienie światła w dół, na zjełczały krajobraz. Ten księżyc, ta wiecznie roześmiana księżycowa latarnia morska. Oto był on.

Czułem, jak wbijają się we mnie chłodne palce księżycowego światła i podzegają mnie, żebym zrobił jakieś głupie i cudowne coś, a ja już tak dawno nie słyszałem głośniejszych niż w naturze dźwięków spływających mi po głowie, w dół kręgosłupa i doprawdy, czy komuś stanie się krzywda, jeśli całkowicie się upewnię, zanim Deborah oddzwoni? Nie chciałem popełnić jakiegoś głupstwa, jasne, ale tylko wysiąść z samochodu, pójść ulicą między domami, na ot taki spacer w świetle księżyca wzdłuż szeregu domów przy ulicy. A jeśli przypadkiem pojawi się szansa, żeby pobawić się z doktorem...

Kiedy wysiadałem, zirytowało mnie, że mam trochę nierówny oddech. Wstydź się, Dexterze. Gdzie twoja słynna lodowata samokontrola? Może wymknęła się, bo za długo była trzymana w więzach, a może sama przerwa sprawiała, że zrobiłem się trochę zbyt gorliwy, ale tak nie można. Odetchnąłem długo i głęboko, żeby się uspokoić, i poszedłem ulicą, zwyczajny, przypadkowy potwór na wieczornym spacerku idzie obok zaimprovizowanej kliniki wiwisekcyjnej. Witaj, sąsiedzie, piękna noc na odcinanie nogi, prawda?

Z każdym krokiem przybliżającym mnie do tego domu czułem to coś rosnące i twardniejące we mnie, a jednocześnie stare, zimne palce zaciskały się, żeby utrzymać to na miejscu. To był ogień i lód ożywiony światłem księżyca i śmiercią, a kiedy zrównałem się z domem, wewnętrzne szepty zaczęły narastać, bo usłyszałem słabe dźwięki dochodzące ze środka, chór rytmów i saksofonu brzmiący bardzo podobnie jak Tito Puente i nie potrzebowałem chóru szeptów, żeby wiedzieć, że mam rację, że to naprawdę jest miejsce, gdzie doktor założył swoją klinikę.

Był tu i pracował.

I co miałem z tym począć? Oczywiście, najrozsądniej zrobiłbym, gdybym wrócił spokojnie do samochodu i zaczął na Deborah - ale czyż była to noc rozsądku, z tym lirycznie szyderczym księżycem wiszącym tak nisko na niebie i lodem płynącym w żyłach, popychającym mnie do działania?

Przeszedłem więc obok domu, schowałem się w cień sąsiedniego budynku i ostrożnie zacząłem przemykać przez podwórko, aż zobaczyłem tyły domu Ingrahama. Z okna wydobywało się bardzo jasne światło, zakradłem się więc w cień rzucany przez drzewo. Byłem coraz bliżej i bliżej. Jeszcze kilka kocich kroków i prawie mogłem zajrzeć przez okno. Zbliżyłem się jeszcze trochę, stając tuż za linią, którą światło wyznaczało na ziemi.

Stąd mogłem wreszcie spojrzeć w okno, w górę, pod lekkim kątem, na sufit. Wisiało tam spore lustro, którego Danco tak lubił używać, a w nim odbijała się połowa stołu...

...i trochę ponad połowa sierżanta Doakesa.

Solidnie przywiązany, leżał bez ruchu, nawet jego świeżo ogolona głowa przyciśnięta była mocno do blatu. Nie widziałem zbyt wielu szczegółów, ale zobaczyłem, że odcięto mu obie dłonie. Dłonie najpierw? Bardzo interesujące, zupełnie inne podejście niż do Chutsky'ego. Jak doktor Danco rozeznawał się w tym, co jest właściwe dla każdego z jego pacjentów?

Coraz bardziej intrygował mnie ten człowiek i jego praca. W tym, co się tam działo, było jakieś dziwaczne poczucie humoru i choć to głupie, postanowiłem dowiedzieć się czegoś więcej. Przesunąłem się o pół kroku bliżej.

Muzyka ustała, a ja zamarłem. Potem rytm powrócił, a ja usłyszałem metaliczne kasznięcie za sobą i coś trzepnęło mnie w ramię. Poczulem ukłucie i łaskotanie, odwróciłem się i zobaczyłem małego człowieczka w wielkich, grubych okularach. Przyglądał mi się uważnie. W rękę trzymał coś,

co wyglądało jak pistolet na farbę, a ja miałem tylko tyle czasu, żeby się oburzyć, że celuje tym we mnie, zanim ktoś wyjął mi wszystkie kości z nóg, a ja osunąłem się na mokrą, zalaną światłem księżycą trawę, gdzie panowała ciemność i pełno było snów.

Radośnie wrzynałem się w bardzo złego człowieka, którego solidnie przywiązałem do stołu, ale nóż zrobiony był z gumy i tylko chygotał się na boki. Chwyciłem zamiast niego wielką piłę do kości i wbiłem ją w aligatora na stole, ale prawdziwa radość nie pojawiła się, a zamiast niej poczułem ból i zobaczyłem, że odcinam sobie własne ramiona. Nadgarstki mi płonęły i szarpały się, ale ja nie mogłem się powstrzymać i wrzynałem się w nie, a potem dotarłem do arterii i okropna czerwień zalała wszystko i zaślepiła mnie szkarłatną mgiełką. Zacząłem spadać, spadać na wieki, poprzez ciemność mglistego mnie, gdzie okropne kształty wiły się, biadoliły i ciągnęły mnie, aż spadłem i rąbnąłem w czerwoną kałużę na podłodze obok dwóch pustych księżyców, które gapiły się na mnie z góry i mówiły: otwórz oczy, już nie śpisz...

I znów wszystko wróciło do rzeczywistości, a dwa puste księżyce okazały się grubymi soczewkami osadzonymi w szerokiej, czarnej oprawie i tkwiły na nosie małego, żylastego mężczyzny z wąsem, który nachylał się nade mną ze strzykawką.

- Doktor Danco, jeśli się nie mylę?

Nie wiem, czy powiedziałem to na głos, ale on pokiwał głową i odparł:

- Tak, właśnie tak mnie nazywali. A kim ty jesteś? - Akcent miał z lekka sztuczny, jakby musiał myśleć trochę za bardzo nad każdym wypowiedzianym słowem. Zauważyłem ślad kubańskiego dialektu, ale hiszpański nie był językiem ojczystym doktora. Z jakiegoś powodu jego głos sprawił, że poczułem się

bardzo nieszczęśliwy, jakby wokół roztaczał się zapach repelentu na Dextery. Ale w głębi mojego jaszczurczego mózgu stary dinozaur uniósł łeb i ryknął, nie skuliłem się więc przed nim tak, jak chciałem z początku. Spróbowałem pokiwać głową, ale nie wiadomo dlaczego było to bardzo trudne.

- Nie próbuj się jeszcze poruszać - powiedział. - Nie da rady. Ale nie martw się. Obejrzyj sobie wszystko, co robię z twoim przyjacielem na stole. A wkrótce przyjdzie twoja kolej. Wtedy sam się zobaczysz w lustrze. - Mrugnął do mnie i w jego głosie pojawiła się lekka, kapryśna nutka. - Zwierciadła to cudowna rzecz. Wiedziałeś, że jeśli ktoś stoi przed domem i patrzy w lustro, to można go zobaczyć ze środka?

Mówił jak nauczyciel ze szkoły podstawowej objaśniający żart ulubionemu uczniowi, który jednak był za głupi, żeby go pojąć. A ja właśnie czułem się jak głupek, który niczego nie rozumie, bo przyszła mi do głowy myśl niezbyt głęboka: „Ojej, ale to interesujące”. Moja własna, stymulowana księżycem niecierpliwość i ciekawość sprawiły, że stałem się nieostrożny i wtedy doktor Danco zobaczył, jak go podglądam. Chętnie się teraz i to było irytujące, poczułem się zatem zobowiązany, żeby coś powiedzieć choćby i cichutkim głosem.

- Ależ ja o tym wiedziałem - rzekłem. - A ty wiesz, że ten dom ma także drzwi frontowe? I tym razem nie ma pawi na straży.

Mrugnął.

- Czy powinienem się niepokoić? - zapytał.

- Hm, nigdy się nie wie, kto nieproszony może się wtarańczyć.

Doktor Danco uniósł lewy kącik ust o jakieś parę milimetrów.

- Cóż - powiedział. - Jeśli twój przyjaciel na stole operacyjnym ma tutaj posłużyć za przykład, to myślę, że mogę

być spokojny, prawda? - A ja musiałem przyznać mu rację. Skoro najlepsi gracze pierwszej drużyny nie zrobili na nim wrażenia, to czego miał się obawiać ze strony ławki rezerwowych? Gdybym tylko nie był w dalszym ciągu pod wpływem środków, które mi wstrzyknął, jestem pewien, że powiedziałbym coś znacznie mądrzejszego, ale prawdę mówiąc, nadal poruszałem się w chemicznych oparach.

- Mam nadzieję, że nie każesz mi wierzyć, iż pomoc jest w drodze? - zapytał.

Sam się nad tym zastanawiałem, ale nie wydawało się mądre odpowiadać na to pytanie.

- Wierz, w co chcesz. - Miałem nadzieję, że było to wystarczająco dwuznaczne, żeby zajął się czymś innym. Przeklinałem powolność własnego, zazwyczaj tak bystrego pomyślniku.

- W porządku zatem - odparł. - Uważam, że przybyłeś tutaj sam. Chociaż dziwi mnie, dlaczego.

- Chciałem przestudiować twoją technikę - odparłem.

- O, świetnie - rzekł. - Z radością ci ją zaprezentuję... z pierwszej ręki. Znów rzucił mi uśmiezek i dodał: - A potem stopy. - Odczekał chwilę, prawdopodobnie, żeby zobaczyć, czy się roześmieję z tego żarciku. Było mi bardzo przykro, że go rozczarowałem, ale może później będzie zabawniej, jeśli wyjdę z tego żywy.

Danco poklepał mnie po ramieniu i trochę bardziej się nachylił.

- Chcielibyśmy poznać twoje imię. Wiesz, bez tego nie ma zabawy.

Wyobraziłem go sobie, mówiącego do mnie po imieniu, kiedy leżę przytroczony do stołu, i nie był to radosny obraz.

- Powiesz, jak masz na imię? - zapytał.

- Rumblestiltskin - powiedziałem.

Patrzył na mnie oczami powiększonymi przez grube soczewki. Potem sięgnął do mojej kieszeni i wyciągnął portfel. Otworzył go i znalazł prawo jazdy.

- Och. A więc to ty jesteś Dexter. Gratulacje z okazji zaręczyn. - Rzucił portfel obok mnie i poklepał mnie po policzku. - Patrz i ucz się, bo niebawem będę robił to samo z tobą.

- Jak to cudownie z twojej strony - odparłem.

Danco się nachmurzył.

- Naprawdę powinieneś być bardziej wystraszony - stwierdził. - Dlaczego nie jesteś? Ściągnął wargi. - Interesujące. Następnym razem zwiększę dawkę. - Wstał i odszedł.

Leżałem w ciemnym kącie obok kubła i szczotki i patrzyłem, jak krząta się po kuchni. Zrobił sobie kubek kubańskiej kawy rozpuszczalnej i dodał do niej ogromną ilość cukru. Potem wrócił na środek pokoju i popatrzył na stół, popijając w zamyśleniu.

- Nahma - zaskomlała proszalnie rzecz na stole, która kiedyś była sierżantem Doakesem. - Nahana. Nahma. - Oczywiście, miał usunięty język - jednoznaczny symbol, gdyż Danco uważał, że to Doakes go zakapował.

- Tak, wiem - rzekł Danco. - Ale do tej pory ani razu nie zgadłeś. Mówiąc to, prawie się uśmiechał, chociaż jego twarz nie wyglądała na stworzoną do wyrażania żadnych uczuć, poza pełnym namysłem zainteresowaniem. To jednak wystarczyło, żeby Doakes zaczął biadolić i próbował wyrwać się z więzów. Nie poszło mu najlepiej, a doktor Danco nie bardzo się tym przejął. Odsunął się i popijając kawę, zamruczał fałszywie melodię Tito Puente. Kiedy Doakes rzucał się, zobaczyłem że nie ma prawej stopy, a także dłoni i języka. Chutsky powiedział, że prawą łydkę Danco usunął mu za jednym zamachem. Najwyraźniej doktor chciał, żeby tym

razem dłużej to potrwało. A kiedy przyjdzie moja kolej – co mi odejmie i w jakiej kolejności?

Kroczek po przymglonym kroczeniu mój mózg oczyszczał się z oparów. Zastanawiałem się, jak długo byłem nieprzytomny. Chyba nie mógłbym przedyskutować tego z doktorem.

– Dawka – powiedział. Trzymał strzykawkę, kiedy się ocknąłem, i był zaskoczony, że nie boję się tak bardzo. Oczywiście! Cóż za wspaniały pomysł, wstrzykiwać swoim pacjentom jakieś psychotropy, które wzmagają ich poczucie bezradnego przerażenia. Żałowałem, że nie wiem, jak się to robi. Dlaczego nie poszedłem na studia medyczne? Cóż, było trochę za późno, żeby się tym zamartwiać. W każdym razie, jeśli chodzi o Doakesa, to dawka musiała być w sam raz.

– Cóż, Albercie – zwrócił się doktor do sierżanta bardzo miłym, towarzyskim tonem, siorbiąc przy tym kawę. – Zgadujesz?

– Nahana! Nah!

– Chyba nie trafiłeś – stwierdził doktor. – Chociaż może, gdybyś miał język, okazałoby się, że odgadłeś. Hm, tak czy inaczej. – Nachylił się nad brzegiem stołu i zrobił jakiś znaczek na kawałku papieru, jakby coś przekreślał. – To raczej długie słowo – dodał. – Na dziewięć liter. Ale przecież trzeba odplacać dobrem za zło, prawda? – Odłożył ołówek i wziął piłę, a kiedy Doakes rzucał się dziko w więzach, doktor odciął mu lewą stopę tuż nad kostką. Zrobił to bardzo szybko i elegancko. Postawił odciętą stopę przy głowie Doakesa, sięgnął do swojego instrumentarium, wybrał coś, co wyglądało jak wielka lutownica, i przyłożył ją do nowej rany. Kiedy ją kauteryzował, żeby powstrzymać krwotok, przyrząd zasyczał i wypuścił obłok pary.

– Proszę bardzo – powiedział. Doakes wydał zduszony dźwięk i opadł, a zapach przypieczonego mięsa rozszedł się

po pokoju. Jeśli szczęście mu dopisze, to na jakiś czas straci przytomność.

Ja zaś, na szczęście, przez cały czas byłem całkiem przytomny. Kiedy chemikalia z pistoletu na strzałki, którego użył doktor, wyparowały z mojego mózgu, pojawiło się jakby małe, przydymione światełko.

Ach, wspomnienia. Czyż to nie rozkoszna sprawa? Nawet kiedy wpadliśmy w najgorsze tarapaty, mamy jeszcze wspomnienia na pociechę. Ja, na przykład, leżałem bezradnie, zdolny tylko do przyglądania się tym okropnościom, jakie doktor wyprawiał z Doakesem, i wiedziałem, że wkrótce nadejdzie moja kolej. Ale mimo to miałem swoje wspomnienia.

Teraz przypomniałem sobie coś, co powiedział mi Chutsky, kiedy go uratowałem. „Kiedy mnie tam przywiózł, powiedział »siedem« i zapytał, czy zgaduję”. Wtedy myślałem, że to dziwne słowa, i zastanawiałem się, czy Chutsky tak bredził pod wpływem narkotyków, które dostał.

Ale właśnie usłyszałem, jak doktor mówi to samo do Doakesa:

- Zgadujesz? - A potem: - Na dziewięć liter. - A potem zrobił znaczek na kawałku papieru przyklejonym do stołu.

Tak samo jak na kawałkach papieru przyklejonych obok wszystkich ofiar, które odnaleźliśmy. Za każdym razem napisane tam było jedno słowo składane litera po literze. „Honor”, „Lojalność”. Co za ironia: Danco przypominał byłym towarzyszom o cnotach, które odrzucili, wydając go Kubańczykom. A ten biedny Burdett, człowiek z Waszyngtonu, którego znaleźliśmy w pustym domu, w Miami Shores. On nie był wart prawdziwego wysiłku umysłowego. Tylko pięć szybkich liter: Pogue. A jego ramiona, nogi i głowa zostały szybko odcięte i odłączone od ciała. Pogue. Ręka, noga, noga, ręka, głowa.

Czy to naprawdę możliwe? Wiedziałem, że mój Mroczny Pasażer ma poczucie humoru, ale to było jeszcze mroczniejsze – zabawne, kapryśne, a nawet głupie.

Tak, jak tablice rejestracyjne: Wybierz życie. I jak wszystko, co zaobserwowałem w zachowaniu doktora.

Zdawało się to tak kompletnie nieprawdopodobne, ale...

Doktor Danco zabawiał się grą, kiedy ciął i szatkował. Być może grał w nią z innymi podczas długich lat spędzonych w kubańskim więzieniu na Wyspie Sosnowej i być może stała się ona teraz częścią jego kapryśnej zemsty. Teraz grał w nią na pewno – z Chutskym, Doakesem i innymi. Był to kompletny absurd, ale też jedyna rzecz, która miała sens.

Doktor Danco grał w szubieniczkę.

– Hm – powiedział, znów kucając przy mnie. – Jak myślisz, co się dzieje z twoim przyjacielem?

– Myślę, że mu przyciąłeś – odparłem.

Przechylił głowę na bok i wystawił mały, suchy języczek, kiedy patrzył na mnie bez mrugnięcia wielkimi oczami spoza grubych soczewek.

– Brawo. – Znowu poklepał mnie po ramieniu. – Ty chyba naprawdę nie wierzysz, że to samo cię spotka – powiedział. – Może dziesięć cię przekona.

– Czy tam jest A? – zapytałem, a on odchylił się trochę do tyłu, jakby jakiś nieprzyjemny zapach doleciał go od moich skarpetek.

– Hm – rzekł bez mrugania, a potem coś, co przypominało uśmiech zatrzepotało mu w kąciку ust.

– Tak, tam jest A, dwa razy, ale ty zgadywałeś poza kolejnością, więc... – Leciutko wzruszył ramionami.

– Możesz to uznać za złą odpowiedź... dla sierżanta Doakesa – podpowiedziałem, chcąc mu pomóc.

Pokiwał głową.

- Rozumiem, nie lubisz go - rzekł i nachmurzył się trochę. - Mimo to i tak powinieneś bardziej się bać.

- Czego się bać? - zapytałem. Czysta brawura, oczywiście, ale jak często ma się okazję robić sobie żarciki z prawdziwym oprawcą? Strzał trafił w sam środek; Danco gapił się na mnie przez dłuższą chwilę, zanim na koniec leciutko pokiwał głową.

- Cóż, Dexterze - powiedział. - Widzę, że będziemy musieli razem sobie coś wykroić. - I znów uśmiechnął się do mnie prawie niezauważalnie. - To i owo - dodał, a radosny, czarny cień stanął za nim, rzucając gromkie wyzwanie mojemu Mrocznemu Pasażerowi, który wysunął się do przodu i odpowiedział rykiem. Przez chwilę trwała między nami konfrontacja, a potem on mrugnął tylko raz i wstał. Podeszedł znowu do stołu, na którym tak słodko drzemał Doakes, a ja zatopiłem się w moim przytulnym kąciku i zastanawiałem się, jakiej magii użyje Wielki Dexterini, żeby dokonać swojej największej ucieczki.

Wiedziałem oczywiście, że Deborah i Chutsky już jadą, ale to martwiło mnie bardziej niż cokolwiek. Chutsky będzie chciał odzyskać nadwreżoną męskość i wpadnie o szcudle, machając pistoletem trzymany w jedynej dłoni i jeśli nawet pozwoli Deborah, żeby dała mu wsparcie, to ona nosi przecież gips i z trudem się rusza. Taki zespół ratowniczy raczej nie wzbudza zaufania. Nie, musiałem uznać, że mój kącik w kuchni zrobi się tłoczny i kiedy nasza rójka będzie już związana i nafaszerowana prochami, znikąd już nie nadejdzie pomoc.

I doprawdy, mimo krótkiego napadu heroicznego słowotoku, nadal byłem trochę oszołomiony od tego, co zawierały strzałki nasenne Danco. Byłem zatem odurzony, mocno związany i samotny. Ale każda sytuacja ma swoje pozytywne strony, jeśli tylko dobrze się przypatrzeć. Po krótkim zastanowieniu

zdałem sobie sprawę, że jak do tej pory nie zaatakowały mnie wściekle szczury.

Tito Puente podjął nową melodię, trochę łagodniejszą, a ja wpadłem w bardziej filozoficzny nastrój. Wszyscy kiedyś dokądś odejdziemy. Mimo to nie wpisałbym tej metody na listę dziesięciu preferowanych przeze mnie sposobów na umieranie. Zasnąć i już się nie obudzić to był numer jeden, ale teraz błyskawicznie robił się coraz bardziej obrzydliwy.

Co zobaczę, kiedy umrę? Naprawdę nie potrafiłem uwierzyć w duszę, w niebo i piekło, i inne tego rodzaju natchnione bzdury. W końcu, skoro istoty ludzkie mają duszę, to czy ja bym jej nie miał? A mogę was zapewnić, że nie mam. Jak mógłbym, będąc tym, kim jestem? Nie do pomyślenia. I tak trudno jest być mną. Być mną z duszą, sumieniem i groźbą życia po życiu nie dałoby się wytrzymać.

Ale pomyśleć o cudownym, jedynym w swoim rodzaju mnie odchodzącym na wieki, bez możliwości powrotu? Bardzo smutne. Doprawdy, tragiczne. Może powinienem zastanowić się nad reinkarnacją. Oczywiście, tutaj nie ma żadnej kontroli. Mógłbym powrócić jako żuk gnojarski albo jeszcze gorzej, jako kolejne monstrum, takie jak ja. Z pewnością nikt by po mnie nie płakał, szczególnie gdyby Debs zesłała razem ze mną. Samolubnie miałem nadzieję, że umrę pierwszy. Cała ta szarada trwała już za długo. Czas to skończyć. Może tak i lepiej.

Tito rozpoczął nową piosenkę, bardzo romantyczną, coś tam o te amo i teraz pomyślałem sobie, że Rita, ta idiotka, będzie po mnie płakać. I Cody wraz z Astor na ich pokrętny sposób z pewnością będą za mną tęsknić. Ostatnio jakoś udaje mi się wywoływać cały ciąg związków uczuciowych. Jak to możliwe? I czy nie myślałem o czymś podobnym, kiedy wisiałem głową w dół, pod wodą, w przewróconym samochodzie Deborah? Dlaczego ostatnio tyle czasu poświęcam umieraniu,

a nie porządkowaniu spraw? Doskonale wiedziałem, że niewiele mi tego zostało.

Usłyszałem, jak Danco grzechocze narzędziami na tacy, i odwróciłem głowę, żeby popatrzeć. Nadal trudno mi się było poruszać, ale teraz przychodziło mi to troszeczkę łatwiej i udało mi się skoncentrować na nim wzrok. Trzymał w ręku wielką strzykawkę i zbliżał się do sierżanta Doakesa, trzymając ją wysoko w górze, jakby chciał, żebym ją zobaczył i podziwił.

- Czas się obudzić, Albercie - powiedział wesoło i wbił igłę w ramię Doakesa. Przez chwilę nic się nie działo; potem Doakes drgnął, obudził się i wydał z siebie serię miłych dla ucha jęków i skowytów, a doktor Danco stał nad nim, radując się chwilą, ze strzykawką znów uniesioną do góry.

Od frontu domu dobiegł nas jakiś łomot. Danco obrócił się na pięcie i chwycił pistolet na farbę w chwili, gdy wielka, łyśa postać Kyle'a Chutsky'ego wypełniła drzwi prowadzące do pokoju. Tak, jak się obawiałem, opierał się o szcudło i trzymał pistolet w spoconej i drżącej dłoni; nawet ja byłem w stanie to dostrzec.

- Skurwysyn! - krzyknął, a doktor Danco strzelił do niego z pistoletu na farbę raz i drugi. Chutsky popatrzył na niego szeroko otwartymi oczami, otworzył usta, a Danco opuścił lufę, kiedy Chutsky zaczął opadać na podłogę. A zaraz za Chutskym, niewidoczna, dopóki nie zważył się całkowicie, stała moja kochana siostra, Deborah, najpiękniejszy widok, jaki w życiu dostrzegłem, nie licząc pistoletu glock, który trzymała w pewnej, prawej ręce. Nie zatrzymała się, żeby się spociec albo obrzucić Danco wyzwiskami. Po prostu zacisnęła szczęki i oddała dwa szybkie strzały, które trafiły doktora Danco w środek klatki, uniosły go w górę i rzuciły w tył, na gorączkowo popiskującego Doakesa.

Przez dłuższą chwilę panowały cisza i bezruch, nie licząc niezmożonego Tito Puente. Potem Danco zsunął się ze stołu,

a Debs uklęknęła obok Kyle'a i namacała mu puls. Usadziła go w wygodniejszej pozycji, pocałowała w czoło i w końcu odwróciła się do mnie.

- Dex, jak się czujesz? - zapytała.

- Będzie dobrze, siostrzyczko - powiedziałem, mając wrażenie, że trochę kręci mi się w głowie. - Gdybyś tylko wyłączyła tę koszmarną muzykę.

Podeszła do poobijanego odtwarzacza i wyrwała wtyczkę ze ściany. Nagle zamilkła i spojrzała na sierżanta Doakesa. Próbowwała kontrolować wyraz twarzy.

- Doakes, zabierzemy cię stąd. Będzie dobrze. - Położyła dłoń na jego ramieniu, kiedy próbował coś wybełkotać, a potem nagle odwróciła się i podeszła do mnie. Łzy zaczęły jej spływać po twarzy.

- Jezu - wyszeptała, rozcinając moje więzy. - Doakes jest w strasznym stanie.

Kiedy zerwała ostatni kawałek taśmy z moich kostek, nie umiałem współczuć Doakesowi, bo wreszcie byłem wolny. Wolny od taśmy, od doktora i wyświadczenia przysług i - tak, wyglądało na to, że mogę się wreszcie uwolnić także od sierżanta Doakesa.

Wstałem, ale łatwiej było to powiedzieć niż zrobić. Rozprostowałem biedne, przykurczone nogi, a Debs wyjęła radiostację, żeby wezwać naszych przyjaciół z policji Miami Beach. Podeszedłem do stołu operacyjnego. Mała rzecz, ale jednak ciekawość we mnie zwyciężyła. Sięgnąłem po kawałek papieru przyklejony do brzegu stołu.

Znajomymi, pajęczymi literami Danco napisał: Zdrada. Pięć liter było przekreślonych.

Poparzyłem na Doakesa. Odwzajemnił moje spojrzenie. Jego szeroko rozwarte oczy błyszczały od nienawiści, której nigdy nie będzie mógł wypowiedzieć.

A więc, jak widzicie, są czasem szczęśliwe zakończenia.

Epilog

To bardzo piękne, obserwować wschód słońca nad wodą, w ciszy subtropikalnego poranka południowej Florydy. Jeszcze piękniej jest, kiedy wielki, żółty księżyc w pełni wisi nisko po przeciwległej stronie horyzontu i powoli błednie na srebrno, zanim ześlizgnie się pod fale otwartego oceanu i pozwoli słońcu zapanować nad niebem. A jeszcze piękniej, kiedy obserwuje się to, nie widząc lądu, z pokładu jachtu, kiedy człowiek przeciąga się, żeby usunąć ostatnie skurcze z ramion i szyi, zmęczony, ale spełniony i jakże wreszcie szczęśliwy, po nocnej pracy, która czekała trochę za długo.

Wkrótce przesiądę się do mojej małej łódeczki płynącej na holu za nami, odrzucę cumę i popłynę tam, gdzie za horyzontem zniknął księżyc, sennie zmierzając do domu, do zupełnie nowego życia mężczyzny, który wkrótce wstąpi w związek małżeński. A „Osprey”, sześciometrowy wypożyczony luksusowy jacht skieruje się powoli w przeciwnym kierunku, w stronę Bimini, na Gofsztrum, wielką, błękitną, bezdenną rzekę, która płynie przez ocean, tak wygodnie zbliżając się do Miami. „Osprey” nie dotrze do Bimini, nawet nie przeprawi się przez Gofsztrum. Na długo przedtem, zanim zamknę szczęśliwe oczy w moim łódeczku, jego maszyny zatrzymają się, zalane przez wodę, a potem łódź też wypełni się wodą, kołysząc się leniwie na falach i pójdzie na dno w nieskończone, krystalicznie czyste głębiny podwodnej rzeki.

I może gdzieś głęboko pod powierzchnią osiadzie wreszcie na dnie między skałami, wielkimi rybami i zatopionymi

statkami, a ja z lekką figlarnością pomyślę, że gdzieś obok niej, zgrabnie obwiązana paczka kołysze się lekko w prądzie, a kraby oskubują ją do kości. Po obwiązaniu szczątków liną i łańcuchem użyłem do zatopienia Reikera czterech kotwic i elegancki, niepokrwawiony pakuneczek z dwoma koszmarnymi, czerwonymi butami przywiązanymi łańcuchem zatonął błyskawicznie. Została tylko kropelka szybko wysychającej krwi na szklanej płytce w mojej kieszeni. Płytką trafi wkrótce do pudełka na półce, tuż obok MacGregora, Reiker będzie karmił kraby, a życie wreszcie znów ruszy pełną parą w szczęśliwym rytmie udawania i chlastania.

A za kilka lat wezmę ze sobą Cody'ego i pokażę mu cuda Nocy z Nożem. Teraz był za mały, ale zacznie od podstaw, będzie się uczył planowania i powoli wyjdzie na ludzi. Nauczył mnie tego Harry, a teraz przekażę tę wiedzę Cody'emu. A któregoś dnia być może pójdzie w moje ponure ślady i stanie się nowym Mrocznym Mścicielem, przenosząc plan Harry'ego na nowe pokolenie potworów. Życie, jak mówiłem, znów ruszy pełną parą.

Westchnąłem, szczęśliwy, zadowolony i gotów na wyzwania przyszłości. Jakież to piękne. Księżyc już zaszedł, a słońce zaczęło wypalać chłód poranka. Czas wracać do domu.

Wsiadłem do mojej łódki, zapaliłem silnik i odrzuciłem cumę. Potem odwróciłem łódź i szlakiem księżycy wróciłem do łóżka.

Podziękowania

Nic nie jest możliwe bez Hilary.

Chciałbym podziękować także Juliowi, Brokułom, Diakonowi, Einsteinowi i jak zwykle Niedźwiedziowi, Pook i Tinky.

Na dodatek jestem winien podziękowania Jasonowi Kaufmanowi za jego niezawodne i mądre przewodnictwo oraz Nickowi Ellisonowi, który zmienił wszystko.

o książce Dekalog Dextera

Powieść będąca inspiracją do powstania hitowego serialu Dexter!

Jak uniknąć podejrzeń wrogiego sierżanta Doakesa i bez przeszkód kontynuować swoją niełatwą misję seryjnego zabójcy, który wymierza karę wyłącznie złym ludziom?

Dexter Morgan, czarujący laborant z podwójną osobowością nie pracuje już w departamencie policji Miami. Dexter coraz chętniej spędza czas na kanapie w towarzystwie swojej dziewczyny Rity i jej dzieci, ale... Pewnego dnia powraca do niego postać Mrocznego Pasażera i każe Morganowi wrócić do zabijania psychopatów takich, jak on sam. Oto druga część serii o przygodach Dextera, można ją uznać za oddzielną historię lub czytać bez zachowania kolejności cyklu. Powieść intryguje szkatułkowo nakreśloną fabułą i wnikliwym opisem motywacji głównego bohatera.

Powieści o Dexterze posłużyły za kanwę scenariusza popularnego serialu z lat 2006-2013 w telewizji Showtime, zaś odtwórca roli głównego bohatera Michael C. Hall otrzymał za nią wiele nagród i nominacji.

Książka przypadnie do gustu każdemu, kto lubi unikatowe połączenie czarnego humoru z wartką akcją powieści sensacyjno-kryminalnych.